

Panienka z okienka.

CIEKAWY POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 5 □ Maj 1911

Panienska z okienka.

Redaktor:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot).



Wydawcy:
GEBETHNER I WOLFF.

02309

mu. obywat.

40

DEOTYMA
(JADWIGA ŁUSZCZEWSKA)



Panienka z okienka

STARODAWNY ROMANSIK

Tom I

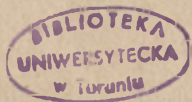
z 5-ciu ILUSTRACYAMI



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1911

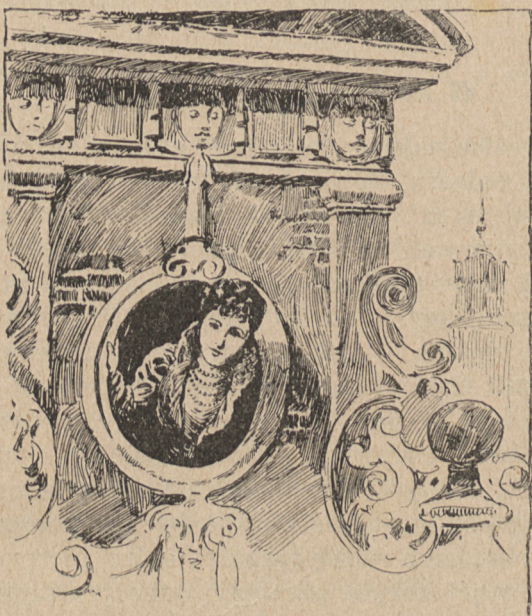
*1911
GEBETHNER I SP.*

02309



DRUK PIOTRA LASKAUERA.
WARSZAWA, NOWY-SWIAT 41.

K. 334/64



Panienka.

W kamiennym pierścieniu.

Szedł sobie najspokojniej, powłócząc oczyma po tych cudnych i cudacznych rzeczach, których może póki życia nie miał już oglądać, gdy zniemacka ozwały się za nim wesole przygrywania i szmery posuwiste, jakoby od nadciągającej ciżby. Obejrzał się, przystanął, — a tu z bocznej przeczniey plynie orszak strojny, z kapelą na czele. Przodem i dokola — jak to zwykle w podobnych razach — wali tłum ciekawej gawiedzi. Wnet się też zrobiło tak ciasno, że pan Kaźmierz musiał co prędzej ustąpić pod ścianę. Wprawdzie ulica nie należała bynajmniej do wązkich, ale, jak wszystkie główniejsze ulice Gdańska, była z obu stron zastawiona dwoma szeregami dużych ganków, czyli raczej tarasów, które, głęboko wrzynając się w jej koryto, szczupły tylko przepływ zostawiały dla jezdnych i pieszych.

Oparł się więc o podmurowanie jednego z onych tarasów, a że był słuszny, mógł ponad głowami dobrze widzieć przeciąganie wesela, bo zaraz poznał, że to weselny orszak.

Naprzód, po trzech rzędem, szli grajkowie, dmący w trąby, piszczałki, fletnie i różne inne fujary, takie pokręcone, takie pozawijane, jakby jakie świeciste węże.

Potém szła gromada młodych ludzi, dość suto wyglądających. Buty miękkie, lejkowato rozwarte. Ubioro obcisłe, o bufiastych rękawach, niby pozszywane z pasów dwubarwnych, w podłuż popękanych i nasianych sterczącymi wypuszczkami. U jednych kręzy okrągłe, u drugich już nowomodne obwisłe kołnierze, spadające na piersi we dwa trójkątne koronkowe końce. U ramion krótkie płaszczyki, tak zwane wówczas „półmancia“. Nad tém wszystkiém kapelusze ogromne, o wywiniętém skrzydle i kiściastych piórach.

Jeden tylko Pan Młody nie miał pióra; miał za to inną ozdobę, która naszemu widzowi mile wpadła w oczy; były to dwa malutkie, zieloniuchne wianeczki, wzajemnie w siebie zadzierzgnięte, jakby dwa ogniwa łańcucha, i przytwierdzone do główki kapelusza, gdzie tworzyły rodzaj kokardy mirtowej, a dla bystrych oczu—hieroglif miłości.

Za kawalerami szły panny, także po trzy rzędem. Ubrania ich pstrzyły się różnemi barwami, ale krój miały jeden, nieodmienny. Suknia sztywna, w ciągnione floresowe wzory, z tyłu mocno powłóczysta, u dołu strefowana kilku passamonami, z ciemnych taśm kamelowych, albo z czarnego aksamitu. Na przód spódnicy spuszczał się długi a wązki fartuszek, w domu zwykle płócienny, a od stroju rąbkowy, powiewny, jakby biała szarfa. Stanik twardy i długi dosadnie zarysowywał utoczenie kibici. Rękawy, podobne do męskich, wydeptę, rozporkami zatrzęsione, ściagały się u dłoni pod koronkowy mankiet, a z ramion tworzyły dwie wypukłe bańki, niby dwie podpórki, mające podtrzymywać równowagę kręzy. Ta bywała najrozmaitszych rodzajów: czasem grubo rurkowana, a mała w obwodzie, czasem znów cieńsza, ledwie troszeczkę falująca, a za to szeroka jakby

tarcza. Z jej środka, niby pisklę z gniazda, wystawała główka gładka i mydlkowata, bo przy kręcie wszelkie bogatsze ufryzowanie stawało się niemożliwym; głowa musiała być małą i okrągłą, ażeby mogła poruszać się swobodnie w tej ciasnej, ostro-prążkowanej konsze. To też wszystkie włosy podczesywano w górę i zaplatano w jeden warkocz, którego kręgi ukrywały się z tyłu pod czarną aksamitną branką, lub pod czółkiem z różnobarwnych wstążek.

Białogłowa, idąca do kościoła, zarzucała jeszcze na suknię płaszczyk osobliwszy a prześliczny; kładł on się pod krętę, z którą stanowił niby jedną całość; uszyty po prostu w kwadrat, z muszliny lub lekkiej wełny, nie miał rękawów ani żadnych ozdób, tylko pod szyją był lekko zmarszczony, i cały w podłuż karbowany, tak że kobieta szła spowinięta od stóp do głowy w jeden wielki a miękki wachlarz.

Czasem, gdy płaszczyk się odchylił, można było dojrzieć jeszcze inny jaki szczegół, cechujący ubranie ówczesnej Gdańszczanki; naprzykład cięgiaturę, czyli ów sznur nieodstępny, jakim się okręcała w pasie, a którego jeden koniec opadał na fartuszek, podczas kiedy drugi, opatrzony całym pękiem kluczyków, igielników, nożyczek i szydełek, wpuszczany był zazwyczaj do bocznej kieszeni. Na tym sznurze przewieszano też i faolet, czyli chustkę od nosa, gdy rączka strudziła się jej trzymaniem; a i chustka była wzorzysta, chwaićkami u czterech rogów zakończona, i rączka schludnie zawinięta w rękawicę o misternych wyszywaniach.

Panowie i panny widocznie byli zadowoleni ze swojej strojności, bo szli z pierśią wydetą jak u pawia, zerkając na przyglądające im się tłumy. Ale pan Kaźmierz patrzył obojętnie; podobnych strojów, mniej lub więcej

wykwintnych, mógł codzień widywać krocie; podobny orszak weselny to w ludnym Gdańsku nie nowina. Dopiero za szeregami pań dostrzegł coś takiego, co go naprawdę zadziwiło, coś tak nadzwyczajnego, że oparł obie ręce o czekanik, aby wspiąć się na palce i lepiej zobaczyć.

Szła Panna Młoda między dwiema druchniami. Wszystkie trzy miały suknie z najprzedniejszej białawo-płowej „pawłoki“ (która, jak wiadomo, była uprzywilejowaną tkaną szat koronacyjnych), a na sukniach płaszcze okrągłe purpurowe, z gronostajowemi wyłogami u przodu, z bogatą kłanrą u spięcia. I, o dziwo! płaszcze te w górze nie wywijaly się żadnym kołnierzem, ale były wszyte w obramowanie złote, i wycięte kołem tak szerokiém, że nie tylko szyja, ale i skrawek piersia, wykwitwały z nich bez osłony.

Włosy też, wolne od pęt codziennych, jakby drugi płaszcz rozpuszczone, wily się po ramionach i spływały po barkach.

Na włosach każda z nich miała koronę złotą, cudnie wyrobioną w różne liściowe przezrocza i strzeliste paki.

Korona Panny Młodej była najwyższa. Wzrostem także oblubienica górowała nad parą swoich towarzyszek, i postawę miała okazałą, i w obliczu taką powagę, że ludzie przed nią się rozstępowali, jakby przed urodzoną królową.

W czasach, kiedy rosnąca ciągle srogość praw przeciwbytkowych wykluczała z ubiorów mieszczkańskich wszelkie cenniejsze tkaniny i futra, a zwłaszcza wszelkie drogie kruszce i kamienie, — w czasach, kiedy protestantyzm, coraz bardziej zacinający się i posępniący, zaczynał narzucać już nie tylko duszom, ale i sukniom purytańską surowość, — w takich czasach te ładnie

szyje, te szkarłaty i złota mogły słusznie zadziwiać na ulicach Gdańska, i pan Kazimierz teraz dopiero zrozumiał, dlaczego tak wielka ciżba leciała za tym orszakiem.

Po drodze też ciągle przybywało śledzących oczu; na wszystkich piętrach zapalały się one poza wypukłemi szybkami; niejedno okno zabrzękło, roztwierane co żywo, dla przepuszczenia kilku głów natłoczonych.

Ale widowisko krótko trwało. Trzy koronne postaci przeplynęły jakby widziadła. Za nimi pokazali się rodzice Państwa Młodych, otoczeni starszyzną. Tu, między mężatkami, znówu karbowane kołnierze i płaszcze, znówu suknie sztywne, tylko już bez fartuszków, na głowach czarne branki, ale już obszyte koronką, tworzącą z nich dyademowe półkornecie. Między starszymi mężczyznami więcej biretów, niżeli kapeluszy, więcej futrzystych armantelów, niżeli obcisłych kabałów.

Nakoniec wysypała się ostatnia kupka ciekawych, orszak skręcił w inny poprzeczny zaułek, fletnie i stąpania powoli przyceichły, i pan Kazimierz znów się znalazł na pustej ulicy.

— A to mi Panna Młoda! — pomyślał. — Ustrojona, jakoby druga Ester. Taką prowadzić do ołtarza, to splendor! Ona wszystkim królowa, a pan-mąż jej król. Niechno ja tylko stanę kiedy na ślubnym kobiercu, to moja panna musi bez pardonu mieć takowy płaszcz i koronę. Będą ci tam, co prawda, panowie bracia u nas wydziwiali nad oną komedya, ależ morskemu czleku wolno przecie ustroić żonę „per modum Gedanensem“. Będzie tedy tak obleczona, jeno buzię musi mieć inakszą, bo ta nijak nie przypadła mi do serca; okrutnie pyszna i, na dobitkę, włosy jak u kruka. Żona kruk, to i mruk. Wedle mego widzimi się, żonka powinna być niezaduża, ustrugana jako ta łątka, ze złotymi kędziorkami, z turkusiko-

wemi oczkami, a wiecznie śmiejąca się, jako ten mały ptaszek, co to zawdy podskakiwa, pośpięwywa, a jak chcesz, to z ręki jé, a jak chcesz, to dzióbka daje. Rzecz — kto, że o taką łatwo, a nieprawda. Jam już niemało świata objechał, no i jeszcze nie znalazł owéj, co mi się śni.

Tu pan Kaźmierz trochę sobie westchnął, i — jak zwykle czynią ci, którzy wzdychają — podniósł w górę oczy.

Ledwie podniósł, a tu cały się wzdrygnął, złożył ręce i szepnął:

— Jezu najśłodszy! A wszakci to akurat ona!

Mówiąc te słowa, patrzył w najwyższe okno domu, który stał naprzeciw niego po drugiej stronie ulicy. Okno to, wycięte w samym szczytce budynku, było zupełnie okrągłe, obrębione sznurową rzeźbą. W tym kamiennym pierścieniu rozkwitało coś podobnego do wielkiej stokrotki; kręza biała, przezrzysta, drobno prażkowana, wypełniała prawie całe okienko, a jak w środku białej stokroci połyska złota kulka, tak w tym okrągłym kołnierzyku świeciła główka złotowłosa, bramką z niebieskich wstążek przepasana, bijąca słonecznym blaskiem świeżej cery, wdzięku i figlarności, z ustami jak maliny, z oczyma jak turkusiki.

Oczy te były ciekawie wpatrzone w pana Kaźmierza. I miały na co patrzeć. Już i podczas pochodu weselnego niejedna głowa zwracała się ku niemu, niejedno spojrzenie skrzyżowało się z jego wzrokiem.

Bo téż Imci pan Kaźmierz Korycki, poręcznik od marynarki Jego Królewskiej Mości Władysława IV, był wyraźnie stworzony do dwóch rzeczy: do bicia nieprzyjaciół i podbijania serduszek. Wysoki a smukły, mocny a zwinnie, wdzięczący się a zuchowaty, lubił każdemu

i każdej blisko zaglądać w oczy. Twarz miał ogorzalą porządnie od nawalności morskich, a jędrną, jak śpiż, i przy każdym wzruszeniu wybuchającą runieńcami, które przelatowały szybko, niby błysnięcie lontu. I piwne jego źrenice były tak pełne iskier, że gdy się w kogo bystro wpatrzył, to go temi oczyma siekł jakby różgami płomieniami. Siarczysty kawaler.

Ubrany był dosyć osobliwie: nawpół po naszemu, a nawpół z cudzoziemska, bo też tak mniej więcej wyglądała cała flotta pucka, w której urządzeniu wzorowano się z początku na marynarkach obcych, a zwłaszcza na szwedzkiej, najbliższej nam wedle sąsiedztwa i najlepiej znaniej z powodu częstych, zbrojnych sporów.

Miał więc pan Kaźmierz obcisły kaftan, czyli tak zwany kolet, z łosiej skóry, na ukos przepasany czarnym rzemiennym bandoletem, u którego wisiał obosieczny, nieco zakrzywiony kordelas. Rajtuzy, uszyte z granatowej rasy, pod kolanem były przewiązane i wpuszczone w obuwie, składające się nie ze zwykłych butów, ale ze zgrabnych półbuciów bez cholew, żeglarz bowiem, jak góral, potrzebował nóg lekkich, dla uwijania się po stromych piąterkach i oślizgłych wklęsłościach ówczesnych okrętów.

Na kolecie nosił półkopianiak, z kroju dość podobny do burki, ciemny i włochaty po wierzchu, więc dobry na słotę lub wichurę, ale dobry i na pogodę, bo podbity czerwonemi nicami, które w dzień jasny odrzucały się na ramiona i rozweselały ubranie.

Głowa pana Kaźmierza nie była podgolona; mało kto jeszcze wtedy u nas oszpecał się owym dzikim wymysłem tatarskim. Włosy jego, drobno skędzierzawione, przypominały ten sposób uczesania, jaki później został

nazwany „à la Titus“, a który na ówczesnych wizerunkach już często daje się spostrzegać.

Włosy te pan Kaźmierz przykrywał, nie śpiczastym szwedzkim, ani okrągłym niemieckim kapeluszem, ale kosmata, szczeropolską czapką, jedną z owych prześlizcznych, fantastycznych czapek, jakie u nas kwitły za Wazów. Brzegi jój były w górę wywinięte i przeróżnie ponacimane, a u przodu stała kitka czarna, przytwierdzona zanklem srebrnym z emalią, gdzie, drobnutko wymalowany, kraśniał herb marynarki puckiej, ten sam, co był wyszyty na banderze królewskiej, mianowicie: ręka, po ramię obnażona, trzymająca dobyte miecz; wszystko w polu czerwonym.

Jednak ta czapka, choć tak piękna, stała się teraz dla pana Kaźmierza narzędziem niepomyślnj próby. Ledwie bowiem spostrzegł, że panienka z okienka na niego spogląda, zerwał ową czapkę z głowy i bardzo układnie się uklonił. Tymczasem skutek zawiódł oczekiwanie. Panienka nietylko nie oddała ukłonu, ale, przestraszona zaczepką nieznanomego, zapłonila się gwałtownie (przez co — wedle uwagi pana Kaźmierza — obrazek uległ takiej zmianie, jakby kto w złote serduszko stokrotki wetknął czerwony pączek róży), wycofała głowę z okienka i znikła w jego ciemnej głębi.

— Szkoda! — mruknął pan Kaźmierz. — Spłoszyłem oną śliczną apparycyę. Trzeba rzecz naprawić. Czasem dobra wiolencya, a czasem paciencya. Zazyjmy teraz tój wtórej. Powiedają, że kiedy dyabeł nie może białogłowy na żaden lep ułować, to zawsze w końcu weźmie ją na ciekawość. Poczekajmyż. Może i ta panienusia z ciekawości raz jeszcze wyścibi swój aniołkowy pyszczek?

Dalj więc stał i wpatrywał się w kamienny pierścień.

Czasem wodził oczyma po niższych trzech piętrach kamienicy, dla sprawdzenia, czy panienska nie wygląda jakimś inném oknem? A tak patrząc, dziwił się i piękności domu.

— Dalibóg, nie dom, jeno templum. Że też to ta cackanna struktura nie wpadła mi jeszcze nigdy w oczy?...

Rzecz łatwo się tłumaczyła. Zajęty swoją wodną służbą, pan porucznik rzadko bywał w Gdańsku, a jeżeli się tam pokazał, to tylko na kilka godzin, dla przelotnej uciechy; wtedy chodził najczęściej po ulicy Długiej, która jest najludniejszą i najweselszą w Gdańsku, a choć czasem przeszedł się po inną, to wolał patrzeć na buziaki, niżeli na domy.

Dzisiaj wszakże, nie mając nic innego przed oczyma, dobrze się przypatrzył „cackanej“ kamienicy.

Należała ona do węższych, dwuokiennych, ale do najstrojniejszych. Oko nie mogło się tam doszukać ani skrawka nagiego muru; od góry do dołu była to jedna kaskada złoceń, rzeźb, szkielek i malowań.

A najprzód część dolna wysuwała się do widza tarasem (tak zwanym przez miejscowych mieszkańców beiszlagiem), na który prowadziło pięć schodków kamiennych. Taras był ubrany w kwitnące donice i obwieszony kratką, wykutą, a raczej wydzierganą z żelaza; sploty jej, pogięte w zakrętne gałązki, miały nawet wiele części suto pozłacanych, zwłaszcza tam, gdzie kowacz powypuszczał z nich liście, szyszki i jabłuszka. Położył on i poręczę od schodków, oparte na dwóch kamiennych kulach, owych sławnych kulach przedgankowych, które zawsze stanowiły jedną ze znamiennych cech budownictwa gdańskiego.

Na taras wychodziło dolne okno, zaplecione także wyzłacaną kratą, i drzwi o jedném skrzydle, dębowe, przepięte świecąciami antabami, wprawione w odrzwia

kamienne, których łuk okrągły wywijal się w górę lekką igłą.

Każde z wyższych piętr przedstawiało dla oka trzy filary, przedzielone dwoma wysokimi oknami. W tych oknach już nie było zakratowań, tylko siatka z oczek ołowianych, w których szyby drobne a wypukłe naksztalt kukielek błyszczwały pod słońcem z łącie brylantową rzęsistością.

Na pierwszym piętrze do filarów grubych i bogatych przyparte były posągi trzech mężów. Patrzący mógł dobrze się z nimi poznać, bo na podstawach wyrznięto ich imiona. W środku, między oknami, przyobleczony po cesarsku, z globusem i krzyżem w rękach, stał Carolus Magnus. Po dwóch bokach, zbrojni w rzymskie helmy i rynsztunki, wspierali się na włóczniach Gracchus i Machabeus. Jaka myśl kierowała rzeźbiarzem, gdy ześlubiał te trzy postaci, to pozostanie jedną z tysiącznych tajemnic, które fantazyja dawnych mistrzów zakłęła w stare kamienie.

Na drugim piętrze, przy filarach już dużo lżejszych i smuklejszych, bielaly także trzy posągi, tu już same kobiece. Wszystkie trzy były prześliczne, chociaż — prawdę mówiąc — niebardzo budujące, bo tylko rozpuszczonymi włosami odziane. Pan Kaźmierz pomyślał sobie, że to jest zapewne Matka-Ewa, trudno jednak przypuścić, aby artysta powtarzał aż trzy razy jeden pomysł; musiały to być raczej Gracye, témbardziej, że wszystkie trzy unosiły w rękach jedną wielką plecionkę z kwiatów, która, spuszcżając się pod okna, całą tę część budowli ubierała w świąteczne wieńce.

Na trzecim piętrze już nie było posągów, tylko medaliony o tłach złotych, a na nich namalowane kosze, pełne róż, winogron i dzióbiących je ptaszków.

Nakoniec, nad owymi ptaszkami, wystrzelał szczyt domu, nie prosty trójkąt, jak u gockich dachów, ale rodzaj liry, wygiętej we dwa esy, pochylone ku sobie i związane w górze. Ze związania tego, niby klucz sklepieniowy, kręto wywijał się smok złoty, o zielonych polyskach śpiżu, wysuwający na powietrze swoje skrzelaste skrzydła i łuszczkowaną głowę, którą podejrzliwie zwracał ku domowi, jakby strzegł skarbów tam zaklętych.

Pod temi to właśnie skrzydłami, w środku rzekomej liry, otwierało się owo tajemnicze okienko, do którego ciągle wracały oczy Imci pana Kaźmierza.

Oczy jego wracały, ale „apparycyja“ nie wracała. Pokryjomu też zaglądać nie mogła, bo w pierścieniu okiennym nie było ani szybek ani żadnych zasłon. Raz, co prawda, wydało się patrzącemu, jakby jakiś obłoczek przepłynął po czarném denku; ale, czy to było złudzenie strudzonego wzroku, czy panienska na widok szpiega cofnęła się po raz drugi, dość, że okienko pozostało pustém, a pan Kaźmiérz wielce markotnym.

Nakoniec złości go wzięły.

— Cóż u licha? Czy ja taki nieciekawy do widzenia? Czy ona znowu taka święta? Oj, będziesz ty jeszcze mi się przypatrowała, moja ty święta z fimfami! No, i to czy nie istny ferał, abym ją dopiero dzisiaj zdybał, dzisiaj, w ostatni dzień! A żeby tak dostać się do téj kamienicznej fortecy? Dobra inspiracyja, dalibóg, jeno jaki tu asumpt wziąć? Abo ja wiem, kto tam siedzi? Czy jakowe miłosierne dusze, czy srogie Menelausy?

Gdy tak sobie rzeczy rozbiéral, tymczasem w głębi ulicy ozwały się kroki nadchodzącego człowieka. Był to pacholek miejski, w ubiorze pasiastym, o pręgach granatowych i brunatnych; w ręku miał berdysz oparty na

ramieniu. Szedł dosyć ospale, nie spiesząc się, może tylko dla pilnowania spokoju na ulicach, a może miał wypuszczać jakiego więźnia z wieży, albo miejskie zegary ponakręcać, bo w drugiej ręce niósł kilka dużych kluczy.



Szedł dosyć ospale, nie spiesząc się.

Panienska z okienka. Tom I.

2

Pan Kaźmiérz go zaczepił.

— Chodź tu sam, drabik!

— Na usługi pana leficerza.

— Do kogo to przynależy ta kamienica?

— Jeśli laska Waszej Wielmożności, która?

— No ta, z figurami.

— A, ta? Oho! Zara widać, jako Wasza Dostojność wysiada z za morza, kiej się pyta o takową rzecz, co każdy dzieciak u nas wie. Toć to Bursztynowy dom.

— Nie kpij, chłopie. Nie widzę tu ni szezypły bursztynu. Cegła i kamień, jako u jenszych.

— Proszę ja Waszej Wielmożności, ktoby to z onego kadzidla miał domy ulepić? I sam król Dawid, kiedy budował swoją świętą wieżę, to urobił ją z kości a nie z bursztynu, bo to rzecz za droga, i zamalo jój Pan Bóg dał na świecie, tyła jeno, co u nas rośnie wedle morza, więcój niema nigdzie ani krzty.

— Za cóż tedy ten dom tak zową?

— Za to, co w nim żywie największy kupiec na bursztyny. Drugiego takiego niema w całkim Gdańsku, he! pono i w całkiój Hanzie.

— A co to zacz?

— Johann Schultz.

— Pfu! Niemiec?

— Nie ze wszystkiém. Ociec jego jeszcze nie gadał, ale on już gada i nieźle, i pono dosyć się kocha w naszych królech. Sam téż sprawuje urząd miejski. To jeden ze stu panów rajców.

— Taki znaczny człek?

— Oj, haniebnie znaczny. U niego całkie komory pełne jasełek bursztynowych. Wszystkie wójty i ławniki, ba! i burmistrze do niego chodzą. A temu

sześć czy siedem roków, to sam król nieboszczyk, pan nasz Zygmunt Trzeci, przysyłał do niego pisanie.

— Proszę! Czego to król mógł chcieć?

— Ludzie gadali, co chce mieć tron całki z bursztynu. Aleć ja tego nie wiem. To jeno wiem, że posłaniec z Warszawy był, bom ja sam drogę jemu pokazywał, właśnie aż tu, do tych drzwiów.

— A ludzki też to człek?

— Tak sobie, dosyć. Jeno zawdy szkoda co pół-niemiec i pies luter.

— Aha, to on z tamtych. No, ale ty przynajmniej nie luter?

— A niechże Pan Bóg uchowa. Ja Kaszuba, Jakób Grubasek, z dobrych Kaszubów, z tłustych Żulaw.

— Jam też zara to poznał po twojej tłustej gębie.

— Dziękuję Waszej Dostojności. U nas, chwała Bogu, chleba w bród. Żeby jeno lutry nie bijaly się z naszymi po ulicach, toby my mieli święte życie. Tera już kęs czasu nie było bijatyki, to i cicho, i człek się wypasa. Co jeszcze pan leficierz każe?

Każmierz byłby jeszcze chętnie zapytał, czy pan Schultz ma córkę lub młodziuchną żonę, ale sobie pomyślał:

— E! Wstyd mi wdawać się ze stróżem w takowe kordyalne konfidencye.

Rzekł więc tylko:

— Już nie. Bóg wam zapłać, mój Grubasku.

— Sługa pokorny — odpowiedział tamten, przyczem, zdjawszy swój szafirowy beret, nizko się poklonił i odszedł powoli, pobrzękując kluczami.

Pan Kaźmierz klasnął w dłonie.

— Vivat! Jest assumpt! Pójdziem po bursztyny. Co prawda, mieszek już okrutnie chudy, aleć potargować

zawdy wolno, za to na gardle nie karzą. A więc do lin!
I brać karawellę!

Rzekł, przemierzył wszerek ulicę, skoczył na taras i,
ująwszy pięknie rzeźbioną kołatkę, zaczął nią bić po ka-
walersku we drzwi Bursztynowego domu.

II.

W Bursztynowym Domu.

Długo musiał czekać pode drzwiami. Przynajmniej naszemu gorącce wszelkie czekanie zawsze wydawało się długiem.

Nakoniec z wewnątrz zaszemrały kroki dosyć lekkie.

— Oho! Jużem ściągnął mego ptaszka z poddaszka. A może to i nie ptaszek. Jakoś trocha ślamazarnie nóżki za sobą ciąga...

Warknął gruby rygiel, i w szparze drzwi odchylnych ukazała się głowa, co prawda kobięca, dosyć nawet przyjemna, ale nic a nic nie podobna do tamtęj. Musiała to być niewiasta służebna i dobrze już wysłużona; dobiegała co najmniej pięćdziesiątki. Ubrana była chędogo, w kołnierz z muślinu, prawda że grubego, ale suto nakarbowanego (bo wtedy, czy sługa czy przekupka, żadna nie ruszyła się bez kręzy) i w inderak czyli spódnicę staroświecką, pękato wywatowaną koło bioder.

— Co to? — zapytała.

— Czy tutaj kram na bursztyny?

— Ja — odrzekła i rozwarła tak szeroko drzwi, że uderzenie ich o ścianę odbiło się przeciągłym echem po

sieni, nadzwyczaj długiej, wyłożonej piękną, polewaną cegłą. Pod sklepieniami wisiały rogi jelenie i różne obrazy, którym jednak trudno było się przypatrzeć, bo choć owo złoto-kraciate okno wpuszczało tam sporo światła, jednak sień była taka głęboka, że już od połowy tonęła w półcieniu.

Na samej głębi, przez inne drzwi wpólotwarte, oczy mogły rozróżnić równie długą i głęboką kuchnię, zakończoną dwoma oknami, wychodzącymi na mroczny dziedzińczyk. Ze pora była poobiednia, więc wszystko tam stało we wzorowym porządku; z półokrągłych wnek, powyżlabianych w murze, jakieś brzuchate kociolki mrugały miedzianymi polyskami, a skośnie oparte na półkach misy i talerze cynowe świeciły rzędem, jakby tarcze.

Drzwi te zajmowały jeden z kątów sieni. W drugim kącie, wokół grubego słupa, kręciły się ślimakiem schody, obwite przejrzystą, z orzechowego drzewa toczoną poręczą, której tralki były powyginane w najśliczniejsze palmy i chimery.

Tam niewiasta wskazała, mówiąc:

— Na pierwszym treppie.

I znikła w głębiach kuchni.

Wszedłszy na kilka stopni, Kaźmierz wydał przytłumiony wykrzyk; o dwa zakręty wyżej, przechyłona przez poręcz, zwieszała się ku niemu koronkowa storkotka i wyglądająca z niej ciekawie złota główka. Puścił się szybko, ażeby ją dogonić, ale ona jeszcze szybciej mknęła, i tylko jej błękitna suknia, przerabiana w białe floreesy, migąła za orzechowymi floreesami kraty, wydając takie sztywne chrzęsty, jakgdyby drzewo tam szumiało.

Kiedy nakoniec wybiegł na korytarz, przecinający pierwsze piętro, już ona śmignęła poza majaczące prze-

zrozcza innych schodów, co nowym ślimakiem wywijają się w górę. Wielką miał ochotę i tam za nią popędzić, ale w tej chwili odemknęły się jedne ze drzwi korytarzowych, i ukazała się w nich posepna głowa młodego człowieka, który spytał:

— Kto tutaj chodzi?

— To ja. Wedle bursztynów.

— A! To tam, Wasza Dostojność, naprzeciwko.

Więc Kaźmierz skierował się do drzwi z naprzeciawka, i do jakich drzwi! Gdyby nie półciemność, panująca w korytarzu, gdyby zwłaszcza nie gwałtowność, z jaką wszystko zwykł czynić, byłby mógł zgubić oczy w tej wiklaninie wstęg, powojów i skrzydlatych geniuszków, co się tam roily na tle z jasnego dębu. Ale za otwarciem, piękność drzwi gasła jeszcze przy piękności komnaty, zatrzęsionj także dębową snycerszczyzną. Z misternych, czworobocznych przegródek sufitu wyglądały rzeźbione głowy (ozdoba ulubiona budowniczym polskim). Przy ścianach ciągnęły się sławne szafy gdańskie, o kulistych nogach, o wrotach bajecznie dłutowanych, o szeroko przysiadłych dachach, istne pałacyki dla Dryad i domowych Larów. Zastawiona takimi gmachami komnata wydawała się moeno ciemną, témbardziej że była wązka w stosunku do swojej wielkiej głębokości. Na samym jej końcu dopiero świeciły dwa okna, te właśnie, między którymi na zewnątrz stał Carolus Magnus, a pod którymi tutaj ciągnął się stół ogromny, zarzucony mnóstwem świderków, pilników, baniek i miseczek.

Przy stole, w dużem poręczowem krześle siedział mistrz Johann Schultz. Miał na sobie kurtę z kasztanowatego falendyszu, o małym karbowanym kołnierzu i bufiastych rękawach, szare pludry, zielone pończochy i trzewiki z pęczkami wstążek. Na długawych, szpako-

watych włosach nosił mały czarny birecik, bo wtedy i w domu nakrywano głowę.

Siedział pochylony do światła i pulchnymi rękami urabiał małego Amorka z bursztynu. A nie tylko rę-



Pulchnymi rękami urabiał Amorka z bursztynu.

ce, ale i twarz miał pulchna, i cała jego osoba jaśniała okazałą tuszą, tak że Kaźmierz pomyślał sobie:

— Jeślici tamten Grubasek, to ten cały grubas.

Ale ta grubość była przejrzystsza, wykwintniejsza. Rysy nawet musiały być niegdyś bardzo ładne, dopóki

długie lata siedzącego życia i długa zażyłość z kuflem nie zaokrągliły ich zbyt znacznie.

Podczas gdy Kaźmierz czynił w duchu takie uwagi, mistrz Johann oddawał piękném za nadobne. Spozrzęglszy świetny wygląd wojskowego, pomyślał sobie:

— Oho! Może jakowy utracysz? Będzie zeń dojny kundman.

Przyczém, wstawszy powolutku, sklonił się z powagą i patrzył na gościa w postawie wyczekującej, bo wielcy kupcy owych czasów byli tacy, jakimi są jeszcze dziś na Wschodzie, uprzejmi, ale małowólni i nie narzucający się z towarem. Wszelką sztukę „reklamy“, wszelkie przechwałki z bębniami, pozostawiali krzykaczom jarmarczynym, a sami twierdzili, że czego kto naprawdę potrzebuje, to sobie zawsze znajdzie. Nie wiedzieli, prostoduszni! że można ludzi kusić i na to, czego im nie trzeba.

To też i w ich składach nic nie stało na pokaz, nie się nie uśmiechało z poza szyb kryształowych. I tutaj oto któż byłby mógł odgadnąć, co ta surowa komnata ukrywa w swoich szczelnie pozamykanych tajnikach?

Kaźmierz pierwszy zaczął:

— Jutro wyjeżdżam, chcę zawieźć doma gościniec, z tój racyi przyszedłem do Waści, panie kupiec.

— Toś Wasza Miłość richtig trafil. U nas grasuje przysłowie:

Zawiózł panek do Gdańska pół-szkutek pszenicy,

Za to przywiozł bernsztejnu aż pół rękawicy.

— A! Paradnieś to Waśc przycytował — rzekł gość, któremu bardzo się podobała krotochwilność gospodarza. — Obacznyż, co ja mam nasypować do onój rękawicy, choציaby do jednego palca w gantelecie?

Kupiec tedy zaczął jedną po drugiej otwierać owe

zaczarowane szafy. Tam, na głębokich policach, stały rzędami bursztynowe posążki, czarki, kropielniczki, solniczki, ampulki. Były i przedmioty niby innego porządku, jako to: srebrne puhary i talerze, kryształowe szklenice i nalewki, ale wszystko nasadzone maskaronami albo figurkami z bursztynu; były i krucyfiksy hebanowe ze słonecznym Panem Jezusem, i świątyńki z kości słoniowej, gdzie bawily się różne zóleiuchne osóbkki.

Potém kupiec wyciągnął plaskie szuflady, gdzie leżały rzeczy drobniejsze, ale niemniej kosztowne, bo z najbielszego bursztynu wycinane i złotem i oprawami niewidzialnie podszyte. Spoczywały tam na czarnych aksamitach naszyjniki, krzyżyki, zausznicce, alszbanty i wszelkie inne figle białogłowskie, wyrobione tak cieniuchno, jakby z wosku. Gdzieindziej znów guzy do żupanów, spinki do kitek i kołnierzy, kule i różne wisiory do rzędów końskich, kameryzowane gdzieniegdzie upstrzeżeniami z pereł i drogich kamyczków. Tu już Pan Kaźmierz zaczął tracić głowę. Mieszek jego — co prawda — piszczał srodze na haniebne ceny, jakie mistrz Johann obojętnie wymieniał, ale Kaźmierz nie okazywał żadnego zmieszania, ani się owym cenom dziwował; a czynił tak dla dwóch powodów: najprzód chciał koniecznie przedłużyć rozmowę, w nadziei, że panienka z okienka zajrzy nakoniec do komnaty; powtóre, chciał się nasycić, jeżeli nie posiadaniem, to przynajmniej oglądaniem tylu precudności, bo nasza młodzież wojenna zawsze kochała się w „splendorze“. Więc wszystko po kolei brał do ręki, najdroższe rzeczy targował, a jeśli nie sypał złotem, to sypał hojnie i szczerze pochwałami, czém niezmiernie sobie ujął gospodarza, bo majster Johann był jeszcze więcej kunsztmistrzem, niż kupcem.

Widząc, że młodzieniec najpilniej ogląda figurki niewieście, odezwał się z uśmiechem:

— He he! Mam ja tu coś, echt dla pana officyjera, jeno tam jeszcze grubszy koszt, bo to mój meister-stück.

Tu wysunął na środek pokoju swoje wielkie krzesło, z dębu rzeźbione, jak wszystkie inne sprzęty, a wybite skórą z Korduby, o tle dereniowém i złotych wyciskach. Potém z kieszeni wyjął kluczyk, a wtedy Kaźmierz spostrzegł nie bez podziwu, że pod siedzeniem jest ukryta szuflada z misternym zameczkiem.

— Przebóg! Czego téż te Niemcy nie wymyślą? — zawołał. — A to, bez urazy, możnaby o Waści powiedzieć, że: „siedzi na swoich skarbiech“.

— Ja, ja. Siedzi. Czego niema siedzieć, kiedy skarby są? — odparł bez urazy gospodarz i, wyciągnawszy szufladę, zaczął przeglądać jój różne przegrrody. W jednych, naksztalt kielbasek, wily się długie sakiewki, przez których dziergankę przeglądały rulony holenderskich dukatów. Gdzieindziej były drobne łańcuszki i paciorki.

— To — mówił różne andenkieny po mojej nieboszczce.

— Waśc wdowiec?

— A wdowiec. Już dwie lecie z górą minęło, jak my ją pogrzebli.

Nakoniec, z najgłębszej skrytki, wyjął długie puzderko, gdzie na szafirowym atlasie ukazał się sztuciec burztynowy. Trzonki u wszystkich trzech narzędzi były wyrobione w kształcie mitologicznych posążków, a przytém obmyślone z podwójnym dowcipem; i tak, po jednej stronie bożek Mars, gorejącej barwy, trzymał nad ramieniem wzniesiony mieczyk złoty, który zarazem tworzył i klingę noża. Po drugiej stronie Neptun, trochę

szarawy, trzymał trójzab, którego złote szpikulczyki tworzyły widelec. Najwięcej panu Kaźmierzowi podobala się łyżka; była to stubarwna, okrągło-wkłęśła muszla, z której wychodziła bogini Wenus; a bursztyn, użyty na tę postać, prześwićcał taką mlęczną białawością, że wydawała się naprawdę istotą z piany morskiej.

Pan Kazimiérz przyglądał się téj niebiance z iście pogańskim nabożeństwem. Niemniej pilnie jój się przyglądał i własny jój twórca, a nawet w tém jego patrzeniu była jakaś lubość, taka daleka od czystego artyzmu, że młodzieniec, spostrzegłszy jego usta lépko rozchyłone, jak u ryby, pomyślał sobie:

— Ej, ty niemiecki Sylenusie! Mimoć latek, ona bogini, jak widzę, dobrze cię jeszcze za łeb dzierży.

Jednak uwagę tę schował dla siebie, a na głos powtarzał:

— Mirabilia! Godne królewskiego stołu!

— A ja zawdy powiedam, że to stworzone dla was, panie officyjerze, bo jako się widzi z moderunku, Wasza Miłość służyysz i Marsowi i Neptunowi, a jako się patrzy z oczu, to takóż...

— I Wenerze — dokończył Pan Kaźmiérz. — Co prawda, to prawda. Służyć ja téj bogini z ferworem, i zabrałbym Waszecie sztuciec jeszcze dzisiaj, cóż kiedy w sepecik nie wlézie.

Mówiąc to, wziął jedną ze swoich rękawic i chciał niby wsunąć w nią puzdro, które oczywiście nie mogło się tam zmieścić.

Obaj się roześmieli, a podczas kiedy kupiec zamykał napowrót szufladę, Kaźmiérz mówił z niekłamaném zachwyceniem:

— Wielki z Waści magister w tém rzemiośle. Wié to cała Hanza i cała Korona. Mnie nawet gadano, co

Król Jegomość nieboszczyk do Waści pisywał. Czy to może być?

— A może być, kiedy było. Ho! Nasz Pan Miłościwy to nietylko był mądry König, ale i mądry Kunstmeister. Inne królowie, kiedy się sfatygują, to wyprawiają sobie turnyery, szlichtady i różne lusztyki. A król Zygmunt nie, — jeno siadał woneczas do warsztatu i dłuwał sobie we zlocie albo srybrze, to kubeczki, to łańcuchy, to monstrancye, i to nie dla żartu, ale rzeczy fein, co by się ich i prawy majster nie powstydał. Owóz jednego dnia przyszła mu takowa chęć, aby sobie zrobić trinckbecher z czystego bernszteinu, jeno nie wiedział, skąd wziąć tej substancyi, ani jak się to robi? Kazał tedy pisać do mnie, abym ja mu przysłał kawały jakie mam najlepsze, i takóž w piśmie zapytował o nasze niektóre majsterskie sekreta. Jam tedy posłał i z sekretów onych się spuścił, jako wierny sługa i poddany.

— I cóž król, zrobił ten kielich?

— Gadali mi panowie, co płynęli ode Warszawy, że zrobił, i że tam wygrawował swój osobisty konterfekt. Mówili przytém, że i moim sekretem był rad.

— Fiu! Fiu! To Wasze, panie konzul, w korespondencyach z królami! Felicytuje.

I pan Kaźmierz spojrział na niego innémi oczyma, i odtąd zaczął go tytułować już nie „panem kupcem“, ani „majstrem“, ale „panem konzulem“. (Bo tak u nas niekiedy z rzymska chrzczono rajców, którzy byli nieźmiernie radzi owéj nazwie).

— Co též to tych precyozów tutaj! — mówił, oglądając się dokola. — Jakem żyw, jeszczem nigdy tego cudownego electrum tyle naraz nie widział. Czy i w téj szafie takóž?

— Oho! Abo to tylko w téj szafie? I abo to tylko

w téj komorze? Ja na każdym sztoku mam izbę pełną tego, i cały strych takż pełen.

— Nie może być! Nie uwierzę, chyba że obaczę. Pokaż mi Waszce wszystko bez excepcyi. Ja już może nigdy tu w Gdańsku nie będę, to niechże per omnia tempora napasę nos i oczy tą pachnącą ambłą.

— A no, czemu nie? Jeśli herr officyer ciekaw, to pójdziem na górę. Będzie w czém wybierać.

Tu gospodarz zdjął ze ściany klucze i, otworzywszy drzwi komnaty, wypuścił naprzód Kaźmierza, który wyszedł, tryumfując w duszy:

— Aha! Postawił ja-ci na swoim. Jak pocznem cały dom lustrować, toć przecie nam się ta biała myszka nie wyśliznie?

Zaraz w korytarzu, widząc owe drzwi, z których posepny młodzieniec wskazywał mu drogę, pan Kaźmierz zapytał:

— A tu co? Takż skarbczyk?

— Nie, to warsztat.

I kupiec otworzył drzwi do izby wązkiej a głębszej; rozciągała się ona ponad kuchnią, i dwa jéj okna również wychodziły na mroczny dziedzińczyk. Ściany były nagie, pod ścianami ciągnęły się stoły z prostych desek. Przy stołach pracowały zamorusane chłopaki.

— Oni — mówił kupiec — obrabiają z grubego; ja dopiero potem biorę do forszneidunku.

— A oto — rzekł, wskazując na młodego człowieka o posepnej twarzy, który stał pod oknem — oto mój starszy czeladnik, człek tęgi, Kornelius Storm. Z Ollendrów on, z narodu pracowitego. Będzie to kiedyś takż majster, jeno musi jeszcze dobrze faldów przysiedzieć.

Kornelius pokłonił się, a potem powiedział:

— Herr Meister, była tu fraulein Hedviga i pytała o pana majstra.

— Nic pilnego. Ta fryga musi co godzina cały dom obieżeć. Niech sobie czeka. Teraz mam gościa, i to rarytnego, takiego, co nie tylko na rzemiośle wojenném, ale i na wszelakiém inném się zna.

Tak to nasz kawaler prędko potrafił zawojować panna raję.

Gdy wrócili do korytarza i zaczęli wchodzić na schody, Kaźmierzowi błysnął znowu nad poręczą jakiś krążek biały, jakby kręza. Jednakże u wierzchu nie znalazł nikogo.

Rozkład wszystkich piątr był jednakowy; wszędzie tylko dwa, niezmiernie długie, przeciwległe sobie pokoje, rozdzielone korytarzem, przez który przebiegała się śrubka schodowa. Korytarz taki, biegnąc w poprzek domu, nie mógł posiadać właściwych okien; czasem jednak, na wspinałszy się piętrach — jak tu na przykład — był nieco rozświetlony przez otwory, wycięte w wewnętrznych ścianach, a które od strony pokoju zasuwano wedle woli ruchomą deszczulką.

Na drugim piętrze, w korytarzu od ulicy, stały znowu szafy ogromne, ale już skromniejsze, a w nich znowu krocie przedmiotów bursztynowych, ale już mniej kosztownych. I te jednak były prześliczne, i Kaźmierz zaczął już na dobre targować pewien kubeczek z godłami rycerskimi, co wedle słów jego: „przydałby się dla pana oca jak ulal“. Przed końcem targu wszakże oświadczył, że „musi jeszcze wziąć na medytację, i że tu grzech coś rezolwować, dopóki się nie zlustrowało wszystkiego“.

Wrócili więc na korytarz, gdzie kupiec sam wskazał drzwi przeciwne, mówiąc:

— Tu mój szlaf-zimmer.

I wprowadził gościa do komnaty cudniejszej, niżeli wszystkie inne. Wprawdzie okna jej wychodziły na dziedzińczyk, ale tu już przy większem wyniesieniu światło było mocniejsze, i skrawek lazuruwego nieba rysował się za szybkami. Zresztą, ktoby tu miał ochotę patrzeć na resztę świata? Każdy wolał patrzeć wkoło siebie. Było na co. Nogi grzęzły w pstrokatym smirneńskim dywanie. U drzwi i okien wisiały, chodzące na kółkach, mięsiste zapony, tak zwane „huisverts“, gdzie były wyszyte w tkaninie rozmaite obrazy, przeważnie zielone, bo wzięte najczęściej z życia myśliwskiego. Na murach, w ogromnych dębowych obramowaniach, rozpinały się sztywnie kobierce flamandzkie, a na nich też ogromne wytkane obrazy, z figurami rycerzy, pięknych dam i bogów. Poniżej stały nietylko szafy gdańskie, ale i śliczne szafeczki toruńskie, wykładane mozaiką z drzewa, którego słoje tworzyły najuczeńsze rysunki. Były i stoły, i krzesła, i półeczki, o wyrzynanych brzegach, o skręcanych nogach. A na tych stołach i półkach różne rzeczy ciekawe; tu srebrny półmisek z dzbanem, ówdzie Biblia w cudownej oprawie z emaliami, a wszędzie pełno tych pękatych fajansów delftyjskich, których tło białe jest nażytkowane błękitnymi albo czerwonymi wzorkami. Było też dużo i fraszek niewieścich. Z boku, nad wszystkiem królujący, piętrzył się pod ścianą wspaniały pawilon, po trzech stronach zasunięty złoto-zieloną makatą z Ar-rasu.

Pan Kaźmierz rozglądał się, kręcił głową i mówił:

— Proszę! Proszę! Waszecina kamieniczka druga

królowa Bona. A toż ona sumy neapolitańskie połknęła.

Kupiec zaś powzdychiwał i powtarzał:

— Cóż, kiedy pustki? Tu przez dwadzieścia lat gospodarowała moja biedna Dorotea.

Każmierz, spostrzegłszy w tej chwili klęcznik z burstynową Figurą Matki Boskiej, zdziwił się i zapytał:

— A toć to chyba nie była dysydyntka, kiedy widzę tu takie świętości?

— A nie — odparł z przekąsem gospodarz. — Katoliczka była, i zażarta. Dobrze mi dojadła swoim wiecznym śledziem i litaniami.

— Remomeruję Waści, że i ja katolik i praw.

Gospodarz odpowiedział pół-szyderczo:

— Pokornie Waszą Miłość przepraszam. Ale my tu we Gdańsku nie owijamy tej rzeczy w bawelnę; jako kto wierzy, tak i gada. U nas tak.

Potem, znów nastroiwszy smutny wyraz twarzy, utyskiwał:

— Otóż ja tutaj od roków dwóch, i więcej, mizerny pustelnik. Ale — dodał z tajemniczym uśmiechem — niedługo już tego będzie... Niema Lei, to się znajdzie Rachelka.

Poczem wyprowadził gościa, który tymczasem kłął w duchu:

— A ty paskudny heretyku! Niedosć że nie respektujesz postnego śledzia, jeszcze tej panniusi chcesz napędzić macochę? Boć ta frajlein Hedwiga musi być jego dziewczka, tak mi się precz widzi.

Trzecie schody były już dużo węższe i mniej ozdobne, a w korytarzu, pozbawionym ściennych wyględów, pa nowały takie ciemności, że Każmierz nie mógł dopatrzeć

żadnej kręzy. Zdawało mu się wprawdzie, że słyszy jakieś sznery, ale musiało się to tylko zdawać, bo na trzecim piętrze nie znalazł nikogo.

Tu kupiec pokazał mu od ulicy komorę o ścianach nagich, gdzie stały szafy ogromne, ale proste, a w nich nic, tylko tysiące i miliony bursztynowych paciorków; jedne już nanizane w rzędy i różańce, inne luźno zsypane do szufladek; tu grubsze, jakby przezroczyście orzeszki, tam drobne, jakby złote krupy.

Białogłowa byłaby godzinami całemi przebierała w tych perłach; dla oficera niewielka była tu zabawa. Prędko się też stąd wyniósł, a widząc, jak otwarcie gospodarz mu wszystko pokazuje, sam przystąpił do drzwi przeciwnych i już ujął za klamkę; aliści tu właśnie śmiałość jego nie w porę wypadła; mistrz Johann przyskoczył zapęrzony, przytrzymał jego rękę i zawołał:

— O, tu nie można! Tu frau-zimmer.

Każmiérz cofnął się z pańską uprzejmością, przepraszając:

— Exkuzuj Waszecz ignorancyę. Anim wiedział, co tu za sanktuarium. Tu pewnie żywie panna Hedwiga, Waszczina dziewczka?

Mówił tak, chcąc nareszcie się dowiedzieć, kim jest naprawdę owa „frajlein“? Ale jego dyplomacya na nic się nie zdała; kupiec nachmurzony wcale nie odpowiedział. Natomiast wskazał nowe schody i rzekł niechętnie:

— Teraz już tylko strych. Czy Wasza Miłość jeszcze ciekaw? Tam już nic nie trzymam, jeno bernsztein surowy, a wysoko iść.

— Co, wysoko? A toć właśnie w to mi graj! — zawołał Każmiérz. — Jaciem jeszcze niedawno latał, jak opętaniec, po linach i masztach. Bywało, nieraz pół dnia

siedzę w Bocianiem gnieździe. Im wyżej, tém czleku weselej.

Mówiąc to, puścił się co żywo na schody, istotnie drabiniaste. Musiał się tam w ciemnościach ktoś ukrywać, bo tuż przed nim zatupotały jakieś nóżki, a przytém tak mocne szelesty, że nawet zasapany pan majster zaczął głowę zadzierać i pytać niespokojnie:

— Co tutaj tak fiuka? Czy Hedvich znowu sobie kota chowa? Ta dziewczyna zawdy coś musi wymyślić.

A Kaźmiertz śmiał się w duchu i szeptał sobie:

— Głupis Asan. To nie kot unyka, jeno mysz, a jeśli kto tutaj kota personifikuje, to chyba ja, co się za nią upędzam po całej twojej chałupie.

Strych był także na dwie części rozgrodzony, ale tylko lekkim przepierzeniem. Tu i tam stały ogromne skrzynie, zamknięte na klódki.

Nie wszystkie jednak znalazły się w porządku. Gospodarz, zajrzawszy do tylniej przegrody, chwycił się za głowę i jał krzyczyć:

— Herr Jesu! Paka roztworzona! Już tu znowu któryś chłopak mi plądrował.

I klnąc półgłosem (ale na ten raz już w czystej niemieczczyźnie), zaczął najprzód zamykać wieko, potem szukać zarzuconej klódki.

Tymczasem pan Kaźmiertz zajrzał do drugiej przegrody, gdzie świeciło niewielkie, okrągłe okienko, i tam, o radości! dostrzegł nakoniec swoją „apparycyę“.

Stała ona w najciemniejszym kąciku, szczuplutka,

niebieska i cała wystraszona, jakby Chochlik domowy, którego czarnoksiężnik uwięził w zaklętym kółku.

Pan Kaźmierz grzecznie się zbliżył, zdjął czapkę i z pięknym ukłonem rzekł:

— Po raz wtóry składam Waćpannie moją rewe-rencyę.

Zarumienila się i dygnęła.

On zaś ciągnął daléj:

— A czemuś to Waćpanna nie chciała mi się kłaniać, kiedym był na dole?

Panienka, której szybko wracała przytomność, wy-skoczyła z ciemnego narożnika i odparła, figlarnie prze-chylając główkę:

— A czemuś to Waćpan kłaniał się takowéj, której nie znasz?

— Boś Waćpanna patrzyła na mnie.

— Abo to prawda? Jam patrzyła za tém weselem, co ciągnęło mimo naszego domu.

— Teraz ja znowu powiem: abo to prawda? Nie mo-głaś Waćpanna patrzeć za tém weselem, kiedy już było na trzeciéj ulicy.

— Tam z dołu już go nikt nie widział, ale jam jeszcze widziała. Stąd widać dziesięcioro ulic. Przyjrzyj-no się jeno Waćpan, a dasz wiarę.

Kaźmierz wetknął główkę w okienko.

— A prawda. Co tu tego widać! Ulic, domostw, kie-by cacek na stole. Ale co mi tam po tém, wolę z Waćpanna gadać. Ładne było wesele? co?

— Ach! Jam jeno sobie myślała, daj mi Boże nosić taką suknię na mojem weselu.

— A to dziw, jak Pan Bóg te same akurat chęci nam zsyla! Bom i ja sobie myślał: Niech-no się tylko żenie,

a moja panna musi mieć punkt w punkt podobnusienskie obleczenie.

— To winszuję onój pannie.

— Czego? Takowego męża?

— Nie, takowego płaszcza i ukoronowania.

Zaczęli się śmiać i było im bardzo wesoło, kiedy nagle na tę wesołość spadła chmura: mistrz Johann zajrzał do przegrody i mocno brwi naciągnął.

— Co ty tu robisz, Hedvich?

— Ja? Ja tu przyszłam, aby się popatrzeć na ono przecudowne wesele. A dobrodziej widział?

— A widziałem-ci! — odrzekł z pogardliwem wzruszeniem ramion. — Jakoż nie miałem wstać i pojrzyć, kiedy szli z takiemi pieszczkami, coby i umarłych pobudzili? Widno, jakieś uparte katoliki, po staremu święciły swój sakrament.

— Aha! — rzekł Kaźmierz. — Więc to były gody wędle starego obyczaju?

— A tak. U nas w Gdańsku dawniej wszelka Panna Młoda musiała się tak wycudaczyć. Ale jak przyszła nasza wiara, tak i zdnuchnęła te błazeństwa. Bo i do czego to podobne przebrać jakąś mädchen za królowę, kiedy ona właśnie ma wiedzieć, że nie będzie w domu królową, jeno pierwszą służką swego męża?

— A wszelako — rzekła przymilając się panna Hedwiga — jak będzie mój ślub, to ja się tak przebiore. Dobrodziej pozwoli? Ej, pozwoli!

— Nie pozwolę — odparł twardo. Ale widząc, jak panienka znartwione oczy spuszcza i już do nich farsuszek przytyka, zmiękł nagle.

— No no, nie lamentuj, Hedvich. Obaczym jeszcze. A teraz lepiej zejdz do kuchni, pomyśl, co już nie długo czas na mój podwieczorek. Zastaw mi go na beiszlagu.

Panienka potoczyła wkoło wzrokiem zasmuconym; widocznie żał jój było stąd odchodzić. Jednakże krótko się wahała; jeden dyg, drugi dyg, i zaczęła zlatywać po schodkach z takim chrzęstem sukni, jakby wicher się tam zakręcił.

— A to się Panu Bogu stworzenie udało! — zawołał pan Kaźniérz. — Nie dziewczka, jeno marcypan. Musi w domu pana konzula być konkurentów huk?

Pan konzul najéżył się, jak puchacz, i z ukosa patrząc na młodzieńca, odpowiedział:

— U mnie w domu niepotrzebne konkurenty, bo dla Hedwigi mąż już obmyślony.

Panu Kaźmiérzowi nie podobała się ta wiadomość.

— Czy tak? — rzekł z przekąsem. — I cóż to za jeden, ów obmyślony fenix? Czy także gatunku kupieckiego?

— Tak, Mości kawalerze, i to najlepszego, bo to ja sam.

— W imię Ojca i Syna... Jakoż to może być? A mnie się przywidziało, że to Waścina córka?

— No, niby tak... Ona respektuje mnie, jak oćca, ale ja nie żaden dla niej oćciec, ani ona mi żadna córka. To dziecko wzięte z litości na wychówek.

Pan Kaźmiérz krzywo się spojrział i przez zęby wycedził:

— Hm! Piękny to chrześcijański uczynek, jeno go sobie Waś sownicie własnymi rękoma płacisz.

— Co chcesz, Mości officyerze? Odbierać swoje długie nie żaden kryminał. Wychowała się ta dziewczka moim sumptem i fatygą, niechże mi za to wszystko jako żona

odsłuży. No, i co jój za krzywda? Będzie pania, jakich niewiele w Gdańsku.

— Prawdać i to... in articulo fortunę, jest racya, ale zresztą... Ha, może jój właśnie te luxury do gustu? Pewnie to jaka mizerna sierotka?

Tu kupiec odparł dość wyniosłe:

— Nie wiem ja, czy mizerna, i nie wiem, czy sierota. Może jaka wojewodzianka? Może jest u was jakowys wielki pan, coby oddał cale swoje senatorstwo za odzyszczenie téj dziewczki? Jeno nie wie, że ona u mnie, a ja nie wiem, gdzie jego szukać.

— Co waść gadasz? Jak Boga Kocham, nie a nie nie rozumiem.

— A bo to cala historyja... To jest dziewczynina odbita z jassyru. Naszli my ją na rynku lwowskim.

— Jezus Marya! Józefie Święty! I kiedyż to było? Temu lat piętnaście? Po wiktoryi pana Koniecpolskiego pod Martynowem?

— A tak! Właśnie w onczas. Ale jakżeś to Waszmość utrafił tak richtig w datę?

— A bo i ja wtedy byłem, jako male chłopię, zabrany w ten jassyr! I to jeszcze z siostrą niedużą. I mnie ociec i matka naleźli na Rynku lwowskim, ale onój siostrzyczki już nie odnaleźli. Przepadła, jak kamień w wodę! A może tą panna Hedwiga to akurat ona? Co my jój się naszukali po świecie! Co my przetrzęśli miast i wsiów! I nie!... A teraz oto... Ach, może to sam Pan Bóg mnie tu nagnal? A tożby się pan ociec rozradował! Oj, czemu téż to pani matka nie doczekała téj godziny?

I chwycił się za skronie. A tymczasem kupiec zdumiał się podnosił ręce i powtarzał:

— Herr Gott! Herr Gott! A to naprawdę byłby cudowny casus!

Obaj od wzruszenia zamilkli.

Nagle Kaźmiérz zaczął go trząść za ramię.

— Ależ gadaj Waśc wszystko, co wiesz o tej dziewczynie! Niechże ja wysonduje, czy to Kryisia czy nie Kryisia? Gadaj, bo mnie już emocya zadławia.

— Za pozwoleniem... — stęknął kupiec, wysuwając się z pod żalaznej ręki wojskowego. — Zaraz... opowiem wszystko dokumentnie, jeno tu na strychu jakoś nam nie gładno... Może zejdziemy do komory? Abo jeszcze lepiej na beiszlag? Już dzień roboczy skończony, ja zawdy sobie wieczorem na chłodku siaduję, tam będzie nam najlepiej poszprychować.

— Gdzie chcesz, panie radny, choציaby i w lochu, jeno mi zdejm ten kamień z serca.

I zaczęli co prędzej schodzić.

Kupiec jednak, mimo „emocyi“, zajrzał jeszcze do każdej komnaty, aby się przekonać, czy wszystkie szafy dobrze pozamykane, a potem wpadł i do warsztatu, dla sprawdzenia roboty dziennój.

Tymczasem pan Kaźmiérz zbiegał.

Już ledwie kilka stopni miał do zejścia, gdy spostrzegł w sieni brzeg niebieskiej sukni, wystający z otwartych drzwi kuchennych, i usłyszał głos panny Hedwigi, która mówiła z uniesieniem:

— Ach, Mina! Mina! Co to za kawaler! Jeszczem jak żyję takiego nie widziała! A toć anioł z nieba!

— E! Co mi za anioł, z wąsami? — sarknęła w głębi kuchni Wilhelmina. — I taki na gębie osmałony, jakby z dyablami w pickle przy smole kucharował.

— Ach, nie gadaj tak, Mina... Powiadam ci, anioł. A jaki galant w dyskursie! Bo przyszło i do dyskursu.

Ja chciałam jeno mu się przypatrzeć, więc wyleciałam na schody. A tu on z dobrodziejem zaczyna iść na górę. Więc ja hyc, uciekam. A oni precz coraz wyżej, aż pod dach. Jak mię tam przyparli do ściany, tak już i nie było gdzie uciekać. Ale się fortunnie stało. Gadał mi takie śliczne rzeczy... na ten przykład, że jak ja co pomyślę, to zaraz i on musi to samo pomyśleć.

Tu Wilhelmina zaśmiała się i rzekła:

— Ej, żeby to tak był freibitter, a porwał na swoją freigatkę, toby panienka z nim pojachała na morze, co?

— Ojoj! Na koniec świata! Do Indyjanów, do Ameryków, gdzieby jeno chciał!

Tu okręciła się na wysokim trzewiczku i, nagle spostrzegłszy Kaźmierza schodzącego z ostatnich stopni, cała stanęła w ogniu.

On wpatrywał się w nią dość długo, ale tym razem poważnie, i ujawszy jęj rękę, zapytał:

— Powiedz mi Waćpanna, ile tobie latek?

— Na siedemnasty.

Uderzył się w czoło, szepnął:

— Owóz tedy, nie!

Poczém rękę jęj przycisnął do piersi i znowuż owi-
nął ją spojrzeniem, ale na ten raz już ognistém.

W tęg chwili zalopotalo po schodach ciężkie zstępo-
wanie pana majstra. Panienka furknęła do kuchni, Ka-
źmiérz zaś raz jeszcze przeciągnął ręką po czole i szepnął:

— Nie, to nie Krysia. Krysia miała cztery lata, jak
nas wzięli, toby już teraz miała kole dwudziestki. A mo-
że ta dziewczka kłamie? Ej, chyba nie. Młodzusię to. Ja-
bym na oko i piętnastki jęj nie dał. A przytém i włos
jenszy, i buzia. Tamta była, kieby Cyganeczka. Ach nie,
to nie Krysia. Już ona nigdy się nie najdzie.

I westchnął.

Jednak smętność nie przylegała na długo do jego zuchowatej duszy. Więc zaraz się uśmiechnął i dokończył:

— Że nie siostra, to nie. Ale staremu się nie przyznam. Niech sobie myśli, że siostra. Łacniej mię będzie w domu cierpiał. I ona łacniej przyjdzie do konfidencyi.

Właśnie majster Johann go zachodził i, drzwi otworzywszy, z pięknym ukłonem przeprowadzał:

— Proszę Waszą Miłość na beiszlag. Hej! Słyszysz tam, Hedvich? Przynaszaj nam tu kufle!

III.

Na złotym ganku.

Na tarasie, wzdłuż kraty, pomiędzy zielenią, biegły dębowe ławy o rzezanych oparciach. W pośrodku wznosił się stół okrągły, raz na zawsze już wmurowany i wyrznięty z tegoż samego szarego granitu, co i olbrzymie przedgankowe kule.

Gdy siedli, majster Johann obejrzał się po ziólkach, które dokoła pachniały z doniczek, urwał listek, i, ssąc go w miękkich wargach, zaczął powoli mówić:

— Nie wieleć ja wiem, ale i to jest coś. Owóz, trzeba zacząć od tej biednej Dorotei. Moja żona była z pod Przemysła....

— A! To z moich stron — podchwycił pan Kazmierz. — Ale, cóż u Boga, na jakiz manier nasza Przemysłanka tutaj się Waszeci napatoczyła?

— Nie tu, jeno tam. Trza wiedzieć Waszmości, że my, wielkie kupce gdańskie, mamy dużo konszachtów z Leopolem, bo tamtędy droga na handel z Lewantem. Ja teraz to tam tylko wyprawuję agenty, ale za młodych

lat nieraz, bywało, jadę sam. Tam właśnie wzięła mi Dorotea w oczy.

— A Gładka była?

— A juści, to już keine gadanie. A po coby ja ją wziął? Jam tu mógł dostać bogatěj, ho ho! i jak jeszcze! Ale dla mnie zawdy co schön, to kunsztem pachniało. Gładka była. To jedno też tylko miała. Ha no, była i dosyć dobra, acz — jak to zawdy wasze niewiasty — trocha za harda. Przytém nie dała mi nijakiej konsolacyi. Ale była uczona; czytać, pisać, ani się zajaknęła, powiedam Waszmości, moje Standbuchy to tak trzymała, jakoby rathauzowy secretarius. Cóż, kiedy w domu deserta Arabia! Mnie to było ciężko, a już ona to dzień i noc lamentowała za kinderkiem. Tak zeszło z jakie pięć lat. A właśnie umarł jēj fater. Dużo to narobiło nam gomonu. Dorotea nie wychodziła ze łzów, a jam był zły, bo miała dwie sióstr za mężami, a te mile szwagry chciały nas okpić. Fortunka po tym oćcu i tak mała na śmiech, a oni jeszcze chcą i to rozdrapać. Żona precz gadała: „Oj, żebym ja tam była, tobym nie dała ciebie skrzywdzić“. A jam widział, że jēj się chce w swoje strony, i że jēj się chce jeszcze starą matkę obaczyć i w tym frasunku ją zrekonfortować. A sam woneczas nie mogłem jachać. Ale właśnie tam jachał mój brat, Michael. Możesz Wasza Miłość slyszal o Michaelu Schultzu?

— Tak, coś... To był morski człek?

— Ale gdzież tam! Nigdy. To był sławny majster od zegarów, taki sławny, co nietylko w całej Hanzie miał reputancyę, ale i cesarz Rudolf bierał od niego horologia, i z Paryża o nie pisano.

— Więc ten brat miał jachać do Lwowa?

— Ja. Tedy ja mówię: „Dorotea, pojedź ty z Michae-

lem, obaczysz jeszcze starą matkę i siostróm się nie dasz odrwieć“. A ona całuje mię po rękach. Tandem, pojachali. A tu w jaki miesiąc potém straszne rzeczy gadają ludzie: jako tam wpadli Tatarowie i pod Leopolem już plądrują. Tedy ja drzę o brata i także też o moją Doroceę; A tu po jakich dwóch miesiącach są! Wracają zdrowi, żona przywozi trochę geldu po oćcu i w dodatku co jeszcze? Malego kinderka.

— O! Proszę!

— Cóż, kiedy nie swoje to było dziecko, jeno znajdek. A w takich okrutnych imprezach nalezione, co i trudno uwierzyć, i ja też babskiemu gadaniu małobym dał wiary, ale Michael tam był okulatem, a ten zawdy prawdę mawiał. Owóz tedy prawili tak we dwoje, co Tatarowie, rozłatawszy się po kraju, nie łapali prawie nijakiego niewolnika, jeno samych dzieciów.

— A tak, prawdę wam brat powiedział, oni na to najbardziej lase, bo to ze starego już nielačno uczynić poganina, a z dzieci to zaraz narobią sobie Turków i Tatarów; i jeszcze potém to biedactwo bije się za wiarę Mahometa, i to z takim zawziątkiem, jak żaden rodzony Turczyn. Zwyczajnie, zaprzaniec. Niechże będzie pochwalony Majestat Boski, że mnie na podobną infamię nie przyszło, a już mi było bliżusio, boć ja już piszczałem w ich rękę, i nigdy pono jeszcze tyle tego małeństwa nie trzymali w garści.

— Otóż to właśnie i mnie tak prawil Michael, co jeszcze, póka świat światem, nie nabrano tyle dzieciarni w jassy; to — prawil — nie na sta, ni na tysiączki, ale na dziesiątki tysięcy; jak fury z onymi jeńczykami zaczęły ciągnąć za Orda, to ciągnęły całkie trzy mile niemieckie. To — prawil — była czysta wojna anty-kinderna.

Owóż, kiedy ten wielki generalissimus Koniecpolski rozbił ich na trzaski, tak tedy po wiktoryi patrzy, a tu owe trzy mile pełne fur z dzieciąszkami. Co tu z tém robić? Jedne zara na miejscu pobrały to oóce, to bracia, co kto swego znalazł. A resztę zawieźli do Leopola, i tam na Rynku tak wystawili, jakoby w jarmarcznej budzie. Tam tedy zjeżdżały się matki różne, każda swego maleństwa szukała, a co nie znalazło ni matki ni oóca, to poczciwe mieszczeni leopolskie rozebrały pomiędzy siebie. A co to tam były za lamenty i jubilacye, ci się poznają, owi swego nie znajdują — tu się ściskają, tam płaczą — to jakoby Sądny dzień.

— Komu to Waszeć mówisz? Wszakci ja tam był — i sprawiedliwie gadacie, co Sądny dzień, bo istic wszyscy my znartwychwstawali, i jedni szli do rajy, do rodziców, a drudzy niekoniecznie do rajy, boć to tam niejedno pańskie dziecko poszło na nędzę do chałupy, abo i z ran zmarniało, nim je swoi odszukali.

— A tak, właśnie; i wiele było i takich, co się nikt o nich nie spytał, nie wiem z jakowej tam racyi, czy że im Tatarowie ubili familie, czy że na czas nie zdążyła z szukaniem? Owóż tedy moja Dorotea, slysząc wielkie cuda o téj nieslychanej tragedyi, wybrała się takoz z Michaelem na Rynek. Poszli jeno tak, byle się napatrzeć, aleć jak obaczyła tyle tego maleństwa, ona, co się kochała w dzieciach, tak zara serce jój spłynęło dezolacyą i affektem, a kiedy jeszcze widziała, jak mieszczeni leopolskie rozbierają między siebie sierotki, tak sobie — powieda — zara pomyslałam: „A toć mię Pan Bóg na to właśnie tu przysłał, abym i ja tu sobie wybrała pociechę“. A było w czém wybierać, jeno kłopot co brać? Bo i to ładne, i to gładkie, a wszystko nieszcześliwe. Wszelako najbardziej wpadło jój w oko to, co było najmniejsze, niemo-

włę malusie, co piszczało tam na słomie, tak — powie­da — jakby ten vogelek, co go złe chłopcy z gniazda precz wytrzesły. Niewiasty po kolei to lulały, przynosiły temu trochę mléka, ale wziąć nikt nie śmiał; każdy wolał brać starsze, bo to już łatwiejszy odchówek, a to było takie subtelne, że i dotknąć strach, i szatki były na tém bardzo pańskie. Dorotea tedy czekała jeden dzień, i drugi dzień, i trzeci, aż obaczy, że ani żadna matka do tej odrobiny się nie przypytuje, ani żadna inna nie przygarnia, tak czwartego dnia zabrała, jakby swoje, i mnie tu przywiezła.

— I cóż Waszeć, ucieszył się?

— Bogać ja się tam ucieszył! Żeby jeszcze chłopiec, to nie powiem, ale żona mi gadała tak: „Jakbym ja wzięła chłopca, tobyś ty go wychował na lutra, a jak dziewczynę, to będzie moja dziewczka, i zrobię z niej dobrą katoliczkę“. I prawda, zrobiła z niej taką zelantkę, jak i sama była. A kiedym jój mówił: „A kto wie, czy i ona nie luterka? Małoż to w Polsce dysydentów? A może nawet z Aryjanów?“ To ona mi pokazała szkaplérz, co znalazła na szyi dziecka, i to już keine gadanie była racya, bo żaden z naszych nie zawiesi dziecku na szyi takiego bałwochwalskiego amuletu. Nie marszcz się Wasza Miłość, każdy gada wedle swojej perswazyi. Owóz chciała bardzo, abym i ja miłował tę dziewczkę, i nazwała ją Hedvich, że to niby ta Święta była Niemka, a swoją drogą jest Patronką polskiego narodu. Alem ja długo nie mógł cierpieć owęj dziewczyny; bo jak się Dorotea w niej rozpasyonowała, tak już i Handbuchy w ką, i gospodarstwo w ką, i pan mąż w ką, nic tylko Hedvich i Hedvich. A jak dziewczka podrosła, tak jeszcze gorzej, bo com ja miał jedną katoliczkę w domu, to teraz dwie, a nie wiadomo która większa zelantka? A jak mi zaczęły sprowadzać,

a to Dominikanów, a to takich, a to siakich mnichów, tak i minister już nie chciał do mnie przychodzić na kunsztyczek bieru. Fukalem, krzyczałem, aleć one zawsze postawiły na swoim, bo to były obie takie łasiwe, że i dyabeł dalby się zawojować. Zwyczajnie, polnische frau.

— I kiedyż to Waszecz postrzegłeś, że jednak ta panna Hedwiga warta miłowania?

— Póka Dorotea żyła, tom ja ją zawdy miał za małe i liche dziecko, dopiero jak żony zbrakło, jak ta zaczęła mi usługiwać, a nadskakować, jak rodzonemu oćcu, tak nakoniec i postrzegłem, że to bestyjka cudna, bo i buzia gładka, i włos jakby z bernszteinu, i pańska maniera, i serce pełne rekognoscencyi, zgoła, gdyby nie ta żarliwość wedle wiary, toby na świecie nie było lepszój dla mnie żony.

— I nie boisz się Wasze onój żarliwości?

— Ba! Poradziłem z jedną, poradzę i z drugą. A to tém łacniej, że tu mam niby i ojcowską władzę. Kto to wie jeszcze, jak to tam dalej będzie? Abom to ja raz widział największe fanatyczki, co jak poszły za lutrów, tak się i nawróciły?

— O! Tegobym nie radził Waszeci, bo nużby się znalazła jój familia, toby z Waści duszę wywlekła.

— Ja téż nie myślę gwałtów robić, jeno tak sobie mówię: Będzie chciała do nas przystać, a no, to chwala Bogu — a nie będzie chciała, to i bez tego gładka. Co mi tam u niewiasty doktorskie dysputy? Byle ją na gębie Pan Bóg pobłogosławił, to już i dość dla niój mądrości.

W téj chwili drzwi domu z wewnątrz się rozwarły, i wyszedł z nich nieśmiało Kornelius, już bez fartucha czeladniczego, z holenderska, ciemno przybrany, z czystą krzą i włosem porządnie przygładzonym.

Stanawszy bokiem na progu, ręką przytrzymał za

sobą drzwi rozwarła, dla przepuszczenia Hedwigi, która z głębi sieni nadchodziła, czy raczej nadpływała, z tą wyprostowaną, niby labędźnią postawą, jaką przybiera osoba, niosąca w obu rękach coś ciężkiego. Hedwiga niosła tacę krągłą, z hebanu kunsztownie wytoczoną, a na niej dzban i kilka wysokich szklenic. Wszystkie te naczynia, opatrzone srebrnymi pokrywami, były ze szkła ciemno-zielonego; na tém tle krotochwilny jakiś artysta pomalował figurki osobliwszych garbusków, o czapkach uszatyh, o strojach pstrokatych, jakoweś karły, koboldy czy téż błazny, którym z ust wywijaly się wstęgi, zapisane niemieckimi conceptami. Wyżej, garbuski zupełnie takież same, tylko już ze srebra wyrobione, gonily się w pociesznych skokach, tworząc przy kuflach srebrne ucha i klebiąc się na pokrywach, jakgdyby w poplątane guzy. Oprócz dzbanka i kufli, był jeszcze i chiński talerzyk, a na nim, w małą szychtę ułożone, majączone złotawe krajanki piernika toruńskiego.

Na ten widok, pan Kaźmierz zerwał się i skoczył po rycersku, ażeby z rąk panięńskich odebrać tak niewygodny ciężar, na co znów panięńka nie chciała pozwolić. W tém certowaniu się wzajemném szklenice już zaczęły dzwonić, i tylko dzięki obustronnej zgrabności taca bez szwanku dojechała do stołu.

Mistrz Johann ruszał nieznacznie ramionami, nakoniec ozwał się:

— Po co téż to Wasza Miłość czynisz sobie subieckycę? Dziewki rzecz usługować mężom.

— A jakże Waszecz chcesz, abym nie ulżył fatygi mojęj pannie-siostrze?

— A co? Jak ona się uciesznie patrzy? — zawołał majster, widząc zdumienie, z jakim Hedwiga spojrzala na pana Kaźmierza.

— Słyszysz, Hedvich? Ten kawaler mi tu właśnie rozpowiada, że i on także był w tym samym kinderkowym jassyrze, co i ty, i że tam zgubił jakąś małą siostrzyczkę, i że całe życie jój szuka, i że to może ty właśnie jesteś oną siostrą?

— Jezu miłosierny! — zawołała, składając ręce jakby do modlitwy. — Więc na koniec końców mogłabym wiedzieć, co ja za jedna, i to właśnie Waszmość...

Tu nie dokończyła, i tylko ze złożonemi wciąż rękoma podniosła oczy na młodzieńca.

On wpatrzył się w nią przenikliwie, chcąc wyczytać z jój twarzy, jakie wrażenie ta wiadomość na niej uczyni?

W pierwszej chwili nic nie dostrzegł oprócz dziecięcego zdumienia. Ale co dostrzegł wyraźnie, to ponure oczy Korneliusa, które z poza ramienia Hedwigi strzeły ku niemu niechętnie i podejrzliwie.

Nie podobało mu się to spojrzenie, i odpowiedział na nie wzrokiem pełnym wzgardy, która wyraźnie mówiła:

— A ty jakiś mizerny czeladniku, co tobie do mnie, porucznika Jego Królewskiej Mości?

Hedwiga, wciąż trzymając ręce złożone, zapytała:

— I Waszmość masz rodzice? Ojca? Matkę?

— Ach!, matki już nie. Ale pan ociec żyw.

Przez ten czas gospodarz nalewał piwo do kufli. Jeden dla gościa, drugi dla siebie, trzeci podał Korneliusowi.

— No, teraz — rzekł — kiedyś już Wasza Miłość ze mną zatrinkował, racz- że nam powiedzieć, jak mamy Waszmość tytułować?

— A pr. wda! — odrzekł śmiejąc się młodzieniec. — Jam zapomniał się sprezentować z godności, a Wasze-

cina dyskrecya wielce, jak widzę, cierpliwa. Owóż tedy jestem Kaźmierz Korycki, herbu Prus Primo.

Po twarzy pana rajcy przeleciał maleńki cień rozczarowania. Zapewnie spodziewał się jakiegoś słynniejszego nazwiska.

Ale Hedwiga powtarzała z radością:

— Korycki! Korycki! Jak to się wdzięcznie wymawia! Może ja panna Korycka? No, a ten herb, jak on wygląda?

Pan Kaźmierz zdjął z palca krwawnikowy sygnet i, podając go panience, mówił:

— Patrz Waćpanna, tu jest półtora Erzyża.

— Aż półtora? Jezu Chryste! Dlaczego?

— Dlatego, że nasze dziady zawdy się za krzyż bily i nieraz téż za to krzyż Pański zносиły. Exemplum: Święty Stanisław ze Szczepanowa, który tegoż klejnotu, co i my, zażywał.

— Tegoż samego? Czy to może być?

— A tak, nieinaczéj. Potém niektóre jeszcze familie pododawały tu kupę różnych emblematów, jakieś kosy, jakieś podkowy, z czego sobie porobily Prusy Drugie i Trzecie, ale my trzymamy się starego, najlepszego, bo, jak powieda pan miecznik, mój ociec:

Dla żołnirza

Dość jest krzyża.

Panna Hedwiga tymczasem, obracając sygnet na wszystkie strony, mówiła:

— O Jezu kochany! Jakież to nabożne! I jak rychtownie wyrzeżane!

Aż nagle posmutniała.

— Wszystko to dobre — rzekła — jeno kto i jako to zweryfikuje, czy ja naprawdę siostra Waszmościna?

— Sprawiedliwie Waćpanna prawisz. Niełacna to rzecz będzie. Waćpanna nie nie pamiętasz? Nie nam nie przycytujesz?

— O Boże, jakóż ja mam pamiętać, kiedy ze mnie było niemowlę? Aniby ja wiedziała o téj mojej niewoli, żeby pani Dorota i starszy pan Schultz nie byli mi o niej gadali. Kiedym ja słuchała, to jakby gadali nie o mnie, ale o inszej personie.

— A dokumentów téż nie macie Waćpaństwo ni-jakich?

— A jakoweż dokumenta mogą być? — odparł majster. — Chyba one szatki, co je miała na Rynku leopol-skim. Chcesz Waszmość, to choć to pokażę. Wolać mi tu Minę!

I przywołanej Minie rozkazał, aby przyniosła „kin-derkowe“ szatki.

— Jest-ci — dorzuciła Hedwiga — i ten kochany szkaplirzyk, aleć on nie nie powieć.

To mówiąc, z pod kręzy wyciągnęła szkaplerz mocno już znoszony.

Pan Kaźmięrz pochwycił skwapliwie ten przedmiot, co przed chwilą spoczywał na jej łonie, i ucałował go z podwojoném nabożeństwem.

— I Waćpanna zawdy to nosisz?

— O, zawdy! Już się sznurek przetarł, że ledwie dy-szy, ale ja nie kładę nowego, bo to ten sam, uważ-że Wasza Miłość, ten sam, co mi tam kładły rodzice, pewnie dufający, jako mię ta świętość zasalwuje.

— Aha! I pięknie zasalwowała! — podchwycił szy-derezo pan Schultz.

— Aj, nie gadajcie tak, dobrodzieju. Zasalwowała,

i jak jeszcze! Wszakim ja nie ostała u Tatarów, jeno u dobrodzieja chowam się po chrześcijańsku.

Tu pochyliła się do kolan rajcy, a ten, głaszcząc ją po głowie, mówił:

— Ej, ty ty łasico, ty zawdy umiesz wszystko miodem pośmarować.

Widząc tę pieszczotę, chociaż zupełnie ojcowską, pan Kaźmiérz zacisnął pięści pod stołem i miał ochotę powiedzieć panu majstrowi coś przykrego. Na szczęście, w téjże chwili powróciła Mina, niosąca piękną szkatułę z drewnianéj mozaiki, o brązowych listwach i antabach.

— Widzisz Waszmość — rzekł gospodarz — jako to moja Dorotea miłowała naszą Hedvich, te nawet oto jéj gałganki chowała, niby jakie świętoście, w swoim najlepszym sepeciku.

Tu podniósł wieko, i pan Kaźmiérz zobaczył najprzód sukienkę z niebieskiego teletu, naszywaną drabinkami ze złotych passamonków, obrzeżoną u dołu i u góry sutém nanaszczaniem ze złotych koronek, czyli, jak wówczas nazywano, „forbotów“. Sukienka była długa niby worek, ale małeńkie rozmiary staniczka, drobniutkie otwory na szyjkę i rączki dowodziły, że nosząca je dziecina nie mogła mieć więcej nad sześć do ośmiu miesięcy. Pod sukienką leżała koszulka, jeszcze drobniejsza, cała zahaftowana mnóstwem flamandzkich wszywek i obszywek, niegdyś białych, dziś od zżelenia mocno żółkłych.

Pan Kaźmiérz, patrząc na te ubiorki, pomyślał sobie:

— No, już teraz wiem dokumentnie, jako to nie jest Krysia, a to dla dwóch racyi. Pierwsza racya, że Krysia nigdyby w to nie była wlaźła, kiedy już miała w one czasy kole czterech latek. Druga racya, że w naszym szaraczkowym domu nigdy takowych luksusów nie znano. Pani

matka sama nie nosiła nijakich forbotów, ni białych ni złotych, a jeszczeby miała dzieciaki niemi pstrzyć? A toćby jój pan ociec, Boże odpuść, był na skórcie forboty wydeseniował. Nie, to nie Krysia, i basta.

Jednakże pan Kaźmierz nie zdradził się z żadném z tych spostrzeżeń i ani zmrużył oczu, gdy pan rajca, wytrzasając sukienkę, mówił:

— Zbrukana-ci ona, i nie dziw, przeszła bez łapy tatarskie i bez Rynki leopolskie, aleć zawdy widno, jako to z pańskiego domu dziecko, z takiego, jak Waszmościny, nieprawdaż?

Zagadnięty wywinał się uwagą:

— Ale jakożeś to Waćpanna robiła, aby się zmieścić w takowy łątkowy przyodziewek?

A gdy Hedwiga zapytała:

— Powiedz mi Waszmość, czy ta siostrzyczka była wonczas taka malutka, jak i ja? A może Wasza Miłość sobie przypominisz, czy miała takowy przyodziewek?

Odpowiedział wymijająco:

— Juścić że mała była, to wiem. Ale czy miała takową sukienkę, tego ja wiedzieć nie mogę. Takie kuse chłopię, jakom ja był wonczas, nie baczy na żadne ochędóstwa białogłowskie, jeno za batem i konikiem się ugania. Ale ja powiem Waćpaństwu tak: Jutro wracam doma. Tedy opowiem wszystko panu miecznikowi...

— Co to za miecznik? — spytał majster.

— A no, mój ociec. Tedy powiem wiernie panu oćcu, a juści on będzie wiedział najlepiej, czy Krysia miała takowe przyodzianie i czy nosiła szkaplirzyk, co jest u dziecka rzecz niebywała i może stanać za „lico“. Tedy Waćpaństwu napiszę, co pan ociec powiedział, a może i sam przywiozę tę odpowiedź. Nie miał-ci ja już, co

prawda, tu powracać, ale dla panny siostry warto jachać i do morza, i nawet za morza.

— Rozumnieś Wasza Miłość zakonkludował. Tedy Hedvich nie masz tu już co robić. Odnies ten sepecik do Miny i ostań się tam w kuchni, a dopilnuj dla mnie kolacyi.

Ale pan Kaźmierz okrzyknął się gwałtownie:

— A nie rób-że mi Waszeć tak okrutnej krzywdy. Wszakci ja wciąż gadam, jako jutro jadę, niechże dzisiaj jeszcze nacieszę się panną siostrą.

Hedwiga także, składając ręce, mówiła z przymileniem:

— Ach, dobrodzieju! Tam w kuchni takowy skwar! Jużem ja do kolacyi wszyściutko wydysponowała. Pozwól mi tu ostać...

Majster w końcu przystał, choć niechętnie.

— Ha no, to już i ostań, jeno weź-że się do roboty, abyś nie siedziała, jako ten szyld malowany, co to mówi: „A patrzajcież na mnie!”

Panienka, ucieszona, pobiegła do sieni, skąd wtoczyła na ganek leciuchny, misternie rzeźbiony kołowrotek, a Kornelius przyniósł dla niej zydelek z białego jaworowego drzewa; śliczny to był sprządek; na trzech skośnych, kręconych nóżkach miał deszczułkę z brzegiem wyrzynanym w liście jakby wianek, a z tyłu oparcie, wązkie w obsadzie, coraz szersze w górze, całe wzorzysto pokłute w przezrocza, niby wachlarz ze słoniowej kości.

Na tej filigranowej podstawie panienka przysiadła lekko, jak ptaszę na gałązce, i błękitnym trzewiczkiem wprawiwszy w ruch warczące koło, zaczęła skręcać długie nitki lnu blade-zółtego, jak jej włosy.

Przy tój robocie tak cudnie wyglądała, że Pan Kaźmiérz zapatrzył się w nią całemi oczyma, całą duszą, i zapamiętał się zupełnie.

Już nie wiedział ani gdzie jest, ani kto na niego patrzy, tylko sam patrzył patrzył, i w duszy sobie powtarzał:

— Apparycyo ze złotą nitką, bądź-że Parką mojego żywota!

Nagle przypomniał sobie, gdzie i u kogo bawi, odkrzknął, zwrócił głowę do pana rajcy i mówił:

— Przypatrowam się bacznie pannie siostrze, bo chcę sobie zrememerować, do kogo z naszej familii ona posiadała podobieństwo?

Tu z kąta głos Korneliusa odezwał się przekąśliwie:

— Juści nie do Waszój Miłości.

Majster spojrzal w tamten kąt zdziwiony, chwilkę pomyślał, potem dobrodusznie się roześmiał i mówił:

— Ollender rzadko powieć, ale już jak powieć, to richtig. Waszność — bez urazy — wyglądasz jak kruk, a oko Waszności to jak ten Pharos, co w ciemną noc nad portem dygota. No, a Hedvich to bielusia jakby jagniątko, a oczko jój Vergissmeinnicht. Gdzież tu familia?

— O, za pozwoleniem! — zaprzeczył z wielką powagą pan Kaźmiérz. — Abo to raz bywa rodzeństwo całé od siebie różné? A wszelako każde z nich podobne do kogoś z antecessorów. Tak i panna Hedwiga... Czekaście Waćpaństwo, do kogo to ona podobna? A! Już wiem. Jakem był mały, przychadzała do nas jedna moja ciotka. Nie była-ci ona już taka młodzusia, ale włos miała żółtawy i oczy jako dwa modre kwiatuszki. Owóż panna He-

dwiga kubek w kubek do niej podobnusienska. O! im więcej patrzę, tém więcej to dopatrowam.

I na rachunek owęj żółto-włosęj ciotki, zaczął znowu, i coraz to już śmielęj, przyglądać się pannie-siostrze.

Ta z początku rada była uwadze braterskiej, przytém i podchlebiał jęj taki hold milczący, bo dobrze czuła, że w tych oczach pała nieopisany zachwył. Niedługo jednak rotowy ich ogień zaczął ją niepokoić i mieszać; po kilku chwilach myślała, że się skręci. Chcąc przerwać ten „urok“, co stawał się cierpieniem, sama wróciła do rozmowy. Uśmiechnęła się i rzekła:

— Ktoby to myślał, że my już raz tak bliżusio kole siebie byli i może na się patrzali, i bez tyle lat nie o tém nie wiedzieli!

— Kędyż to było? — pytał zdziwiony pan Kaźmięrz.

— A no tam, na Rynku leopolskim. Przypomnij sobie Waszmość dobrze, czyś tam nie widział wonezas takiej małej bzdury w niebieskiej szatce i złotych forbotkach?

— Wstydno to wyznać, aleć takowęj panienki nie pamiętam, acz pamiętam wiele innych rzeczy.

— Na ten przykład, co?

— Na ten przykład, kiedy nas wieźli, to pamiętam, jako mię jeden Tatarzyn chciał na wozie związać, a jam się mu nie dawał, i takem się małemi rękami i nogami bronil, i takem się wściekał, że aż pomogło; bo właśnie tamtędy jachał sam ich wódcz, on sławny Kantemir, a obaczywszy, jako się dzieciak broni, zaczął się śmiać, że aż się za boki brał, i coś gadał do mego stróža, a ten zaraz dał mi pokój. Widno, że mu się ten animusz w dziecku podobał, chciał sobie może ze mnie zrobić tęgiego Tata-

rzyna. Aleć ja, leżąc na wozie, takem sobie medytował: „Kiedy się mnie sam wódz pogański przeląkł, to ja w nocy wstanę, i tego Kantemira i wszystkich jego regimentarzy wyduszę, za co mię nasi zara hetmanem okrzykną“.

— A to piękna rzecz, kiedy chłopiec tak eroicznie roi — zauważyła z wysokiem zajęciem Hedwiga.

— Byłby ja téż pewnie w nocy wylazł, i byłiby mię jak szczenię ubili, jeno że właśnie tegoż dnia, jeszcze przed nocą, pan Koniecpolski nadciągnął i wszystkich nas wyzwolił, z czego ja nie był bardzo rad, bo już cały mój eroizim na nic się nie przydał. — Potém znowu pamiętam, że na onym Rynku jakieś tłuste białogłowy posadziły mię na ziemi, pod skarpą jakiegoś ogromnego domostwa, i kazały mi na głos wywoływać moją godność, aby mię familia łacniej odszukała. Ale wnet pożałowały, bo jakem zaczął krzyczyć: „Jam jest Kazio Korycki! Kazio Korycki!“ tak na całym Rynku nikogo jenszego już nie było słyhać, jeno Kazia. Tedy mię znów prosiły, abym przycichł, gębę mi łakociami zatykały, a ja nie, jeno się drę i drę, i takem się darł bez calutki dzień, aż mię i znalazło moje biędne matczysko, co już się téż wyrwało z lyków pogańskich.

— Jakoż to? Więc i matka była w jassyr wzięta? No, a ta siostrzyczka, kiedyż ją z Waszmością rozłączono?

— Od samego początku. Jeden porwał matkę, drugi siostrę, trzeci mnie, i wszyscy się rozlecieli na trzy strony, tak że ja z matką dopierom się tam na Rynku znalazł, a siostrzyczki już nikt nigdy nie widział, ani na pobojuwisku, ani na woziech, ani w mieście. Nieraz my tak myśleli, że ją może Tatarzyn uciekając ubił, bo to nieraz oni wolą dziecko zarznąć, niżeli żywcem ostawić. A może

ten, co ją wioził, potrafił uciec aż na Krym, boć i tacy byli, co się przed nami salwowali. A może to po prostu jesteś Waćpanna?

Tu pan majster, nalewając sobie po raz drugi kufel, otrząsnął się, jak po zimnej kąpieli.

— Brrr... Co to za szczęście, że oni tu nie dojeżdżają! Paskudna rzecz taka wojna. Dobrześ Waszmość uczynił, kiedyś wybrał służbę na wodzie.

— A ja właśnie się już odprawił od Wodnej Armaty.

— O, szkoda! — zawołała Hedwiga i, oczyma zmierzyszy jego postać, mówiła:

— Szkoda! Taki śliczny munderunek!

— I ja powiem: szkoda! Ha no, co robić, kiedy pan ociec każe?

— Dlaczego to?

— Dlatego: było nas trzech braci...

— O? Niceś Waszmość nie mówił. To i oni poszli w on jassyr?

— Nie. Oni, jako starsze, już byli zakami u księży we Lwowie. To ich salwowało. Tedy potém jeden poszedł pod chorągiew pancerną, a drugi do haltylierów. Tedy ja widzę, że już mi wzięli i ziemię i ogień, tedy proszę się pana ośca, aby mi dał iść na wodę, bo to woczes wszyscy gadali, co to będzie za flotta, jakiej świat nie widział, i że król buduje ono warowne miejsce Władysławów. Jam zawdy miłował awantury i takem sobie myślał: „Nicch jeno dostanę się na morze, będzie ich w bród“. Pan ociec długo się wzbraniał, aż mię i odpuścił tutaj. Najprzód więc jachałem na okręciach kupieckich; było się tam i siam, widziało się świata kawał, ale awantur mało. Tedy przystałem do Wodnej Armaty. A tu jeszcze gorzej. O batalię nie łączno, jeśli się trafi, to jak ślepej

kurze ziarno, a służba zmudna i sroga. Już ja tedy myślał wrócić pod flagę kupiecką i jachać do Indyów abo do Ameryki, za onym panem Arciszewskim, co tyle o nim gadania, aż tu przychodzi wiadomość, że starszy brat zginął w potrzebie, a w rok później znowu wiadomość: drugi brat ubity, — a tu pan ociec pisze do mnie: „Wracaj-że, mój ty Beniaminie, boś mi już jeden ostał się na świecie. Służ, jako chcesz, jeno już na łądzie, abyś choć czasami przyjechał do mnie i w gospodarce był mi sukurszem“. — Jakoż to nie posłuchać oćca, staruszka samotnego? Wszystkich potracił, naprzód oną Krysię, potem panią matkę, potem dwóch starszych, już nikogo nie ma, jeno mnie.

— I gdzież Waszmość się zaciągasz, do pancernych?

— Owóz nie. Na wodzie człek odwykł od konia, lepiej mi pójść do infanteryi. Hetman Zamoyski zawdy kawalerów tam namawiał i gadał, jako to teraz największa siła będzie w infanterzach. Tak to różnie ja się już przegryzował przez życie, i, jako widzę, jeszcze przyjdzie przegryzować się na inny manier, a zawdy awantur mało, chyba to może ja dzisiaj na nią się natknął, daj Boże szczęśliwie.

W tej chwili pan majster, który już sobie nalewał trzeci kufel piwa, chciał i gościowi napelnić szklenicę, ale spostrzegł, że jest ledwie troszkę napoczęta.

— O! — zawołał ze zgorzeniem. — Jaki to Waszmość nielaskaw na mój bier. A paradny bier, keine gadanie paradny. Czy nieprawda?

Pan Kaźmiérz, zakłopotany, odpowiedział:

— A no tak... dobry... jeno my na wodzie skapo zżywamy piwa... to człek i nie przywykł.

Gdy kończył te słowa, Hedwiga się zerwała jakby wicher i, wpadłszy do sieni, drzwi za sobą zaparła.

— Co się stało? — zapytał pan Kaźmiérz.

— A kto ją wie? — odrzekł majster. — Ona nigdy nie może na miejscu spokojnie usiedzieć. A i ty, Kornelius, czego tak stoisz, jak ten słup, co drzwi podpira? Siadaj-że na swojém „ruhe“. — Trzeba wiedzieć Waszej Miłości, jako my tu mamy nasze miejsca na zawdy nominowane. Ja siaduję tu pod złotém oknem, i ten kąć zwie się: „Faterstuhl“. Moja Dorotea siadywała tuż kole drzwi, aby łączno mogła dopaść kuchni, to my zwali jój ławę „na tymczasem“. Hedvich na swoim zydelku, my gadamy „na skrzydelku“, bo wiecznie lata. No, a tam po drugiej stronie drzwiów, ten drugi kąć ławy to „Kornelius-ruhe“, bo Kornelius tam nie nie gada, jeno siedzi, jak mruk, i wzdycha za swoim Amsterdamem. A grzeszy chłopak; dziękowałby Panu Bogu, że jest w mieście tak zacném i sławném, jako nasz Dantzig. Gadaj-no, Kornelius, u was tam niéma takich złoconych i rzezanych domów, ani takich beiszlagów, co?

— Prawda, panie majster, beiszlagów niéma, aleć za to u nas w Amsterdamie niech jeno człowiek wsadzi w okno głowę, a już cały dycha słonością wiatrów morskich, a tu co? Ani wie, że jest kole morza.

— Gadaj, co chcesz, już ja tam wolę nie mieć słoności w gębie, a dychać naszą aurą, co jest mocna i słodka jakoby Goldwasser. On mi się zawdy chwali ze swymi Amsterdamami, Rotterdamami, Harlemani, a ja powie dam: pierwsze miasto w świecie — Dantzig. Czy nieprawda, powiedz sam Waszmość?

Kaźmiérz się uśmiechnął.

— Żeby nie Kraków, tobym dał Waszeci racyę.

— Wasza Miłość nie byłeś w Amsaerdamie? — zapytał Kornelius.

— A byłem. Gdzieżem-ci ja nie był? Ze mnie wielki nawigant. Jeno powiedam: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej“. Z tój racyi tóż i Waści, panie czeladniku, nie ganię, że chwalisz swoje Amsterdamy. Każda liszka swój ogon chwali. Niechże Amsterdam będzie ogonem wszelakich miast świata.

Kornelius, który słabo jeszcze pochwytywał odcienie mowy polskiej, zamyślił się, nie wiedząc, czy ma na te słowa odpowiedzieć uśmiechem czy gniewem? W każdym razie, czuł większą skłonność do gniewu. Ten gość, choć prawie nieznamy, był mu od pierwszej chwili niemiłym. Istnieją w ludzkich sercach przeczucia.

Gdy tak sobie nieznacznie docinali, drzwi domu się rozwarły i Hedwiga powróciła, niosąc znowu tacę, nierównie mniejszą, niż pierwsza, ale stokroć piękniejszą, całą wyzłocistą. Na tace stały trzy naczynia, istne pięścidełka sztuki. Nalewka złota w kształcie ptaka, cała emalia-mi różnobarwnymi pokryta, jakby najwytworniejsza kraszka. Przy niej stał kielich ze szkła jasno-amarantowego, wyglądający na olbrzymi, wyzłobiony rubin; po jednej stronie był na nim wymalowany król ptaków, z rozpostartemi skrzydłami, z koroną u głowy; po drugiej stronie był napis polski: „Na zdrowye!“ Między kielichem i nalewką stała na złotój nóżce, mieniąca się stu kolorami opalu, wydrążysta koncha, pełna malutkich marcypanów. Pan Kaźmierz, ze zwykłą zakochanym bystrością, zauważył od razu, że wszystkie miały kształt serduszek.

Pan majster spojrział na Hedwigę z podziwieniem i zapytał półgłosem:

— Kto ci kazał to wszystko tu windować?

Panienska zmieszana odparła:

— Mnie się uwidziało... że sam dobrodziej chciał... Jego Miłości nie smakuje nasze piwko, i pierniczka ledwie nadkąsił, więc dałam petercymentu... no, i tych królewieckich marcypanków... Może będą lepiej do gustu?

— A będą, boś Waćpanna wybrała nic jeno serduszka. Hedwiga zapłonila się po same oczy.

— Wszakci ja mam być siostra, to winnam Waszmości dać serce?

— Biorę tedy serduszko Waćpanny.

To mówiąc, włożył do ust marcypanik, i, smakując w nim z rozkoszą, powtarzał:

— Aj! Co za specyjalik! Do śmierci ta słodycz mi ostanie.

Hedwiga tymczasem, pochyliwszy kraskę, ze złotego jęj dzioba lała napój gęsty i ciemny, tak że kielich z amarantowego stał się morderowym.

Potem powróciła do kołowrotka. Robota jednak szła niesporo, kólko co chwila stawało, prządka wołała zaśluchiwać się w rozmowie gościa.

Ten, ujawszy kielich, wniósł „zdrowie panny-siostry“, pokosztował i mówił:

— Ono zdrowie chciałbym duszkiem wypić, aleć — jako widzę — nie godzi się takowego nektaru łykać bez konsyderacyi. Wyborność.

I powoli popijał, a pijąc przyglądał się ciekawie naczyniom.

— Co téż to u Waszeci precyozów!

— A mamci tego trocha, bom zawdy adorował wszelkie meister-stücki. Ten kielich to pamięta króla Zygmunta Augusta. Nalewka przysła mi z miasta italskiego Firency, gdzie są wielkie majstry złotniki. A ta skorupa na konfekty — patrz jeno Waszmość co tu ko-

lorów lata w oczach, i purpura, i lazur, i złote płatki — to jest morski rarytas, Nautylus.

— Przebóg! Nautylus, o którym jam się tyle naśpiewał! — zawołał pan Kaźmiérz. — A dajże go tu, panie konzulu, niechże mu się naprzypatrowam. Jam go zawdy był taki ciekaw, żem już nieraz chciał jachać na morza greckie, albo indyańskie, aby tę bestyę obaczyć.

— A co to Waszmość śpiewasz o tym ślimaku? — pytała Hedwiga.

— To, co Imci pan Klonowicz o nim pisze w swoim „Flisie“. Znasz Waćpan tę książkę? Nie? A Waćpanna?

— I ja nie znam, jeno pani Flora mi gadała nieraz o takowej pieśni, co ma być „Flis“. I ucieszne to?

— Powiem Waćpannie, cud świata. Jam zawsze kochał się w poethusach. A już na wodzie to najlepsza konsolacya. Bo to na okręciach nudno, ni podwiki ni płasów, dzień jeden jako i drugi. Jak ezlek dorwie się niektórego voluminu, to i dziesięć razy w kółko czyta. Owóż ja tak onego „Flisa“ zwertowałem, co go prawie całkiem mam w głowie. Szkoda, że Waćpaństwo nie czytali, tam jest i o Gdańsku. Jeden z naszych officyjerów przywiózł tę książczynę z Warszawy, to nieraz bywało wieczorami siedzimy na pokładzie, a szczęki nam od ziewania trzeszcza, alić jak on zacznie nam one wiersze dyktować, a my wszysey chorusem powtarzamy, tak i wieczór zleci, jakoby z bicza trzasł.

— I co on tam — pytała Hedwiga — może pisać o takowym mizernym robaczku?

— Cheesz Waćpanna, to zaśpiewam?

— A mój Boże! Toż dopiero będzie nam uciecha!

— A może na ulicy nie uchodzi?

— Aleć owszem — nalegał majster. — My tu sobie

nieraz na beiszlagach takie wyprawiamy chorały, jakoby we Zborze.

— Owóż słuchajcie Waćpaństwo. Ja to zawdy śpiewam tak, jako się śpiewa stara pieśń:

„Przeciwnie chmury słońce nam zakryły...“, bo tak sam author pisze na tytule. „Chcesz-li — powieda — możesz śpiewać Flisa na te note jako one Przeciwnie chmury“. — Szkoda, co niema lutniey, to służy na podpórkę dla gardła, jak czekanik dla ręki. Ha no, jakoś to będzie.

Tu przetarłszy czoło, dla przywołania wyrazów do pamięci, zanucił głosem bardzo pięknym, pełnym filuternych zwrotów:

„Jest ryba trefna, rzeczona Nautilus,
„A od niektórych nazwana Pompilus,
„A naszym polskim możesz ją językiem
„Zwać żeglarczykiem.

„Bo z siebie własny uczyni okręcik,
„Jakby błazenek i morski natręcik,
„Gdy sobie igra za czasu pogody
„Po wierzchu wody“.

— Jezu kochany! Co to za pieszczona piosenka! —
wolala Hedwiga, składając w zachwyceniu ręce.

Śpiewak poklonił się z uśmiechem i dalej nucił:

„A już się z morza nad wodę wydzwignie,
„Najpierw z siebie powódź precz wyrzynie,
„A gdy się ulży, stroi dziwne cuda
„Ona obluda“.

— Jezu kochany! Obluda!

„Wspłynawszy na wierzch, wypręży się opak
„I położy się nakształt okrętu wznak,

„Wnet miasto żagla nastoperozy wzgóre
„Posłuszną skórę.

„I płynie sobie, by co statecznego,
„Jak bosman, gdy co prowadzi grzecznego...”

— Selr gut — pochwalił pan rajca.

— Czekaże Waćpan... Jak bosman... jak bosman,
gdy co prowadzi grzecznego... Jak to tam dalej? A!
Już mam:

„A gdy się czego on Pompiliusz lęknie,
„Radzi o sobie bez mieszkania pięknie,
„Gdy zasie znowu słoną wodę pije,
„W morze się kryje.

„Tam na to patrząc, w głowie sobie kryślił
„Człowiek roztropny i okręt wymyślił.
„Tak wzór rzemiosło z przyrodzenia brało,
„Gdy nastawało.

„Więc na ryby kształt wnet skutę urobił,
„I udychtował i żelazem obił,
„Sztaba miasto łba, a rufa sprawiona,
„Miasto ogona.

„A miasto skrzeli, dla pewniejszej jazdy,
„Przy burtach obu rozsadził pojazdy,
„Stądże do czółna, stądże też urosło
„Do łodzi wiosło.

„Tak nauczyła roztropna natura
„Urobić skutę zmyślnego Mazura...”

— Ale co to ma być? Tu mi ktoś przygrawa? —
zawołał pan Kazimierz zdumiony, posłyszał bowiem, że
przy ostatnich kilku wierszach jakieś dźwięczne struny

towarzyszyły jego śpiewce. Zaczął się oglądać, i tuż na sąsiednim ganku spostrzegł piękną damę w żalobnym stroju, z lutnią w rękę. Pan Schultz i Hedwiga także spojrzeli w tę stronę i razem zawolali:

— Pani Flora! Jest pani Flora! Jak to dobrze!

Pani Flora ozwała się do pana Kaźmierza:

— Cudnie Waćpan śpiewasz, jenoś polknął czworo strofów, co tam w środku siedzą.

Pan Kaźmiérz się tłumaczył:

— Boś mi Waćpani szyki popsowała tą siurpryżą. Ani ja się spodziewał takowego akkopaniamentu. A skąd to Waćpani znasz tę notę?

— O Boże! Jakoż nie mam znać? Ja to poema umiem, jako pacierz, i godzinami sobie przy lutniewy nuce. Ja bez wirszów i bez amorów nie mogę nijak żyć, a teraz, kiedy w tych oto kirzech Amory mię odbiegły, już tylko śpiewaniem się cuce. Chcesz Waćpan, to razem zaśpiwamy?

— Jeno — przerwał majster — już nie o tój skorupie. Śpiewajcie nam lepiej o naszym Dantzigu, jakoś Wasza Miłość powiedział, że w tój książce i o tём stoi.

— Hm... Nie wiem, czy sobie przypomnę — mówił zakłopotany pan Kaźmiérz.

— Ale ja przypomnę — podjęła pani Flora. — To tam, gdzie on powie:

„Drażniem to zową, kędy port zawarto“.

— A! Już wiem. — I zaczął znowu śpiewać, podtrzymywany przygrywką i głosem pani Flory.

„Tu już przyjedziesz do misternej Windy,

„Tu ujrzysz dziwnych rzeczy na przebindy“.

— Uważasz, panie majster, on tu wyraźnie pisze o Waszecznych bursztynach. Tedy:

„Tu ujrysz dziwnych rzeczy na przebindy,
„Jakom powiedział, już tu masz Szpiklerze,
„Masz i machlerze.

„Masz Most Zielony, cel naszej roboty.
„Tu wzwody, wschody, dziwne kolowroty.
„Masz wagę, trety, ławy, dziwne sprawy,
„Różne zabawy.

„Tu masz okręty z płóciennymi skrzydły,
„Tu masz z Zamorza dziwne skrzydływidły,
„Maszty wyniosłe z bocianiami gniazdy,
„Pod same gwiazdy.

„Tu w stradyjetkach masz śmiałe bosmany,
„Masz z dalekich stron kupce i ziemiany.
„Przedawaj, kupuj...”

— Jak to tam u licha dalej? Aha...

„Chwał przedawając, gań kupując. Kupca
„Nie chciej mądrego, szukaj sobie glupeca...”

Tu śpiew został przerwany przez ogromne śmiechy i oklaski. Pan Kźmierz, który siedział odwrócony od ulicy, obejrzał się i teraz dopiero postrzegł, że na wszystkich tarasach, jak mógł okiem sięgnąć i w prawo i w lewo, siedziało także mnóstwo osób; gospodarze przy szklenicach, panie i panny z robótkami; dzieci bawiły się na schodkach. Wszystkie te grona słuchały z wysokim zajęciem nieznanéj dla wielu pieśni Klonowicza, a ostatnie słowa, dobrze trafiające do ich zmysłu kupieckiego, wywołały wielką wesolość. Zaraz też towarzysztwa innych ganków odpowiedziały na ten śpiew innym śpiewem; jedni wykrzykiwali pustackie „Gaudeamusy“;

druzdy bajeczki niemieckie o „Mądrym Lisie“. Na poprzecznej ulicy ozwał się nawet któryś z Choralów Lutra.

W tym chaosie głosów trudno było myśleć o dalszém śpiewaniu „Flisa“. Pan majster odezwał się do pani Flory:

— Przeszłabyś Frau lepiej do nas.

I podał jój rękę. Ona położyła lutnię, weszła na ławkę i, przeskoczywszy przez obie poręczce stykających się z sobą ganków, usiadła obok Pana Schultza.

— Prezentuję Waćpani wielkiego u mnie gościa. Oto IMci Pan Kaźmierz Korycki, erbu Prus, officyjer królewski od Wodnej Armaty. A oto pani Flora Korwiczkowa, wdowa po moim dobrym somsie dzie, co był sławetny pan Bonifacyusz Korwiczek, majster passamonnik, i to majster nad majstry. Takiego drugiego nie mamy już w Danzigu.

Temi słowy zapoznawszy swoich gości, pan konzul zaczął opowiadać pani Florze dziwną przygodę, dzięki której Hedvich, jako się zdaje, odnalazła brata i rodzinę. Piękna wdowa, słuchając z niezmierném zajęciem, spoglądała kolejno z pod oka, to na pana Schultza, to na pana Kaźmierza, jakby w duszy chciała ich obrazy porównywać i coś z onych porównań wysnuć.

Pan Kaźmierz przyglądał się jój także pilnie, i nie bez podziwu. Ubiór i postać tworzyły tu zupełne przeciwieństwo; ubiór był żalobny, surowy, smutny; z całej zaś tój fertycznej osobki bilo tyle zdrowia, blasku i wesołości, że wszystko razem wyglądało tak, jakgdyby kto czarną wstążką przewiązał pęk róż stulistnych. Pani Flora była istotnie podobna do róży, pierś miała wypukłą, na licach kwitnące rumieńce. Musiały jednak pod tą wabnością kryć się kolce nieugiętej woli, bo wkoło

warg rozkosznie rozchylonych snuł się ciemny meszek, a z pod brwi prawie czarnych, równych, długich (zadziwiająco równych i długich) świeciły oczy podbójone, na których dnie połyskiwało coś twardego, jakby stalowa blaszka.

W owym téż, na pozór skromnym ubiorze, po bliższym rozpatrzeniu, wzrok odnajdywał mnóstwo szczegółów, świadczących, że piękna wdówka więcej musiała myśleć o żywych, niżeli o umarłych. Suknia była wprawdzie z czarnej wełny, kołnierż płócienny gładko wywinięty, ale jedno i drugie skrojone tak prześlicznie, noszone z takim wdziękiem, że i różowa szata nie wydałaby się weselszą. Miała téż na głowie czepiec wdowi, jak przystało z czarnych nicianych koronek, ale jego małeńki okrąg był tak zalotnie przypięty i swoim aksamitnym języczkiem tak zaczepnie na czoło się wysuwał, że przywodził myśl o ślubnym wieńcu. Miała téż na sobie i trochę klejnotków, jedynych, jakie w czasie żaloby godziło się nosić. Były to trupie główki z białej kości, powiązane ogniwami ze srebra, wyrobionemi w drobnutki kształcie parzystych, nietopórzowych skrzydeł; oprócz takich manelek i zausznic, miała jeszcze u pasa i srebrną banieczkę, którą czasem podnosiła dla wachania, a ile razy odetkała trupią główkę, tworzącą jej koreczek, wnet cudne zapachy rozchodziły się po całym ganku.

— Co Waćpani za elixyry z sobą nosisz? — zapytał pan Kaźmierz.

— Ach, jakoż nie mam nosić? Mnie na Chrzcie Świętym dano Flora, i ja téż, jako ona bogini, bez kwiatów usycham, a tu przy tych kirzech nie mogę się nimi obypować, więc chociaż ich wonnościami się pasę.

— I długoż to jeszcze dla Waćpani tych kirów?

— Ach! jeszcze całe dwie niedziele. A potem już

koniec. Jeno w sercu nie koniec. Do grobu ja będę płakała po moim nieboszczyku. Jak on adorował swoją Florę! Nigdy nie widziała równie zacnej pasyi. Cudny to był człek. Szkoda jeno, że kostera. Aleć też Pan Bóg srodze go pokarał. Nazbyt człeczyna miłował kosteczki, no i teraz już z niego nic, jeno kosteczki.

Pan Kaźmiérz lubił krotchwile, ta jednak nie w smak mu poszła; przyciął usta i zamilkł.

Pani Flora też już na niego nie zważała. Zwróciwszy się całą postawą ku panu Schultzowi, weszła z nim w żywą rozmowę, przyczem co chwila pokazywała w śmiechu swoje wiewiórcze ząbki, albo przyglądała się swojej rączce, ubranéj pierścieniami.

Młodzieniec, widząc, że starsi państwo na niego nie baczą, wstał i przystanął za krzeselkiem Hedwigi. Miał ochotę powiedzieć jéj niejedno słodkie słówko, ale go korcila obecność Korneliusa, tuż poza niemi siedzącego.

Pochylił się więc do jéj ucha i szepnął:

— Czy to ten czeladnik zawdy tak z Waćpaństwem siedzi w kupie?

— A zawdy. Co robić? Dobrodziej wielce go konsyderuje. Ale dla mnie to utrapienie.

— A! I z jakowéj racy?

— Bo mię fatygują te jego wylupiaste, ollenderskie oczy. Gdzie się ruszę, tam i te oczy za mną, jak szpiegusy.

— Żebym jeno śmiał, tobym go przepędził na dziesiątą ulicę.

— Nie czyni tego Waszmość, ja sama go przepędzę.

I, obróciwszy się niedbale, przez ramię mówiła do Korneliusa:

— Skocz-no Asan po nowe powismo lnu. Znajdziesz tam w podwórku, na składzie.

Czeladnik zarumienił się i skoczył.

— Coś Waćpanna zrobiła najlepszego? A toć on za moment znów przylézie?

— To ja go znów przepędzę, chociażby i dziesięć razy. Jakoż się nasza sąsiadka Waszmości wydawa? Urodziwa, co?

Mówiąc to, niespokojnie spojrziała w oczy Kaźmierzowi. Ten się uśmiechnął z wewnętrznego zadowolenia.

— Hoża niewiasta — odparł — jeno musi być okrutnie rezolutna.

— A toś Waćpan trafił w samo cetno. Dobrze to taką być. A ja tego nie umiem, ja się każdego stracham.

— Uważasz-no Waćpanna, jak ta pani Flora mizdrzy się do pana Schultza? Czy oni mają się k'sobie?

— Ach, dałby to Bóg!

— Tak powiadasz Waćpanna? Dałby to Bóg? A mnie się widzi, jako pan Schultz bliżej sobie szuka żonki.

— Skąd się to Waszmości увидziało?

— Bo mi sam gadał.

— Więc on o tém gada? O Boże, jakaż ja nieszczęśliwa!

— Tedy Waćpanna tego nie masz w życzeniu?

— Och nigdy! Ja dobrodzieja respektuję z affektem, jak oćca, i nazywałam go zawdy „faterkiem“, aleć od śmierci pani Doroty i tego mi zakazał. Nie wiem, jak mam gadać do niego, więc gadam: „dobrodzieju“. Co to za nieszczęście, że ta kochana pani Dorota zmarła! Za niéj wszystko było dobrze. Ale ja tego nie zrobię. Jam jéj obiecała, że nigdy nie pójdę za lutra. Dosyćem ja się napatrzyła, jaka to dezolacya, kiedy mąż innéj wiary, a żona innéj.

— Bardzo ja szczęśliw, że Waćpanna jesteś takowej rezolucyi.

Hedwiga stanęła w płomieniach i, podnosząc nieśmiało oczy, zapytała:

— A co to Waszą Miłość może obchodzić?

— A i bardzo. Jeśli ja Waćpannie mam być bratem, to nigdy nie dam assentymentu na takowy niekłejnotny maryasz.

Hedwiga spuściła oczy.

— Ach tak... Prawda... Waszmość masz być bra... Zamilkli przez chwilę.

Właśnie też wracał Kornelius, niosący aż dwa powisma. Hedwiga zaraz mu jedno kazala odnosić na powrót, potem go słała do Miny, dla dowiedzenia się, czy prędko będzie gotowa wieczera, a nakoniec kazala mu szukać swojej chustki, téj z niebieskimi chwaścikami, którą zostawila gdzieś, sama nie wie w jakiej komorze i na jakim piętrze. Tym razem Kornelius siedzial bardzo dlugo, dziesięć razy obiegl wszystkie piętra i obszukiwał wszystkie kąty, nakoniec wrócił bardzo zmartwiony, nie odnosząc chustki, a to dla wielce prostej ale jemu nieznanej przyczyny, że chustka ciągle spoczywała w Hedwigowej kieszonce.

Przez ten czas Kaźmierz i Hedwiga, oparci o złotą kratę, przyglądali się przepływającej publiczności. A było na co patrzeć. Jeżeli w godzinach roboczych dalsze ulice pracowitego miasta przedstawialy się pusto i głucho, zato w godzinie przedwieczornej cały ten tłum spracowany wylegał dla odpoczynku i przechadzki, a wylegał rojnie i strojnie. A stroje pstrzyły się tą niesłychaną rozmaitością, jaka zazwyczaj panuje w wielkich

miastach portowych. Oprócz ubiorów niemieckich i holenderskich, przeważających liczbą, można było dostrzedz i wielu naszych ziemian, łatwych do poznania po czapce włożonej „brodźcem“ i po „marynalce“, czyli pasiastej opończy, jaką się zazwyczaj u nas kładło na samém wsiadaniu do komiegi. Owi sielscy przybysze, sprzedawszy rano swoje żyto albo pszenicę, chodzili teraz po mieście, zadzierając głowę, dziwując się kamiennym ozdobom na domach i zamorskim gościom na ulicach. A było tych zamorczyków niemało: żółto-włose Angliki, kraciaste Szkoty, czarno-okie Portugały z siatką na włosach, jak u białogłowy. Czasem pojawił się człowiek z Lewantu, Grek o kaftanie cudnie wyszywanym, lub Albańczyk biało-fałdzisty; gdzieniegdzie nawet, niby tulipan, zakwitł turban bisurmański. Niektórzy z przechodniów zatrzymywali się przy gankach i przez kraty wiedli rozmowę z siedzącymi na nich mieszkańcami domu, lub, zaproszeni, wchodzili na taras i siadali przy rodzinnych stolach. Inni dążyli na zamiejskie przechadzki, w które Gdańsk zawsze obfitował. Między tymi najliczniejsze były panny, plemię nigdy niesyte ruchu; nałożywszy na stanik małą pelerynkę, obszytą ciemnym passamonem (takim samym, jak i u sukni), a na głowę kapelusz słoniawy o maleńkiem denku i ogromnych skrzydłach (zupełnie podobny do naszych dzisiejszych „pasterek“), szły całemi tródkami, pod wodzą matek lub ochmistrzyń, co je oprowadzały niby dla przyjemności, w rzeczy zaś dla złowienia pana-męża.

— Waćpanna lubisz spacyr? — zapytywał Kazmierz.

— Och, pasyami! Muszę ja być ze wsi rodem, bo

w tych kamiennych ulicach duszę się i więdnę, a zawdy jeno wzdycham do zielonych liściów i łączek. A u pana miecznika czy dom duży? Czy także na nim takie złote rzezania? A ogród jakowy? Czy jak na Biskupiej Górze?

I zasypywała pana Kaźmierza pytaniami o jego rodzinę, o nieboszczkę matkę, a zwłaszcza o tę zaginioną siostrzyczkę. On nierad był przyznać się do niedostatków domowych, ani zgłębiać owego mniemanego pokrewieństwa, jak mógł się więc wywijał i ciągle zwracał jej uwagę na bieżące przedmioty.

— Czy widzisz Waćpanna ten potroisty kołnierz, co wisi temu kawalerowi do pasa, niby trzy maluśkie białe płaszczyki? To najnowsze kawalerskie noszenie.

— Widzę. O jakież to trefne! Jakoby melszpeis, co się nie udał i oklapł.

— A tak, to też to się nazywa „kołnierz z konfuzyą“, niby tak się skonfundował, że, jak Waćpanna z figielkami powiedasz, oklapł.

I śmieli się do rozpuku, z tą pustotą młodości, co tylko sobie szuka pierwszej lepszej przyczyny do śmiechu.

— O dla Boga! — wołał znów pan Kaźmierz. — Cóż to za flotylla ciągnie ku nam?

— To żona i córki tego grubego Van der Herna, co ma pono aż dziesięć okrętów.

Osoby, którym się przyglądali, były spowinięte niderlandzkim „huikenem“, czyli długim welonem, tworzącym rodzaj płaszcza, który się przytwierdzał na wierzchu głowy pod małym kapelusikiem; kapelusik ten, niby grzyb wywrócony, wystrzelał w górę sporym prątkiem, który się zakończył grubą kulą puchu. Ponieważ ta czubata moda panowała przeważnie w miastach hanzeatycznych, często więc owym prątkom nadawano wyraźny

kształt rudelków, a wtedy kapelusik zsuwano tak silnie na przód głowy, że ów rudel sterczał ze środka czoła i groził oczom przechodzących. Widok takich dam czubatych („les dames huppées) nas-by dziś niesłychanie zdumiał i rozśmieszył; Kaźmierz i Hedwiga, widując ich mnóstwo codzien, ledwie czasem na nie zwracali uwagę. Trafił się jednak i taki przystroj, który zdumiał pana Kaźmierza.

— A to co za jedne? — zawołał. — Czego to sobie one tak zakryły głowę?

Mówiąc to, wskazywał dwie nadchodzące, bardzo zgrabne damy, które miały głowę i stan spowinięte w kaptury koronkowe, w rękach okrągłe wachlarze z piór puszystych, a na twarzy czarne aksamitne pół-maski.

— To przyjezdne — objaśniała Hedwiga. — Pono z angielskiego kraju. Tamtejsze białogłowy strasznie są bójne o swoją skórę, tedy, jak za dom idą, zara nadziewiają maszkarki, zimą na to, żeby ich mróz nie szczypał, latem, aby ich słońce nie smoliło.

— No dobrze, ale teraz nie zima i słońce już zaszło, to po co?

— To może wedle kurzawy, albo może wedle „urocznych oczu“?

Gdy tak młoda para śledziła przechodniów, ci śledzili ją niemniej ciekawie. W owych salonach pod otwartym niebem, jakimi są tarasowe ganki, życie Gdańszczan (przynajmniej w letniej porze) upływało tak jawnie, że wszelka zmiana w tym życiu zwracała zaraz powszechną uwagę. I tu cała ulica spostrzegła niebawem, że na tarasie pana Schultza znajduje się gość nowy i świetny. Szeptano sobie o tym żarty i prognostyki, a

panny, pod różnymi pozorami, przechodziły tam i sam przed gankiem Bursztynowego Domu, aby lepiej się przyrzec kawalerowi o płomiennych oczach, i aby z żalem zauważyć, że te oczy zwracały się wyłącznie ku panie Hedwidze.

Powoli zmierzch zapadał, i gwiazdy zaczynały wypryskać na niebo. Ulice, dosyć wąskie a obudowane wysokimi gmachami, zaciemniły się prędszej, niż place i ogrody. To też służba zawieszala na tarasach różnobarwne latarki; gdzieniegdzie nawet stawiano nieosłoniony lichtarz, bo wieczór był tak ciepły, że świeca paliła się spokojnie, jak w izbie. Wszystkie te światelka, migocąc między zielenią doniczek, odbijając się w złotych kratkach i malowanych szklenicach, nadały obrazowi zupełnie inną, czarodziejską cechę. A pod tym czarodziejstwem snuła się wesola rzeczywistość. Wkrótce też zaczęły dzwonić noże i półmiski, balsamiczne powietrze napelniło się mniej wykwintnymi, ale za to smakowitymi zapachami potraw, na każdym tarasie zastawiano wieczerzę.

Mina także przyniosła najpierw pyszną latarnię o złocistych prątkach i cudnie rzniętej bańce, którą zawiesiła u spiżowego węża, umyślnie wbitego na ten cel nad oknem. Potem stół obciągnęła prześlicznym obrusem flamskim i zaczęła na nim ustawiać różne wytworności.

Pan Kaźmiérz, spostrzegłszy te przygotowania, wziął czapkę i niby chciał odchodzić. Ale Hedwiga spojrzala na niego błagalnie i, dygnawszy, mówiła:

— O Jezu! Waszność jutro masz jachać, daruj-że nam jeszcze te ostatki. Siostra prosi uniżenie.

Pan majster, który był dnia tego w doskonałym humorze i któremu pani Flora tłumaczyła przed chwilą,

„w jak dobrą komitywę powinien wejść z familią Hedwigi“, także gwałtem przytrzymał gościa. Siadł więc pan Kaźmierz ze wszystkiemi do stołu, nietyłe dla jedzenia, ile dla podziwiania zastawy; bo jakżeż ten stół był ubrany! Co za misy malowane, jak obrazki! Co za kielichy majaczące, jakby drogie kamienie! A te flasze w zło-cistych siatkach! A te pokrywy na półniskach, całe srebrne, wypukło wzorowane, jakby jakieś helmy damasceńskie!

— Ach! — myślał sobie. — Już chyba i król na Wawelu nie siedzi przy sutszym stole.

Samo jedzenie mniej mu się podobało. Była wprawdzie i krucha zwierzyna, i drób' dobrze karmiony, ale były też i niemieckie specyały, niezrozumiałe dla szczeropolskiego podniebienia: jakieś gruszki z kluskami, jakieś ziółka ze śledziem. Pan Kaźmierz byłby wolał zrazy z kaszą albo groch z kapustą; niewiele też jadł; za to pił z przyjemnością, to złote goldwassery, to wytrawne węgrzyny, to słodki alikant.

Pan majster przeciwnie, opiwszy się piwa, teraz już tylko jadł, ale też za czterech. Kornelius pomagał mu w milczeniu. Pani Flora jadła jedynie to, co było słodkie i pachnące. Hedwiga nie jadła wcale. Rozmarzona, mówiła i chodziła jakby przez sen; nie ominęła jednak żadnego z obowiązków dobrej gosposi, nakładała na talerze, dolewała do kielichów, a pan Kaźmierz pomagał jęj bardzo pięknie; rozkroił nawet na powietrzu kapłona — co jest majstersztykiem kawalerskim — chociaż Kornelius twierdził, że „u nas w Amsterdamie inaczej się ptactwo krawa“, wszelako na ten raz nikt Holendra nie słuchał, i nowy krajeży uzyskał ogólny poklask.

Po wieczerzy myśli zrobiły się jeszcze różowsze, rozmowy jeszcze strzelistsze. Od ulicy do ulicy brzmiały żarty i śpiewki; na jednych gankach urządzano gry pełne psikusów i śmiechów. Na innych toczyły się zażarte rozprawy o cenach pszenicy i budulcu, o nowych ocenieniach i podatkach. Gdzieniegdzie nawet już lutrzy z katolikami brali się do gwałtownych dysput.

Znagła, wszystkie rozmowy przycichły; zaczynała bić godzina dziesiąta. Najprzód wydzwonił ją poważnie, powoli jeden z większych zegarów miejskich. Słuchacze rachowali uderzenia, i po ostatniem niejeden głos się odezwał:

— Jaka szkoda, że już!

Potem inny zegar zaczął wygrywać prześlicznego, dzwonowego kuranta, potem kilka innych naraz odezwało się w różnych dźwiękach, to szklitych, to śpiżowych, i wszystkie te dźwięki napelniły miasto muzyką nadpowietrzną.

Goście gankowi powtarzali chórem:

— Szkoda! Taki chlodek! Tak tu dobrze! Co robić? Trzeba iść doma.

Nikt jednak się nie ruszał. Już ostatni zegar zamilknął, a wszyscy jeszcze siedzieli, jakby w oczekiwaniu jakiegoś ostatecznego znaku.

Nakoniec i ten znak się pojawił.

Z dalekiej ulicy nadleciał dźwięk trąby, przeciągły, żaloszny, długi. Potem chwila ciszy. Potem jakiś głos męski zaśpiewał zwrotkę pieśni, żaloszną, przeciągłą, długą.

I znów chwila ciszy. — Tak, trąbienie i śpiewanie, przeplatane kolejną, zbliżało się coraz donośniej, aż w głębi ulicy ujrzano dwóch pacholków miejskich, nadchodzą-

cych mierzonym krokiem. Jeden z nich, w stroju paskowanym czarno i czerwono, kończył właśnie swoje żalosne wygrywanie; gdy się zbliżali do Bursztynowego Domu, opuścił od ust trąbę, a wtedy drugi pacholek w szafirowo-brunatnym ubiorze, znajomy już nam Kuba Grubasek, przystanął i z całych piersi przeciągle zaśpiewał:

Już dziesiąta na zegarze.
Idźcie do snu, gospodarze.
Strzeżcie ognia i złodzieja.
Chwalcie Boga Dobrodzieja.

Skończywszy swoją zwrotkę, uderzył ciężkim berdysem o ziemię, i obaj poszli dalej, naprzemian trąbiąc i śpiwając.

Po ich drodze, na wszystkich tarasach powstawał wielki ruch; odsuwano stolki, żegnano się już na dobre i rzucono sobie od ganku do ganku stokratne „Dobranocki“, albo „Guttenachty“.

Towarzystwo Złotego ganku rozeszło się jedno z ostatnich. Kaźmiierz tak był upojony, że nie mógł się oderwać od swojej panny-siostry. Coraz to nową powiastką, to nową krotoczwilą przedłużał rozmowę, a gdy wszyscy już powstawali i gdy pan majster zapytał:

— Tedy Wasza Miłość jutro jedziesz?

Zawahał się i odrzekł:

— Jutro nie jutro... abo ja wiem? Taka jeszcze na mojej głowie kupa jenteresów, że i bożek Atlas by ich nie wyrzycował. Tak czy owak, zawdy ja tu jeszcze jutro zajrzę i pokłonię się mojej pannie-siostrze. Ergo, bez adiusów, jeno do zobaczenia!

— Do zobaczenia! Do zobaczenia! — powtórzyli wszyscy i rozeszli się, ale każdy z innymi myślami.

Pan Kaźmierz, wracając do gospody, bił się pięścią po piersiach i powtarzał:

— Licho mię tu przyniesło, do tego Bursztynowego Domu! Ta stokrotka utknęła mi tutaj, nie jakby kwiatu-szek, jeno jakby cieriń. A to wszystko się na nic nie zda. Siostra mi ona żadna, to już wiem dokumentnie. Ożenić się z nią nie ożenię, boć to znajdek, może i dziecko szlacheckie, tak się widzi z onych forbotnych szatek, wszelako zawdy tu klejnot podejrzany. Ładnieby mię pan ociec przyjął, jakby ja mu przywiózł takową pół mieszczkę ła, pół zaklętą królowę! Bo to rosło u jakowychś majstrów, a chowane w delicyach, nie, tylko stąpać po perskich kobiercach, jeść na włoskich emalibusach, odziewać się w tureckie altembasy. Coby téż i ona powiedziała, gdyby jęj, tak wykrygowanej, przyszło siedzieć w naszych bielonych izdebkach, jeść z cynowej misy na stole krajką przykrytym, abo chadzać z dziewczkami do krów? Nie, ciężka to afflikeya, wszelako prosty rozum gada: „Ni ona dla cię, ni ty dla nięj“. Trza jachać. Nie będę jęj widział? To powolu ten śliczny konterfekt wyskrobie się z rekordencyi, wszakci nie jeden i nie dziesięć już się wyskrobało. Tedy pojedę, jeno jeszcze nie jutro. Jeden dzień, jeden mały dzionek jeszcze sobie akkorduję: bez jeden dzień przecie korona z głowy nie spadnie; tylko raz jeszcze obaczę te śliczności, posłucham tego paradyzowego świergotku, trzebaż mieć i nad samym sobą odrobinę zmiłowania; owóz robię sobie prezent ze dnia jutrowego, ale potém już bez pardonu jadę i póki życia już nie wrócę.

Takie czyniąc postanowienia, pan Kaźmierz ani się

domyślał, że w tymże czasie pani Flora wcale inaczej rozporządzała jego losami.

Wszedłszy na swój mały tarasik, jeszcze raz obejrzała się za odchodzącym poręcznikiem i tak sobie przyszłość zaczęła rozbierać:

— Chłop jak ulany, niema co gadać, i orator wdzięczny, i śpiewa jak Orfeus. Pomyślałam ja sobie z początku, że może on dla mnie dobry? Ale potem widzę, że nie. Pono to chudopacholek, pan na czterech czy pięciu chłopach. Wolę ja mego rajcusia i jego złoconą kamienicę. Wszelako i tamten mi się przyda; wyswatam za niego Hedwigę, bo ja nie wierzę w tę bajkę o zgubionej siostrze. On taki jej brat, jak i mój, widziałam to z oczu, brat-by tak nie patrzył po dyabelsku na dziewczkę. Frant z niego! Ukuł tę dykteryjkę, byle nos wścibić do jej konfidencyi. A niech ją bierze zdrów, ona mi srodze zawadza. Jak tylko Johann pochował tę biedną Dorotę, zarazem sobie powiedziała: „Panie konzulu, będziesz ty mój, i twoja kamienica będzie moja“. A co ja powiem, to zawsze się stanie. I terazby my już pewnie byli po akkordaliach, żeby nie ta smarkata, co mu precz w oczy włazi; póki będzie ją miał w domu, to stary nie wyjdzie z waryacyi. A ona nie zna się na nim, co młode to i głupie, będzie wołała lada awanturnika, byle miał wąsik smolony i ładnie pobrzakiwał mieczykiem. Niechże sobie jada za morza, a mnie zostawia starego, tak i dla nich i dla nas będzie dobrze.

Jakież tymczasem były myśli samej Hedwigi? Te trudniej określić, bo doznawała i uciech i smutków, któ-

rych sama sobie nie mogła wytłumaczyć. Wracając do swojej prześlicznej, panińskiej komnaty, na każdym zakręcie schodów szeptała z upojeniem:

— Tu go widziałam... i tu jeszcze... i tu... tego najmilszego... brata. Więc to brat? A no, chwała Bogu, wielkie to szczęście znaleźć brata... Niepróżno też to zara w pierwszej chwili tak serce we mnie do niego się wyrwało... Tak, to pewnikiem brat...

I ustami powtarzała:

— Wielkie to szczęście...

Ale w głębi serca inny jakiś głosik odzywał się markotno:

— Więc to tylko brat?

I znów cieszyła się myślą, że go jutro zobaczy, ale gdy wspomniała o jego wyjeździe, ogarniało ją takie osmucenie, że miejsca sobie znaleźć nie mogła, i gdy nakoniec twardy sen młodości zmorzył wszystkie rozmyślenia i troski, śniło jej się, że pan Kaźmierz mówi: „Nie jestem bratem Waćpanny i nigdy nie wyjadę, nigdy!”

Majster Johann i Kornelius najdłużej zostali na ganuku. Pan Schultz, rad dzisiejszej przygodzie, dopijał reszty ostatniego kufelka i tak sobie mówił:

— Dobrze to, że znalazła się familia. Nie takieci familianty, jak myślałem, ale zawdy będę miał żonę szlachciankę. Trzeba tylko przyspieszyć ceremonię; niech jeno ów braciszek wyjedzie, ja zaraz krzyknę: „Hedvich, kłaść mi ślubny welon, ein, zwei, drei, do ołtarza!” Bo jakby ociec zastał ją frajleina, toby gotów jeszcze wziąć mi ją z przed nosa, a jak ją zastanie już panią konsulową, to będzie musiał klaniać się panu zięciowi.

Tu, rozweselony myślą blizkiego małżeństwa, zwrócił się do Korneliusa:

— No cóż ty, nic nie mówisz? Ten oficyjer to ucieśzny kompan?

— A wie pan majster, kto to taki?

— A no przecież sam powiedział, Kaźmięrz Korycki, erbu Prus.

— Takci on mówi, ale czy to prawda?

— A czegoby miał kłamać? Któżby to miał być jenszy?

— Ja wiem, kto to jest, — ja zgadłem.

To mówiąc, Kornelius wstał z ławy i, tajemniczo przystępując do majstra, szepnął:

— To zamaszkarzony Jezuita.

— W imię Ojca i Syna... A po co by tu Jezuita przychodził?

— Jakto po co? Zwachali, że pani Doroty już niema, że jęj wychowanka mogłaby między nami poznać prawdę, więc nasylają swoje szpiegi, gotowi nam ją jeszcze wykraść.

— E! Co znowu? Zwaryowaleś, chłopcze. Więc ty i na to nie kredytujesz, aby to miał być jęj brat?

— Rękębym w ogień włożył, głowę pod miecz oddał za to, że on ani jęj brat, ani żaden Korycki. Jezuitcka intryga i koniec. Tylko w tym kraju takie rzeczy się dzieją. U nas w Amsterdamie, żeby kto się tak nagle do czyjjej familii przypytał, toby go zaraz urząd aresztował.

— Ale bo widzisz, u was w Amsterdamie niema żadnych Tatarów ani żadnych jassyrow, to tam bracia i siostry tak się nie zagubiają, a tu co jenszego, tu jest kraj awantur.

Wszakże, mimo własnych rozumowań, majster się zatroskał i zamyślił. Ale po chwili uderzył pięścią w stół i zawołał:

— Jest! Mam argument. To nie może być ksiądz przebrany. Widziałeś jego wasy? Galanckie, co? Skądby je wziął Jezuita? Musiałby z rok czekać, nimby się takich dochował.

— Panie majster, oni mają na wszystko sposoby. A od czego czary?

— O ho ho! I Jezuita i czarnoksiężnik. Niedługo już z nim na stos! E, głupstwa gadasz, nie psuj mi próżno głowy.

To mówiąc, wstał i, oparłszy się na ramieniu Korneliusa (bo piwo trochę go z nóg ścięło), skierował się ku sieni, a po drodze mówił:

— Głupstwo czy nie głupstwo, zawdy trzeba już z tą Hedwigą skończyć, bo strzedz panny w domu, to lepiej z fajerką siedzieć kole Pulwerthurmu.

Ledwie pan wyszedł, zaraz Mina zjawiała się na gan-ku, dla pozbierania kufelków i wszelkich sprzętów ruchomych.

I na innych tarasach służba gospodarzyła, sprzą-tając reszty wieczerzań, wynosząc stoły i krzeselka, zdejmując dogasające latarki. Potem zaczęło się zamykanie drzwi okutych; jedno po drugich zapadały z głuchym loskotem, z ciężkim zasuwaniem ryglów, zakładaniem sztab i zgrzytem kluczków. Kto na piętrach jeszcze palił światło, ten pilnie zasuwiał okna lub wynosił się do izb wewnętrznych, ażeby ront powracający nie kołatał mu do drzwi z przestrogą. Czasem jeszcze wśród wysokich donic tarasowych jakaś zapóźniona czuła para za-

mieniała ostatnie szepty, ale i ta nikła we dwie strony, gdy uderzenie berdyszów o ziemię zdradziło zbliżanie się nocnych stróżów. Zwolna wszystko przycichło i przygasło. Zégary wybiły jedenastą; wtedy zabrzmiała w powietrzu cudowna muzyka, złożona z trąb i fletów, muzyka, która od wieków całych, zawsze w owéj przedpółnocnej godzinie, odzywa się na kościele Ś-téj Katarzyny, jakby przedsenna modlitwa usypiającego miasta — i gdy ostatni dźwięk fletu rozwiął się wysoko, nic już nie świeciło nad Gdańskiem, tylko tysiączne gwiazdy ciepłej letniej nocy, odbite w czarnych kanałach Śpichlerzowéj Wenecyi, w brylantowych szybkach kamienic i w marzeniach serc rozkochanych.

IV.

W Artusowym Dworze.

W sześć tygodni później, o téjże wieczornej porze, na głównym placu gdańskim panował ruch wielki, a przytém i wesoły. Z olbrzymich okien Artusowego Dworu biła na pół placu olbrzymia łuna; z najbliższych i najdalszych ulic wysypywały się pacholki z pochodniami, a za nimi szły wystrojone gromady mężów i niewiast, młodzieńców i panien; wszystkie ciągnęły do Artusowej sali, gdzie miasto dnia tego wyprawiało walną, taneczną zabawę.

Pomiędzy młodzieżą najszcześliwiej stąpali, najbui-czuczniej wyglądali wojskowi od Puckiej marynarki, którzy tego wieczora wszyscy znaleźli się w Gdańsku; a jak raróg jaśnieje wśród sokolów, tak wśród wojskowych jaśniał urodą i fantazją płomienooki pan Kaźmierz Korycki.

Bo pan Kaźmierz jeszcze nie był wyjechał. Póki miał przed sobą cały ów jeden dzień zwłoki, zdawało mu się, że ma skarb nieprzebrany; ale nazajutrz, gdy przyszło na dobre do pożegnań, uczuł się tak nieszczęśliwym, że —



Szły wystrojone gromady mężów i niewiast, młodzieńców i panien.

jak to zwykle bywa w podobnych razach — zaczął z samym sobą wchodzić w układy.

— Kiedy — rozmyślał — mogłem sobie darować jeden dzionek, to mogę sobie pozwolić jeszcze jaką trzydniówkę, abo, dla okragłości, choćby i całą niedzielę. Za jeden marny tydzień przecie mi pan ociec głowy nie zdéjmie z karku?

Odezwał się więc w następane słowa do mieszkańców Bursztynowego Domu:

— Zreflektował ja się. Po co mi dwa razy nawigować wedle całej Wisły? Wysłałem ja do pana miecznika pisanie, gdzie mu wyluszczam wszelakie cyrkumstancye co do fatów panny Hedwigi. Jeśli tedy — jako mam sperandę — moje dorozumienia okażą się czystą veritas, wonzas tuszę sobie, iż nie ja będę jachał doma, jeno sam pan ociec tu przyjedzie, dla zrekonoskowania wdzięcznej córki, zaczém wszyscy razem będziemy mogli uczcić pana konzula, jako jój salvatora, i nacieszyć się sobą, jako jedna familia.

Słowa te zostały przez wszystkich bardzo mile przyjęte; i rzeczywiście, na trzeci dzień, pan Kaźmierz napisał do ojca, z tą wszakże różnicą, że w liście nie wspominał ani słowa o Hedwidze, tylko tłumaczył się jakimiś trudnościami wojskowemi, które opóźniły jego wyjazd; było też w tych słowach i trochę prawdy, bo przy dobrej woli znalazły się pewne niedokładności w ukończeniu służby, które teraz, na wielkie zbudowanie swoich zwierzchników, tknięty nagłą sumiennością pan porucznik chciał koniecznie najrzetelniej dopełnić.

Tak usprawiedliwiwszy się we własnych oczach,

Każmierz zaczął żyć z dnia na dzień, w tém czarodziej-
skim odurzeniu, co nie chce nic przewidywać, co gotowe
jest przyjąć wyrok śmierci na jutro, byle dziś jeszcze
nie stracić swego raję. Dziwił się tylko, jak mógł dwadzie-
ścia kilka lat przeżyć na ziemi bez Hedwigi? Jak mógł
kiedykolwiek spoglądać na inne białogłowy? A spoglą-
dał... ach, tyle razy! Tak — ale dawniejsze jego spojrze-
nia nie były podobne do dzisiejszych; dawniej ciskał tylko
iskrami oczu, a dzisiaj płomieniami serca. Dawniej wszyst-
kie kobiety (były ładne) miały dla niego równą wartość;
dzisiaj czuł, widział i wiedział, że ta jedna, to jest wła-
śnie owa jedyna, która w księgach niebieskich została
dla niego przed wiekami zapisana, darowana, słowem —
tak jak śmierć — przeznaczona.

Ta pierwsza prawdziwa miłość promieniowała z je-
go serca niby pierścień ognisty, pod którego upalnością
i serce ukochanej topniało, jak rosa pod słońcem. Z po-
czątku przekonana, że to jest nieznanne jęj dotąd uczucie
siostry dla brata, Hedwiga nie bronila się wcale od no-
wych, upajających wrażeń; jednakże po dniach kilku-
nastu, zaniepokojona stanem swojej duszy, już wybierała
się do kościoła Dominikanów, dla zasięgnięcia rady od
mądrego swego spowiednika, ojca Damiana, gdy nagle,
mądrego swego spowiednika, ojca Damiana, gdy nagle
inna spowiedź sprowadziła niespodziany przewrót w jęj
pojęciach.

Pan Kaźmierz — jak wiemy — w pierwszym zawią-
zku znajomości był rad swemu rzekomemu braterstwu;
prędko mu jednak ono zaciężyło, bo, jeśli pozwalało na
pewną niewinną poufalość, za to wzbraniało wszelkich
półśłówek i półwyznań, zmuszało go nawet do hamowania
zbytniej wymowy oczu. Młody junak nie mógł długo zno-
sić podobnych więzów i już po dwóch tygodniach je roze-

rwał. Stało się to bez żadnego z góry powziętego zamiaru, lecz w przystępie niecierpliwości. Widząc u Hedwigi coraz większe zdumienie nad jego dziwnym zachowaniem się względem „siostry“, wyznał jej nagle, bez ogródki, że nie jest jej bratem, a na poparcie swojego twierdzenia dodał:

— Wiem to dokumentnie, bom nakoniec dostał ów respons, gdzie pan ociec rememoruje mi, jako Krysia miała rok czwarty, kiedy ją poganie unieśli. Tedy, wedle daty, Waćpanna nie możesz na żaden fason być mi siostrą, i ja temu jestem bardzo rad.

Mówiąc to, wpatrywał się bacznie w Hedwigę i dostrzegł z radością, że i jej te słowa najwidoczniej przyniosły ulgę. Odtąd stała się nieśmielszą, ale zarazem i czulszą, przyczém zdradzała jakieś tajemnicze uszcześliwienie, którego dawniej nigdy w niej nie dostrzegał.

Wprawdzie ta szczęśliwość była dla Hedwigi zamąconą pewnym niepokojem; pan Kaźmierz prosił ją, a nawet stanowczo żądał, ażeby wiadomość o liście pana miecznika zachowała tylko dla siebie, „gdyż — mówił — niech pan konsul jeno się dowie, że my nie familia, żara będzie chciał mię od Waćpanny exulować, przyczém on albo ja możemy położyć głowę“.

Prawa dusza Hedwigi wzdrygnęła się na taką nieszczerość; mniej wszakże, niż byłaby się wzdrygała dawniej. Gdyby pan majster był pozostał dla niej na zawsze niczém inném, tylko jej ojcowskim, szanownym opiekunem, byłaby pewnie odrzuciła żądanie pana Kaźmierza. Ale od chwili, gdy opiekun zaliczył się do zalotników, stracił niezmiernie w jej oczach na powadze i zrównał się niejako z Kaźmierzem, przyczém wszakże zachodziła ta wielka różnica na jego niekorzyść, że nie był kochany, podczas kiedy tamten... ach tamten!

Skoro jeszcze Hedwiga wspomniała, że takie wyznanie mogłoby istotnie rozdzielić ją z najmilszym, a co więcej, stać się powodem ciężkich, może krwawych za-targów, przytłumiła szemrania swojej duszy i zachowała milczenie wobec pana rajcy, który ze zdumiewającym spokojem niczego się nie domyślał.

Źródłem tej niedomyślności była potężna miłość wła-sna. Pan Johann Schultz miał przekonanie, że, gdy obda-rzy Hedwigę swoją wspaniałą osobą, swoim nazwiskiem wielce w Gdańsku cenioném, swoją sławą kunszmiistrzow-ską i swojemi wielkimi bogactwami, wyświadczy jój najwyższe dobrodziejstwo, i nie przypuszczał, aby kie-dykolwiek mogła kogokolwiek nad niego przełożyć. To przekonanie zaślepiło go tak mocno, że patrzył a nie widział, słuchał, a nie słyszał, i gdy już cały Gdańsk — przyglądający się zalotom porucznika — z uśmiechem powątpiewał o jego „braterstwie“, jeden pan rajca nie miał ani cienia wątpliwości, codzień zapytywał o „respons“ pana miecznika, i źle wróżącego Korneliusa kilka razy tak porządnie sfukał, że i jemu w końcu zamknął usta.

Kornelius jednak trwał w swoich złych przecuciach. U niego miłość, pozbawiona próżności, nie sprawiała zaślepienia, lecz owszem jasnowidzenie prawdy.

Miłość ta dawno już w sercu jego rosła. Za życia pani Doroty karmił się nadzieją, że może kiedyś potrafi sobie wysłużyć tę śliczną panienkę, która w oczach jego coraz nowymi wdziękami rozkwitała.

— Czemu nie? — myślał nieraz. — Gdy zrobię mój „meister-stück“, a będzie on taki, że cała Hanza okrzyknie się z podziwu, gdy i ja też zostanę majstrem, czemużbym nie miał otrzymać jój ręki?

Ta nadzieja dodawała mu sił do pracy, rozbudzała

jego zdolności, przywiązywała go do majstra Schultza i cały ten dom czyniła dla niego Edenem.

Nagle — zrobił straszliwe odkrycie.

Po śmierci pani Doroty spostrzegł, że sam pan majster chce zająć marzone przez niego miejsce.

Wpadł w rozpacz — znenawidził swego zwierznika — jednakże jeszcze się z nim nie rozstał.

Miłość jego stała się beznadziejna i posępna, a jednak jeszcze podszeptowała mu jakieś półsłówka, na które złośliwie się uśmiechał. Wiedział, że Hedwiga w związku z panem Schultzem nie może być szczęśliwą, a zatem — kto wie? Może jemu przypadnie udział podziwiciela? Dawno znajomy, zawsze pod jej ręką — a przytém tak wiernie, tak szalenie zakochany — on może prędzej, niż inny... Nie będzie to już takie wielkie szczęście, jak posiadanie jej dozgonne, ale — i kradziony skarb zawsze skarbem, — a przytém co za rozkoszna zemsta nad tym niegodziwcem panem Schultzem!

Znienacka, wśród owych, już zachmurzonych, ale jeszcze przyjemnych marzeń, jak piorun z nieba, spadło zjawienie się pana Kaźmierza — i na ten raz Kornelius uczuł, że gmach jego przyszłości już do podwalin się rysuje, że to nieprzyjaciel stokroć groźniejszy od majstra Johanna, bo tamten zabierał tylko rękę Hedwigi, a ten wykrada mu jej serce. O tak, wykrada! Kornelius od pierwszej chwili spostrzegł olśniewające wrażenie, jakie młody junak sprawił na Hedwidze, i odtąd codzień dopatrywał nowe objawy budzącego się w niej uczucia, nagle rumieńce, smętne zadumania i niespodziane wybuchy radości — wszystkie owe znaki sercowego rozkwitu, na które on tak dawno czekał, a które teraz, niestety! zwracały się nie ku niemu, ale ku temu posłowi nieszczęścia! Och, on się znalazł na miłości, on, co tak dawno

i zawzięcie kochał! To też nie mógł zrozumieć spokoju pana majstra, trząsł się ze zgrozy na jego zaślepienie, gwałtem chciał mu oczy otworzyć, i byłby w końcu pewnie dopiął celu, gdyby nie pani Flora, która ze zwykłą sobie przenikliwością dostrzegła niebezpieczeństwo, jakie od téj strony zagraża, i zażegnała je machiawelskiem orzeczeniem: „Divide et impera“. Zaczęła pana majstra podjudzać na Korneliusa. W każdej niemal rozmowie dziwiła się, „dlaczego tak znaczny jak on personat postponuje się ze swoim czeladnikiem i pozwala mu nos wtykać w domowe sekreta?“

Pan majster (który miał słabość do pani Flory i wielce sobie cenił jéj zdanie), polechtany w swojej próżności, zaczął lekceważyć Holendra, zaprzestał z nim żartów i zwierzeń, i tak go zwolna od siebie odsunął, że chłopiec, karmiony ze wszech stron upokorzeniami, zaciął się w milczeniu i już prawie wcale nie wychodził z warsztatu.

Nietylko pod tym względem, ale i pod wszelkimi innymi, pani Flora stała się istnym duchem opiekuńczym dla dwojga zakochanych, którzy, nie podejrzewając, aby piękna wdówka mogła w téj opiece mieć jakie osobiste widoki, nie znajdowali dla niéj dosyć słów dziękczynnych i z pełném zaufaniem otwierali jéj duszę. Pani Flora była nieprzebraną „w amorowych fortelach“. Z dziwną sztuką umiała zagadywać i sobą wyłącznie zajmować pana Schultza, dzięki czemu tamci mogli wedle woli rozmawiać na uboczu. Hedwidze powtarzała jak najwierniej pochwały i wykrzykniki, z jakimi Kaźmierz odzywał się o niéj, a Kaźmierza wtajemniczała w najskrytsze zwierzenia panińskie. Czasem nawet rzeczy tak zgrabnie ułożyła, że niby trafem schodzili się w jéj domu, a chociaż te schadzki były krótkie, poważne i zawsze pod jéj okiem odbywane, jednak przedstawiały dla nich nieocenioną chwilę

swobody, w której, uwolnieni od oczu majstra i Holendra, mogli nakoniec odwiązać maskę przybranego braterstwa. Bo i pani Flora już razem z niemi śmiała się z owęj „maszkarady“. Pan Kaźmierz nie potrzebował nawet czynić jej w tym przedmiocie żadnych wyznań, sama je uprzedziła. Kiedyś, gdy przed nią utyskiwał na milczenie pana miecznika, rzekła do niego:

— Nie kpij z białogłowy, panie oficcyjerze. Aniś Waszmość pisał do oćca, ani czekasz od niego responsu.

— Jakoż to? — podjął zmieszany pan Kaźmierz.

— A tak, jako ja mówię. Waszmość wykoncypowałeś takową hallegoryę, aby łódkę swego affektu przeprowadzić między rafami przeciwnych sobie humorów. I wcale się to Waszmości nie gani. Bosman jako może lawiruje, niby kręci na prawo, a w rzeczy jedzie na lewo, i mądrze czyni; milszać mu jego skutka, niżeli wola srochich Akwilonów.

— Nie będąc ja się z Waćpanią spierał, kiedy prorocko czytasz w sercach. Owóz, upraszam jeno, abys mię przyjęła pod banderę swojej protekcyi, a tuszę sobie, że z takowym sygnałem dopłynę do fortunnego portu.

I płynął dalej pan Kaźmierz „fortunnie“. Tygodnie za tygodniami schodziły w rajskiem zaczarowaniu, tak dla niego jak i dla Hedwigi. Cudna to była pora w ich życiu, niby młodziechny maj miłości, kiedy uczucie nie jest jeszcze wyznane ustami, a już zdradza się w każdym ruchu, zwłaszcza w owych półsłówkach, na pozór szarych i zwyczajnych, a podszystych drugiem, różowem znaczeniem, które jest widzialne tylko dla drogiej istoty.

Niebo téż na wszystkie sposoby sprzyjało temu zaczarowaniu; pogody były ciągle prześliczne; pan konsul

coraz częściej dawał się wyciągać na zamiejskie „spacyry“. Chodzono więc we czworo, to na „Biskupią górę“, to do „Nowych Ogrodów“.

Co sobotę jeżdżono do wioski nadmorskiej, dokąd bogaci Gdańszczanie i ciekawi podróżnicy przybywali co tydzień, dla spędzenia dnia niedzielnego na zabawie i użyciu kąpieli w morzu; nazywało się to jeżdżeniem „na Soboty“. (Dzisiejsze Zoppoty).

A że miejscowość była blizką przylądka Heli, pan Kaźmiierz zapragnął pokazać swoim znajomym flotłę królewska, stojącą w zatoce Puckiej, a zwłaszcza okręt, na którym kilka lat przemieszkał. Wojenny ów statek, zwany „Łabędziem“, choć dobrze już wysłużony, wyglądał wspaniale i prawdziwie po monarszemu, był to bowiem jeden z owych pięciu okrętów, co przewoziły Zygmunta III-go do Szwecyi. Wojskowi od załogi Łabędziowej, niedawni współtowarzysze Kaźmierza, uprzedzeni przezeń o przybyciu jego przyjaciół, wyczytali mu z oczu, na co się zanosi, i przyjęli ich uroczyście; pana konzula nawet z wyróżniającą „attencyą“, co niezmiernie mu pochlebilo. Piękność i wdzięk Hedwigi wznieciły w nich taki zapal, że — jako godną najwyższej „admiracyi“, okrzyknęli ją swoją „Admiralką“. Pani Flora, chociaż mniej głośno, zbierała jeszcze więcej holdów, bo jej dowcip i śmiałe wzięcie były jakby stworzone do zawracania głowy panom oficerom.

Siedziano więc przez cały wieczór na pomoście, oświetlonym różnobarwnymi latarniami; śpiewano chórem „Flisa“ i różne lżejsze fraszki, wieczerzano z sutymi kieliichami, dawano z dział gęste salwy, aż pan Schultz w upojeniu oświadczył, że jeśli będzie miał kiedy syna, to go przeznaczy do „Wodnej Armaty“. (Przy tej sposobności dobrze jest nadmienić, że używane u nas wyrażenie: „Wo-

dna Armata“, nie oznaczało bynajmniej artylerji wodnej, ale „armię morską“, czyli flotę wojenną, i było zapewne zepsutém przypomnieniem hiszpańskiej „Armady“, której niedawne przedsięwzięcia i klęski tyle używały rozgłosu).

Innej niedzieli pozwolono im zwiedzać Zamek Władysławowski, na co Gdańszczanom rzadko bywał udzielany przywilej.

Czasem też, nie wychodząc z obrębu miejskiego, tuż za Zieloną Bramą, wsiadali do czółna, które ich wiozło po ciemnej a przepastnej Motławie, okrążającej dzielnicę Spichlerzową. Tam dopiero można czuć i widzieć, jak silnie bije serce Gdańska. W dzień — ruch niesłychany. Krocie statków o kształtach wszelakich, ciężkich, wybuchających, jaskółczych. Na statkach i na stopniach domów tysiące ludzi gadających stu językami, od flisaków krakowskich do murzynów, niewolników jakiegoś zamorskiego armatora. Wszyscy krzyczą, klaniają się, uśmiechają, a rękami machają, bo wszyscy się targują i każdy chce każdego przekonać. Tu zboże z przeraźliwym skrzykiem idzie w górę po „misternej“ windzie, ówdzie z sypkim jękiem spada na szalę niemniej misternej wagi. Na palowych pomostach pełno stołów dla pisarzy i wekslarzy, pełno budek z błyskotkami, przekupniów z przysmakami. Wszędzie chaos kolorów i dźwięków — jarmark narodów — zrekowiny morza i ziemi, obsylających się wzajemnie swojemi bogactwami.

Z końcem dnia dzielnica ta staje się jeszcze ciekawszą. Ruch cichnie — zmrok szarzeje — Motława robi się czarna, jakby Kocyt. Nad ową żelazną wodą bezokienne śpichlerze, ślepe, głuche, siedzą, jauby niezgrabnie ociosane opoki. Powietrze, pocięte króskami lin i masztów, polamane gzygzakami profilów windowych, płacze się

w niezrozumiały rysunek. Wtedy wszystkie owe Klo-nowiczowskie „wschody, wzwody i tetry“, wszystkie owe młyny krzyżackie o dziwoląźnych kształtach, zaczynają majaczyć, niiby gród przedpotopowy lub zaklęty, zbudowany nie przez ludzi, ale przez jakieś bajeczne, pół-po-tworne istoty, które z poza każdego węgla już... już mają wyrzść... Niejedno serce czuje tam ich obecność, przynaj-mniej nasi zakochani czuli ją wyraźnie, i to przyjazną i usługną, bo podczas kiedy pani Flora, siadłszy u je-dnego końca łodzi z panem Schultzem, opanowywała go swoją sidłącą rozmową, tymczasem na drugim końcu Kaźmierz i Hedwiga mogli zamieniać spojrzenie lub uścisk ręki, niepochwytne dla cudzych oczu, jak Motławowe Cho-chliki.

Tak to w owych złotych tygodniach życie uśmie-chało się do młodej pary, podsuwając jej codzien to no-we, a zawsze miłe „sprawy i zabawy“.

Obecnie zaś wszystkie inne gasły obok owej zabawy tanecznej w Artus-hofie, z której miasto całe obiecywało sobie wiele przyjemności, ale nasi znajomi jeszcze wię-ciej, niż inni, bo tam Hedwiga miała po raz pierwszy wy-stąpić w liczniejszym zgromadzeniu.

Jednakże wszystkiemu jest koniec; przyszedł on i dla owego miłosnego maju. Właśnie w przeddzień Artusowych tańców pan Kaźmierz otrzymał od ojca list, który go do głębi duszy poruszył. List nie zawierał żadnych groźb ani łajań, ale był niesłychanie smutny. Ojciec zalił się na swoją samotność, na brak pomocy w gospodarstwie i nie mógł zrozumieć powodów, dla których „najmilszy synaczek“, po długich latach rozłąki, jeszcze tak okrutnie odwłóczy swój powrót?

Ów smutek i owa łagodność wstrząsnęły panem Kaźmierzem silniej, niż najcięższe wyrzuty.

Rzekł do siebie:

— Raz już trzeba skończyć...

A zakończenie tylko jedno już dzisiaj dla niego istniało: małżeństwo z ukochaną.

Bo przez ciąg tych sześciu tygodni myśli Kaźmierzowe uległy najniespodziewańszym przeobrażeniom. Stało się to nieznacznie i prawie bezwiednie. Teraz nie byłby chciał uwierzyć, gdyby mu powiadano, że jeszcze przed czterdziestu dniami stawiał jakiegokolwiek w tej sprawie zarzuty. Wszystkie one gdzieś prysły i przemieniły się owszem na potwierdzające dowody.

Jój niewiadome urodzenie? Ach przeciwnie, bardzo wiadome, bo dość jest widzieć, jak ona wygląda, jak chodzi, jak patrzy i we wszelkiej rzeczy sobie poczyna, dość pogadać z nią przez trzy pacierze, aby przysiądź, że jest wysoko urodzona. I jak jeszcze wysoko, kiedy nawet cały żywot, przebyty pomiędzy łykami miejskimi, nie mógł z niej zetrzeć tej cechy pańskości!

Gniew pana miecznika? Ależ niech on ją tylko raz obaczy, niech jeden dzionek z nią przebawi, a będzie syna błogosławił za to, że przywiózł mu taką synową!

Jój przywyknienie do wielkich dostatków? Ależ pan Kaźmierz codzień jój powiada, jakie to życie skromne jest i twarde po naszych dworkach szlacheckich, a ona zawsze odpowiada, że wolałaby małą chatkę na wsi, gdzie jest zielono i kwiecisto, niż złocone komory po kamiennych miastach.

Już więc z jego strony nie może być mowy o żadnym wahaniu. Ale jest jeszcze inna, ogromna niepewność... Oto, czy ona, Hedwiga, przystanie na sposób, w jaki pan Kaźmierz chce ich szczęście doprowadzić do celu?

Sposób to niezwykle i mocno niebezpieczny... a jednak niema innego. Już on dobrze sobie głowę nad tém nalał i ostatecznie się przekonał, że niema innego.

Właśnie, krocząc przez miasto, ważył w umyśle te nadzieje i te trudności, kiedy spotkał panią Flore, wychodzącą z kościoła Dominikanów. Usłyszawszy, o co chodzi, wróciła się z nim do kruchty, i tam odbyli długą, cichutką naradę. Skutek jój musiał przypaść pani Florze do serca, bo przy pożegnaniu stanęła jeszcze na progu i rzekła:

— Galanckoś Waszmość to wymedytował. Sposób rezykowny, ale eroiczny, jakby w jakiej poemie. Jeno bez pytania się ani panów oćców, ani panów Schultzów, bo toby próżno przyczyniło perplexyi, a tak, post factum, będą musieli powiedzieć „Amen“, i wszystko z czasem się zagodzi.

— Więc Waćpani dajesz całki swój assentymet?

— Och! Z całej duszy. Sprawiedliwieś téż Waszmość powiedział, że w moim domu tego nie można uplanować, bo toby na moją sławę eisnęło szpetną famę, i pomnij téż Waszmość, że by mię to skłóciło z panem rajcą, a on dla mnie precyozny przyjaciel. W peregrynacyach za miastem takż trudnoby to przefilować, bo pan Schultz wiecznie z nami na spacyry chadza. No, a tam, w onej tłocznej assambli, w onym płaskowym rozgardyaszu, cała rzecz pójdzie łącno, i nieprędko będzie zweryfikowana, i nikt nie zostanie posądzon o to, że był komperem. Jeno zawdy powtarzam, niech rzecz będzie z księdzem, bo jak bez księdza, to Waszmość postradasz moją konsyde-racyę i będziesz wart humewockiej kaźni.

— Za kogoż mię Waćpani masz? Dawniej, co pra-

wda, uciekał ci ja od więzów Hymenu, ale dzisiaj sam do nich wzdycham, sam do nich ręce podawam, bo jak raz człowiek szczęście złapie, toby je chciał na wiek wieków do siebie przykować.

Po tak zachęcającej rozprawie, pan Kaźmierz przez dzień cały uwijał się, jak oparzony. Jeździł do klasztoru Oliwskiego, jeździł do Władysławowa, wszędzie odbywał jakieś tajemnicze narady. Nazajutrz także rozsyłał na wsze strony swojego pacholika Maćka, niby hajduka wedle węgierskiej sukni, w rzeczy zaś poczciwego Mazura, który zbytkiem rozumu nie grzeszył, ale miał takie przywiązanie do pana, że na jego rozkaz byłby pewnie próbował, czyby się nie dało przejść pieszo przez morze.

Nakoniec pod wieczór pan Kaźmierz zaczął przywdziewać strój balowy, nowiućki, przesliczny. Nie był on bardzo kosztowny, ale dla skromnego mieszka stanowiący i tak niemały wybryk. Mieszek ten, jak pamiętamy, już przed sześcioma tygodniami srodze piszczał, a cóż dopiero teraz? Ach! teraz milczał głuchą ciszą konania. Ale bo też co to wypadło niespodzianych wydatków! Przez te wszystkie tygodnie pan porucznik nietylko już opłacał gospodę, ale i kwiatkami obsyłał pannę-siostrę, i pani Florze nosił różne słodkie lakoćcie, a czasem i jaką wykwinutą niewieścią fraszkę, i jej służebnej, Fruzi, nieraz do ręki wetknął upominek. Przy takim drobnym ale ciągłym szafunku, pieniądze, jakie był przeznaczyl na drogę powrotną, rozeszły się niewiedzieć kiedy. Musiał więc brać różne rzeczy „na borg“, a potem poszukał pewnego Imci pana Millera, co swoim „geldem“ ratował skłopotanych młodzieńców. Markotno mu to było, ale mówił sobie:

— E! Jakoś to będzie. Niech jeno wróce na wieś, to wezmę się tego do harunku i wszystko w mig odrobie. Nie teraz pora na sknerzenie. Raz jeno w życiu człek się żeni. Raz jeno człek naprawdę się kocha.

(Tak zawsze młodzi mówią, zapominając, że są ludzie, co i po dwa razy i po kilka razy się żenia. A co do zadania, ile razy człowiek naprawdę się kocha, tego żaden psycholog jeszcze nie rozwiązał, bo każdemu zakochanemu za każdym razem się wydaje, że to dopiero jest pierwszy raz „naprawdę“).

A już jeżeli kiedy nie wypadło „sknerzyć“, to niezapreczenie dzisiaj. Mógłże w swoim zwykłym poruczni-kowskim ubiorze, zszarzanym już dosyć długą służbą, wystąpić na tém wspaniałém zebraniu, gdzie chciał pięknie wydać się przed Hedwigą, gdzie miał po raz pierwszy prowadzić ją w taniec, gdzie miał jej powiedzieć takie rzeczy, od których zawisło jego szczęście albo nieszczęście, słowem, w tym najważniejszym dniu swego żywota?

Przy wrodzonej sobie spreżystości ducha, pan Kaźmierz wpędce zapomniiał o troskach, borgach i Mille-rach, i rozwiązanie tych kłopotów odłożywszy do dni następnych, teraz już tylko cieszył się swoim nowym strojem. I naprawdę miał się czem cieszyć. Gdy Maciek pana ubierał, to aż usta rozdziawiał od podziwu, a ręce mu się trzęsły od radości. Wprawdzie ubiór dzisiejszy, pod względem barw i kroju, był podobny do codziennego, ale z jakże odmiennych pierwiastków stworzony! Zamiast kaftana z łosiej skóry, pan Kaźmierz nadział „szustokor“ (tak u nas wymawiano *juste-au-corps*), uszyty z mięsistego, kanarkowego „hatłasu“, objęty przy szyi obwisłym, koronkowym kołnierzem i takimiż u rąk man-

kietami. Na piersiach, zamiast prostego rzemienia, miał ukośnie przeciągnięty, czarny niesokorowy passamon (kupiony w składach pani Flory), u którego po staremu zawiesił kordelas. Hajdawery nie były z grubej rasy, ale z cieniuchnej niebieskiej sajety, ze srebrnymi naszwach rygielkami. Niziutkie półbuta żółte safianowe lekkością swą dorównywały prawie trzewikom francuskim. Na barkach, zamiast włochatej burki, pan porucznik zawiesił krótki deljunak z ciemno-wiśniowego aksamitu, białą sateniszką podszyty i srebrną pętlącą u piersi zadzierzgnięty. Na głowę nałożył precudną magierkę, tegoż ranka w mieście zakupioną (Gdańsk albowiem słynął z wyrobu najpiękniejszych magierek); było też to istne pieścidełko, z błękitnym denkiem i wążką bobrową obłożką, nad którą wystrzelało harde pióro sokole.

Naciągnawszy nakoniec rękawice zamszowe, rad z siebie, poszedł do Artusowego Dworu, czyli „Artushofu“.

Gmach ten, jeden z najdziwaczniej pięknych i najpiękniej dziwnych, jakie można spotkać w północnej Europie, był istnym Beniaminem Gdańszczan. Tam oni, przez ciąg długich czasów, nagromadzili zwolna „swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty“.

Przędza to trochę rażąca pstrokacizną, kwiaty to nieznane innym wyobrażniom, ale właśnie z tej przyczyny, że gdzieindziej nieznane, że z nikąd nie naśladowane, zaciekawiają swoją samorodną niezwykłością i krasą.

Artus-hof, przytulony do ratusza, tworzył z nim razem parę gmachów, królującą nad całym Gdańskiem. Na ratuszu miasto się rządziło, w Artusowym Dworze

się bawilo, gdyż był to budynek przeznaczony wyłącznie na wspólne zabawy (jak dzisiejsze resursy), i dość też nań spojrzeć, aby poznać, że urodził się z wesołej myśli.

A najprzód, już sama nazwa przypomina obrazy wysoce poetyczne i, co więcej, pełne społecznego znaczenia; musi ona sięgać owych czasów, kiedy najchęciwiej czytowaną księgą był sławny szereg romansów o królu Artusie, przy którego stole wszyscy czuli się równymi, bo stół ten, wycięty w kształt obręczy, nie miał ani miejsce wyższych, ani szarego końca.

W tej przezroczystej przypowieści bardzo zasmakowały miasta republikańskie, dobijające się przez cały ciąg wieków średnich o coraz nowe prawa i swobody. Zasmakował w niej również i Gdańsk hardogłowy, który ją nawet obrał za „motto“ do swoich zgromadzeń. Więc w Artus-hofie, jak niegdyś przy „Okragłym stole“, powiedziano sobie, że nie będzie ani miejsce wyższych, ani szarego końca. Czy dygnitarze koronni, czy szlachta wioskowa — czy patrycyat miejski, czy niższe kupiectwo — czy opasłe majstry, czy wysmukła czeladź — czy swoi, czy cudzoziemcy — wszyscy tu byli względnie równi wobec świętych praw gościnności. Powtarzamy jednak wyraz względnie, bo i tu, jak zawsze i wszędzie, kto bogatszy, ten więcej przepychu roztaczał — kto mędrszy lub dowcipniejszy, ten więcej miał słuchaczy — kto siedział na urzędzie, ten odbierał niższe pokłony — a im kto piękniejszy, tym więcej zbierał holdów. Na to i sam Artus już nie mógł poradzić.

Ale z tym wszystkiem bawiono się przednio i w gmachu godnym przesławnego miasta.

Budynek to duży i taki głęboki, że swemi dwiema szczytówami ścianami wychodzi na dwie odmiennie ulice, a jednak w całej swojej długości, szerokości i wysokości

ści zawiera tylko jedną jedyną salę (wyjawszy parę bocznych, malutkich pokoików, które są raczej wnękami wykrojonými w odwiecznej grubiznie murów i dawniej służyły za „bufety“).

Przy białym dniu sala jest oświetlona dosyć dziwnie, na przestrzał, gdyż obie ściany szczytowe składają się prawie wyłącznie z kryształu. Nie są to właściwie ściany, ale — i tu i tam — po trzy okna, olbrzymie jakby lukowe bramy, przedzielone tylko filarami, ozdobne — tak zewnątrz jak i wewnątrz — mnóstwem posągów, godel i wyzłoczeń.

Dwie boczne ściany są nierównie dłuższe; każda z nich także rozpada się na trzy działy; ale tu już niema żadnych okien, tylko wielkie, mocno zaciekawiające freski. W ich treści nie można się dopatrzeć żadnego następstwa ni łączności, ale to nie dziw, kiedy w każdym z tych działów inna gilda gospodarzyła i na własną rękę przyozdabiała swoją część muru. Jedne kazały sobie malować ustępy z Biblii lub Żywotów Świętych, inne z mitologii, a jeszcze inne lubowały się w alegoryi. Z owych różnych pomieszanych natchnień wytworzył się cały świat fantazyi, prześliczny i, jak cała postać Gdańska, bezwzorowy.

Jest jednak we wszystkich tych obrazach jeden rys wspólny; ze środka wszystkich, przynajmniej główniejszych, wystają gałęziste, prawdziwe rogi jelenie. Gdańszczanie je tam umieszczali na dowód, że posiadają „prawo łowów“. Prawo to, stanowiące przez długi czas, we wszystkich krajach, wyłączny przywilej najwyższych stanów narodu, srogimi zakazami obwarowane, było dla niższych celem gorącej żądzy i zazdrości. To też miasta, co go się dobiły, nie mogły się niemi nacieszyć. I Gdańsk téj uciechy kosztował nie bez dumy, znaczniejsi

jego mieszkańcy oddawali się namiętnie owej „pańskiej“ rozrywce i, gdzie tylko mogli, rozwieszali trofea myśliwskie. Stąd i w Artushofie owe rogi, które na rozpacz malarzy niemilosiernie do ich dzieł przybijano. Wprawdzie niektórzy artyści, wybrawszy stosowny przedmiot, zdołali usprawiedliwić w obrazie obecność tego dziwnego przydatku. I tak, we fresku, poświęconym Dyanie, Akteon, już na pół zmieniony w jelenia i wyskakujący z obrazu, bardzo dobre sprawia wrażenie. Ale taki „koncept“ nie wszędzie mógł być z równym szczęciem przystosowany. W „Sądzie Ostatecznym“, naprzykład, ów jeleni, co smętném okiem przygląda się duszom potępionych, stanowi zagadkę, nad którą dzisiejsi widzowie napróżno sobie łamią głowę. Tymczasem klucz zagadki taki prosty! Każda gilda chciała mieć swego jelenia, musiał więc jeleni znaleźć się i w Dniu Sądnym. Pytanie tylko, w jakim usposobieniu twórca obrazu go tam domalował? Czy śmiejąc się dobrodusznie z pustego żarciku? Czy naigrawając się gorzko z „filisterstwa“ swoich Mecenasów?

Pod rzędem fresków stoją z obu stron ławy ciężkie i wspaniałe, rzeźbione jakby stalle, a przed nimi niemniej pomnikowe stoły. (Dziś, dla potrzeb giełdy, wysunięte na środek sali). Ale najgrubszym tu pomnikiem jest piec olbrzymi, prawdziwy patryarcha pieców, gmach wielopiętrowy, którego polewa, o wypukłych kwiatach i osóbkach, o barwach rozlicznych ale nieco fałszywych, majaczy naksztalt wyblakłej nakaty.

Nad tém wszystkiém zaokrągla się przepyszne sklepienie, długie i wysokie, jak u nawy kościelnej, oparte na czterech słupach, zaznaczających środek sali.

Z owych sklepień zwieszają się ozdoby, dziwne i niezaprzeczenie stosowne dla miasta portowego; są to koły-

szące się na sznurach, maleńkie modele okrętów, jakie w Gdańsku bywały różnymi czasy budowane, kupione, lub zdobyte. Wszystkie owe karawelle, stradyotki, galeasy i rozliczne inne morskie domy, wyrobione misternie, z maszcikami, żagielkami, okienkami, tworzą nad głową przechodniów nadpowietrzną flotyllę, która dziś jeszcze, choć już mocno szerniała i zmurszała, stanowi prawdziwe muzeum żeglarskie, a za nowości musiała być nietylko miłą lecz i drogą tym ludziom, co w niej widzieli swoje własne dzieje, przygody i sławę.

Niegdyś też, między rzędami okręcików, były i gęsto rozwieszzone pająki („majstersztyki“ słynnego gdańskiego mosiężnictwa), które wieczór setkami świec woskowych rzeźbiście oświetlały salę i przez owych sześć bram przeznaczonych były na miasto we dwie strony dwoma potokami złotój łuny.

Pan Kazimierz znał na wylot cały Dwór Artusowy; od kilku lat nie ominął żadnego większego zebrania i, jako jeden ze świetniejszych tancerzy, nahulał się tam do syta. Nigdy jednak ta sala nie wydała mu się tak piękną, jak teraz; mury jej tchnęły dzisiaj dla niego jakąś tajemniczością, która go i wabiła i przestraszała.

— Tu — mówił sobie — dzisiaj, za moment, wypróżniony jest się cała moja przyszła destynacya.

Na początek wszakże spotkało go nieprzyjemne wrażenie; ów jego wypieszczony ubiór, co w skromnej gospodzie wydawał mu się tak wspaniałym, tu gasł i niknął obok innych. Ale bo co też to przepychów przewijało się po tej sali! Najświetniej błyszczeli nasi klejnotni panowie, ciągle tu przyplływający z pszenicą i żytem; ci zwykle po mieście chodzili w swoich podróżnych „ma-

rynalkach“, ale na zebranie w Artus-hofie wydobywali z sepetów najcenniejsze stroje; wszędzie były w oczy brokadyowe żupany, guzy jak pączki róż, z samych rubinów, czaple kity, kapiące od złota pasy, wschodnie szable nabijane turkusami, szkarlatne czuły i ferezye o brylantowych szponach. — Było też i mnóstwo cudzoziemców, przynoszących tu okazy wszelkich strojów europejskich, azyatyckich, a niekiedy i afrykańskich, bo czasem na jakim kastylskim okręcie zawinął i jaki Maur o białym zawojowym kapturze. Przychodzili na tę zabawę przez ciekawość, a sami stawali się jedną z największych jej ciekawości. — Pomiędzy właściwymi Gdańszczanami, starszyzna ubierała się z niemiecka lub holenderska, młodzież zaś najczęściej z francuska; zwłaszcza na taneczne zebrania kładziono prześliczne pończochy i trzewiki, „pourpointy“ z barwnymi wypuszczkami, płaszczyk walezyuszowski, wywijający się z pod leciuchnej kręzy, a na głowę toczek, zdobny piórem. Ta głowa była fryzowana z niezmiernym staraniem; jedni zakręcali nad czołem dziwnie harde czuły; inni (ci mianowicie, co mieli spadające koronkowe kołnierze) nosili włosy długie i do pól pleców rozpuszczone, według mody, zwanój „kometową“; inni jeszcze z poza lewego ucha zwieszali sobie warkoczyk, ową tak słynną „cadenette“, co się zakończyła „galantem“, czyli wstążką w motyla zawiązaną; czasem, zamiast warkocza, był to pukiel zwinięty w rurkę długą, ile tylko dało się, najdłuższą. — Ci „kadenettowi“ panice, jako stanowiący ówczesną „złotą młodzież“, mieli zazwyczaj wielkie u dam powodzenie. Obecnie u Gdańszczanek najwięcej go miał młody Morsztyn, czasowo tu bawiący patrycyusz krakowski, pono wnuk tego potentata morskiego, co niegdyś, własnymi okrętami, na własną rękę, prowadził handel z Anglią i Hiszpanią. Dzisiejszy

Krakowianin nie posiadał już tyle co jego dziad okrętów, ale za to był posiadaczem sławnie pięknych, blado-złoty-tych włosów, które uwijał w pukiel długi aż po serce, zakończony blado-błękitną kokardą. Według przyjętych wówczas mitologicznych zwrotów mowy, przezwano ten pukiel „strzałą Feba“ i twierdzono, że, choć taka miękka, strzała ta niejedno serce już na wylot przeszyla.

Dziś jednak pięknego Morsztyna przyćmiewał jeszcze piękniejszy „sire de la Crosade“, rodowity Francuz, który wslawił się w naszych bojach dziełami rycerskimi, a w Artusowej sali wslawił się wprowadzeniem nowój kawalerskiej mody; jego pukiel ciemny, prawie czarny, zakończony gorąco-różowym „galantem“, był nietylko równie długi, jak „Febowa strzała“, lecz jeszcze, o dziwo! na wysokości ucha był przetknięty pyszną, gruszkowatą perłą. Mody téj, tylko co wynalezionój przez jednego z książąt Lotaryńskich, nikt jeszcze na północy nie znał; gość francuski dowiedział się o niej przez listy, odebrane z Paryża, i wnet sprytnie ją przystosowawszy, zbierał teraz tryumfy, którym także nie brakło ambrozyjskiego smaku mitologii, gdyż jedna z piękności gdańskich, spostrzegłszy ową perłę, ozwała się na pełnej sali, że „to pewnie sama bogini Wenus, wyszedłszy z morza, przyniosła mu taki trefny prezent“.

Wobec podobnych współzawodników jakżeż nie miał trochę posmutnieć pan Kaźmierz? A jednak niesłusznie smutniał. W zbytniej skromności zapominał, że, jeśli nie nosi na szatach złota ni klejnotów, za to ma usta jak rubiny, zęby jak perły, a w oczach czarne brylanty, którymi sieje całą Golkondę czarów. Zapomniał, — ale niebawem przypomniały mu to wszystko same białogłowy. Jak zaczęły z pod oka na niego spoglądać, a uśmiechać

się, a szeptać, niby cicho, jednak dosyć głośno, aby dobrze słyszał:

— Co za chłop urodziwy!

— Czysty bożek Mars in persona.

— Oj, żeby mię tak porwał do płasania, tobym chyba w obłoki wyleciała...

Tak pan Kaźmierz pokręcił węża i pomyślał sobie:

— Ej! Chyba ja tu nie ostatni. A może się znajdzie i ktoś taki, dla kogo będę nawet i pierwszym?

Ów „ktoś“ jeszcze dotąd nie znajdował się w sali, czemu pan Kaźmierz był rad w pierwszej chwili, boć wedle serdecznego kodeksu słuszną jest, a nawet konieczną rzeczą, by na miejsce spotkania kawaler przybywał wcześniej, niż pani jego myśli.

Teraz wszakże, gdy sam się już stawił, byłby chciał i ją ujrzyć jak najprędzej.

Trzymał się więc w pobliżu wejścia i nie spuszczał z oczu bramy szklanej, którą wciąż napływały nowe pary i nowe gromadki strojnych gości.

Po chwili jednak musiał głowę odwrócić, bo tuż przy nim wrzała rozprawa taka gromka, że nie można było jój nie zauważyć.

Na ogromnej ławie, przy ogromnym stole, siedziało kilku niemniej ogromnych mężów z Urzędu miejskiego. Wszyscy o twarzy podobnej do pełni miesiąca, z brzuszkami jak beczułki, na których trzymali zaplecione ręce, wszyscy w ubiorach buchciastych, w kręczach jak półmiski, jedni w grubych biletach, drudzy w kapeluszach takich płaskich a szerokich, jakie dziś już tylko u kardynałów można widzieć. Między tymi dobrze wypasłymi towarzyszami odznaczał się jeden, także ogromny wzrostem, ale chudy jak zeschłe drzewo, secretarius Frydrych Hogge, który właśnie kończył swoje dowodzenie:



Przy ogromnym stole siedziało kilku ogromnych mężów z Urzędu miejskiego.

— Tak czy siak, zawdy ja powiem, że Szpiryngowe cło to nasza największa calamitas.

— Największa calamitas — powtórzyli chórem tłusci towarzysze.

— Bo proszę ja, dlaczego dawne króle żadnego cła po nas nie wyciągały? Ale to literalnie żadnego. Dopiero jak te nieznośne Szpiryngi, przybłądy z za morza, przyszły, tak zara król ich nam na kark nasadził, i teraz rachuj się, płac i zawdy płac.

— Ja, ja. Licho ich przyniesło z Ollendryi — przywarzali tłusci towarzysze.

Ale tu, ponad wszystkie głosy, jakby dzwon srebrny, wybił się głos pana burmistrza Krzysztofa Freimutha. Siedział on przy tym samym stole, rozparty na wysokim krześle, także wspaniały, ale na podziw kształtnie zbudowany. Ubiór miał z szafirowego weneckiego aksamitu, o jedwabnych, białych wypuszczkach, wokół bioder szarfę ze złotej siatki, a na piersiach kosztowny łańcuch. Czy od upału, czy od niemilego wzruszenia, musiało mu się zrobić gorąco, bo nagle zerwał swój wielki kapelusz, okręcony złocistą wstęgą, zaczęła się jego twarz, piękna jakby oblicze Jupitera, zazwyczaj rozpromieniona łaskawym uśmiechem, ale teraz palająca oburzeniem, które na środku jego czoła zarysowało brózzłę Jowiszową.

— Przez Boga żywego! — zawołał. — Proszę ja Waszych Uprzejmości, nie gadajcie takich szpetnych rzeczy, boć na samo ich słuchanie wnętrzości w czleku precz się skręcają. A dlaczegoż Król Jegomość nie ma cła wybierać? Wszakci we wszystkich królestwach i republikach tak się dzieje, że ludzie coś przecie przynoszą do Skarbu, wedle powszechniej potrzeby? Inaczéj, żadne państwo na nogachby nie ustalo. Pytam się Waszeciów, in

gratiam czego my jedni na świecie mamy być wolni od wszelakiej obedyencyi?

— Ja swoje powtarzam — skrzeknął swoim twardym głosem secretarius. — Dawne króle tego nie robiły, i dobrze było.

— A właśnie, że złe. Dawne króle były za dobre.

— Ba! Czy to można być za dobrym? — sarknął z ubocza ryżo-włosy wójt, Hans Hecker, co miał twarz podobną do łasiczego pyszczka.

Wtedy pan burmistrz uderzył w stół swoją dużą, ale białą pięścią i odparł:

— A można! I najlepsze na to exemplum, że ta dobroć nas popsowała. Kto nas to wyrwał z okrutnej krzyżackiej oppresyi? Kto nas do serca przytulił? Kto, jak nie one króle nasze oćce i nie ona wspólna matka nasza? Przez lat półtorasta my chleb u nich jedli za darmo, jako te małe dzieci, co nie nie robią, a dostają nietylko swoją racyę, ale jeszcze w dodatku i łakocie. A że teraz Król Jegomość prosi tego, co my już od lat półtorasta powinni byli dawać, to krzyczęm, jakby nas kto żywcem ze skóry obdzierał. I wiecznież będziemy jako te liche minores? Abo jak te szerszenie próżniaki, co z ula miód wyjadają, a same go tam nie przynoszą? Co my dotąd im przynosili? Nic, jeno krnąbrność, i burdy, i bunty. A! Serce się wzdryga na takową ingratitudinem. I żeby to jeszcze robiono po tyrańsku? Ale nieprawda. Panowie Szpiryngi są ludzie godne, i mądre, i sprawiedliwe. Ja więcćj powiem: w niejednym nieprzezpiecznym casu sie my widzieli jako to istne są heroy.

— Ale wszystkiém trzęsą — przerwał chudy Frydrych. — Wszystkiém trzęsą, a nam co po tém? Kto flotłę rządzi? Panowie Szpiryngi. Kto cło wybiera? Pa-

nowie Szpiryngi. Kto wszelki zatarg rozsądza? Panowie Szpiryngi. Dlaczego właśnie oni?

— Dlatego, że Król Jegomość raz przecie znalazł sobie ludzie, co nie służą prywatnie téj lub onéj prowincyi, abo prywatnie tego lub onego miasta, ale służą pospolitej rzeczy. I kłamię, kto powie, że oni sami jedni rządzą. Wszakci w onéj Morskiej Komissyi zasiadają rozmaite dygnitarze, i Denhoffy, i Ossolińscy, i Guldensztorny. A wszakci są tam i nasze rodowite Gdańszczany. Czy nasz kompan, poborca Jerzy Hefel, tam nie siedzi, co? A wszystko same zacne osoby. Król Jegomość dobry ojciec, a my zawdy byli złe dzieci.

Tu znowu ryży wójt Hecker ozwał się z fałszywym uśmiechem:

— A po co się Waszność tak sierdzisz? Nikt z nas tu nie nie gada przeciwko Królowi Jegomości, jeno żeby nie było tych przeklętych Szpiryn...

Tu mówca, nie dokończywszy wyrazu, pozostał z otwartemi ustami, towarzysze jego także nagle zamilkli. Wszyscy zwrócili oczy ku wejściu, gdzie powstał wielki szum i rozruch. Tłum rozstąpił się z uszanowaniem, i weszło trzech okazałych mężów; byli to trzej bracia, Izaak, Abraham i Arnst Spiryngowie, rodem z Delftu, komisarze królewscy, ludzie — jak słusznie mówił burmistrz Freimuth — wielkiego rozumu, oraz nieskazitelnej prawości; a mieli téż w sobie i coś bohaterskiego i zaprawdę potrzebowali niemałej odwagi, aby jakiś ład wprowadzać w tém rozszalałym od swawoli mieście, co chciało mieć wszystkie prawa i przywileje, a nie spełniać żadnych obowiązków państwowych. Silni obywatelską swoją cnota, nie lękali się czczych krzykaczy, i téż, mimo pokątnych wicherzeń, mieli ogólny szacunek i posłuch. Oto

i teraz Ojcowie miasta rzucili się hurmem, aby przyjąć nowo-przybyłych i dziękować im za laskawe zaszczytowanie Artus-hofu swoją zbyt rzadką, a zawsze upragnioną obecnością. Zwykłym nawet porządkiem rzeczy ludzkich ci, co przed chwilą najwięcej krzyczeli, teraz pchali się z najniższymi pokłonami, a chudy Kogge zginał się przed nimi we dwoje, niby nawpół złożony kozik.

Burmistrz Freimuth nie pchał się z innymi, stał uśmiechnięty na stronie; ale nowi goście sami przystąpili ku niemu i uściskiem szerokiej dłoni serdecznie go powitali.

Z trzech braci Spiryngów, dwaj starsi byli już bardzo poważni; zwykle też lubili przestawać ze starszyzną. Za to najmłodszy jeszcze chętnie przysuwał się do niewiast i czasem nawet poszedł z najpiękniejszą w taniec. Wszyscy trzej mieli twarze duże, o szlachetnym wyrazie, o podkręconych wąsach i niewielkiej, w trójgraniścietej bródce. Stroje były na nich czysto holenderskie, jakoby popekane w pasy, z pod których wystawały spoddy innej barwy, z kołnierzami obszernymi, jakby koronkowe pelerynki. Na głowach, osutych pierścienistym włosem, nosili miękkie, ogromne kapelusze, o piórach pukających się w różnobarwne kity. A mieli przytém jedną jeszcze ozdobę, której tu nikt inny nie posiadał: u każdego z nich, na piersiach, między rozchodzącymi się brzegami koronek, przypięty złotą iglicą, kraśniał świeży tulipan. Były to trzy żywe klejnoty harlemskie, trzy cuda sztuki ogrodniczej. U najstarszego Izaaka tulipan ciemno-morderowy przy świetle wieczorném wyglądał prawie czarno, u drugiego był w paski fioletowe i gorącozółte, u trzeciego w płomyki ponsowe i białe.

Przybycie trzech braci wniosło pomiędzy zgromadzonych jakieś usposobienie uroczyste; wszystkim się wy-

dało, że sala pojaśniała, jakby padł na jej mury odbłask majestatu królewskiego.

Téj téż tylko chwili widocznie oczekiwali muzykanci, aby dać hasło do rozpoczęcia zabawy. Ledwie komisarze kilka słów powitalnych zamienili, już na chórze kapelmistrz podniósł obie ręce, i huczna muzyka z kotłami, uderzywszy „Alla polacca“, zaczęła grać „wielkiego“, czyli, jak go także zwano, „pieszego“. (Ta ostatnia nazwa zdradza spostrzeżenie, które tylko w rycerskim narodzie mogło powstać; zauważono bowiem, że przez powolność swoich ruchów był on tém w porównaniu do innych żywszych tańców, czém jest miarowy chód piechoty w porównaniu do rozpędów i skoków konnicy).

Tańcowano go wtedy zupełnie inaczej, niż w późniejszych czasach. Najprzód wystąpili sami mężczyźni, po dwóch trzymający się za ręce. Na czele panowie Spiryngowie, z innymi dygnitarzami państwa, których zawsze pewna liczba przebywała w Gdańsku. Dalej komendant miasta, osiwiwały wojennik, ze starożytnego pruskiego rodu Ferberów, szedł ręką w rękę z burgrabią, panem Steffensem, przebogatym patrycyuszem gdańskim. Szło czterech burmistrzów i czternastu wójtów, którzy razem z owym burgrabią, mianowanym od Króla, stanowili wspaniały Senat Miejski. Po nich, kilkudziesięciu parami, stapał Centumwirat, czyli Rada Stu mężów, od plebsu wybieranych, tworzących obok Senatu coś naksztalt Izby Poselskiej. Dalej sypali się wielcy kupcy, wojskowi, znaczniejsi marynarze, bogate majstry, a nawet i czeladź co kształtniejsza, wszystko wedle wieku i godności. Tak, uprzejmie rozmawiając, niby zniechęcenia zwijali swoją wstęgę w różne uczzone skrety, a gdy kilka razy już obeszli

jedną stronę sali, wtedy po drugiej stronie wystąpiły parami najprzód matrony, dalej panie dojrzałe, dalej młodsze, wszystkie wedle wieku i godności. Teraz oba orszaki, tańcząc osobno, przyglądały się sobie zdala i przy spotkaniu zamieniały ukłony. Czasem orszak męski ustępował damskiemu z „traktu“ i sam przechodził pod przeciwną ścianę. Aż gdy kapela uderzyła na „finał“, dwójki męskie i żeńskie zaczęły się rozpadać, potworzyły się z nich pary mieszane, a z tych par wstęga jedna, lecz dwa razy dłuższa, i wszyscy popłynęli wokół całej sali, pochodem iście tryumfalnym.

Naprawdę „wszyscy“, gdyż od tej pięknej przechadzki nikt się nie wymawiał, chyba chromi, albo „malkontenci“, którzy nie zdolali sobie dobrać upatrzonéj pary. Do małej garstki tych ostatnich należał dziś pan Kaźmierz; stał on pod ścianą z nasrożonemi brwiami; widok tego pochodu, dla wszystkich oczu pełen blasku i krasy, jemu wydawał się bladym i smutnym, bo między Centumwiratem brakło pana Schultza, o co zresztą byłby mniejszy kłopot, ale między białogłowami brakło... ach, wiadomo kogo...

— Żle mi się napoczyna on festyn — pomyślał.

Tymczasem, po zakończeniu pieszego, starszyczna zabrała miejsca na ławach pod ścianami, a młodzi skupiali się w pośrodku, bo na chórze kapela zaczęła grać „galiardę“, czyli, jak u nas wymawiano, „galardę“.

Śliczny ten taniec włoski (Gagliarda) był niezmiernie wesoly, pełen pustackich a niewinnych igraszek; dama i kawaler mogli w nim kolejno popisywać się z prawdziwemi dziwami sztukmistrzostwa Terpsychorowego; to też

nietylko dla występujących, ale i dla patrzących był rozkoszą. I teraz cały pierścień widzów zebrał się wokół czterech filarów, między którymi kilkanaście par wykonywało harce galiardowe.

Tylko pan Kaźmierz odwrócił się i stanął do nich plecami. Teraz już nie brał go smutek, ale go brały złości. Mój Boże! Ten taniec był taki stosowny do figlarnych ruchów Hedwigi, tyle sobie zeń obiecywał uciechy!

— Owóż i galarda już dla mnie stracona! — rozmyślał gorzko. — Jak też to można tak haniebnie marudzić? Pewnie to tam pani Korwiczkowa muska i muska czoło, a oni precz na nią czekają, bo wiem, że mieli przyjść jedną kompanią.

Chcąc sobie skrócić chwile niecierpliwości, zbliżył się do kółka mężczyzn, którzy w kącie sali wiedli żywą rozmowę. Kilka słów, z niej zasłyszanych, przykuło jego uwagę, byli to bowiem wszystko „ludzie morscy“ i o morskich rzeczach gadali. Właśnie pan Wojciech Zabokrzycycki, dzielny oberszter od królewskiej floty, mówił, podnosząc głos jakby na okręcie, dla przekrzywienia już nie szumnych bałwanów, ale gwaru rzeszy i kapeli:

— Cuda nam tu Waszmość, panie Van der Helst, rozpowiadasz o panu Krzysztofie Arciszewskim, i bardzo ja rad, że on u was awansował aż na wicereja i jakoby drugiego Jazona. Jenó nie pojnuje, czemu się Waszmość tak dziwowasz? Abo to on pierwszy? Co tu gadać, że my ludzie nie do wody. A ów Jan Skolnus, co był admirałem u króla duńskiego?

— Kiedy to? — pytał głosem grubym, jak tuba marina, zagadniony gruby Van der Helst.

— Oho! Jeszcze za króla Kazimierza. On pono wynalazł takie kraje, co potem z kretešem zaginęły, i nikt już nie może ich odnaleźć. To był taki człek,

jak ów Kolumbus. No, a Sierpinek? Ten, co to mu Król Zygmunt August powiedział pewnego dnia: „Stwórz mi Acan flotłę“. I stworzył z niczego, i wyrabiał ze swymi freybitterami takie bajkowe cuda, że aż Bałtyk skakał z radości.

— No, no, nie wszyscy skakali — przerwał chmurnie tuż stojący armator Stilling.

— A i to prawda — odparł Zabokrzycki. — Wy, panowie Gdańszczaki, nie bardzoście się w nim kochali, narzeczyliście z téj okazji kryminalnie, naścinaliście głów niewinnych...

— No, no... — wtrącił armator. — Co tu wypominać stare rzeczy? Król wonczas wybaczył, a Waszmość nie wybaczasz?...

— Dajmy tedy pokój Sierpinkowi. Ale kto jeszcze? No, a Laekoroniski, komendant pucki? Mało to on się nadokazywał takich dziwów, co godne, żeby je Cycero opisał? Albo i Cyppełmann, co to tu, pod samym Gdańskiem, zbil flotłę szwedzką? Na to my już sami patrzali.

— A tak — potwierdził Stilling. — To była piękna wiktorya. Cyppełmann miał tylko dziewięć okrętów, a Szwedy miały jedenaście, a wszelako ich stłukł na miazgę.

— I nawet — wtrącił pan Kaźmierz — ich dowódca Hoenszyld był zabit.

— Jeno — ciągnął dalej Stilling — ten Cyppełmann nie ze wszystkiém wasz.

— Jakto nie nasz? — krzyknął Zabokrzycki. — Że nazwa Niemcem trąci, to nie racya, tu pełno takich, ale dusza, całą duszą był nasz. Jamci go znał i miłowalem go, jak rodzonego, i nie dam sobie gadać, że nie nasz!

Pan Zabokrzycki był zacierzewiony, pan Stilling także zaczął się zapierać, byłoby pewnie przyszło do

dłuższej zwady, ale w tej chwili zrobiło się na sali poruszenie; galiarda właśnie dobiegała do końca, muzyka uci-
chła, i tłum zaczął od filarów odpywać ku ścianom,
przyczém zgiełkliwą falą rozciął nasze kółko rozpra-
wiaczy.

Nastala między tańcami przerwa, podczas której ehe-
dogie dziewczęta wysuwały się z bokówek i roznosiły
po sali rozmaite napitki; dla mężczyzn wina i miody,
a zwłaszcza kufle z pieniącym się piwem; dla dam —
cieplą zupkę z bułki, bardzo zdrową, i przedziwne mlecz-
ko z migdałami. Ustawiały też na stolach cudne, płaskie
naczynia, wyrobione w kształcie konch albo łódek, pełne
konfitur i cukierków, a przy nich niemniej cudne dzba-
ny z zimną wodą, zaprawną smakiem owocowym; rozno-
szono także całe piramidy tłustych, przewybornych cia-
stek i nawet modne już wówczas torty, nad którymi pię-
trzyły się różne figurki z cukru; te przedstawiały zwykle
jakąś mitologiczną przygodę, najczęściej Wenere, wy-
syłającą Kupidyna z łuczkiem, albo przyjmującą jabłko
z rąk Parysa; wiadomą jest bowiem rzeczą, że niema na
świecie miasta, gdzieby ta bogini posiadała tyle posągów
i różnych wyobrażeń, ile posiada ich w Gdańsku. Tak to
ów gród, już dziś podtatusiały, za swoich pięknych cza-
sów umiał być romansowym.

Jeszcze wszyscy mieli usta pełne tych przysmaków,
kiedy kapelmistrz sam ujął za skrzypce i urznał kró-
ciuchną, ale dziwną, podrygliwą przegrywkę, a wnet po
całej sali rozszedł się szmer uciechy, nieledwie okrzyk ra-
dości.

Jedni drugich nawoływali, śmiejąc się i klaszcząc w ręce:

— Giga! giga! Będzie giga!...

Ze wszystkich tańców, jakie krążyły kiedykolwiek po warstwach wykształconego społeczeństwa, żaden podobno nie miał tak bajecznych powodzeń, jak sławna niegdyś szkocka giga. Był to taniec jeszcze trudniejszy od galiardy, nieledwie akrobatyczny; to też jeśli gdzie się jeszcze przechował, to tylko między tancerzami na linie, którzy do dziś dnia zdumiewają widzów tym lub owym jego ulamkiem.

Przez ciąg siedemnastego wieku cała Europa szalała za giga. Szalał za nią i Gdańsk rozbawiony, témbardziej, że mnóstwo mieszkało w nim Szkotów; było nawet jedno przedmieście, zwane Szkockiém; wprawdzie miasto miało częste zatargi z tém przedmieściem (którego mieszkańcy, zabici katolicy, bronili gorliwie praw biskupich), ale przy „okrągłym stole“ Artusowej uciechy zapomniano krwawych dysput i, wobec owój czarodziejskiej nuty, wszystkie serca na chwilę w jeden rytm uderzyły.

Widząc pary dobierające się skwapliwie, pan Kaźmięrz coraz załośniej opuszczał ręce i głowę. A więc i giga dla niego przepadnie? Ta giga, w której — dzięki marynarskiej swojej sile i zwinności — tak wielkie zawsze odnosił tryumfy!

Wiedziały o tych tryumfach damy; to też dziwiły się i krzywiły, czemu piękny poręcznik żadnej z nich nie zaprasza? Nakoniec pewna pani wójtowa, tęga i ru-

miana jak piwonია, wzięła na odwagę, trzepnęła go facoiletem po ramieniu i spytała:

— A co to Waszmość tak się zapamiętywasz, jak figura na mauzoleum? Nie lepiej byś to Waszmość szedł do tanku?

— A poszedłby ci ja na skrzydłach, cóż kiedy ona bialogłowa, com ją sobie zarekwirował, jeszcze nie nadciągnęła z miasta.

— A to Waszmość sobie powiedz: Bierz ją licho! I pokonsoluj się z innemi. Abo to tutaj nas mało? A z takim rycerskim płasownikiem każda rada wyskoczy. No, kawalerze, wybieraj. Cóż to? Chcesz Waszmość nam pęrgnąć?

— Exkuzuj Waćpani, zara wróce, jeno mi się widzi, jako moja panna tam ode drzwiów nadciąga...

Pan Kaźmierz zmyślił sobie tę wymówkę, byle tylko się wysliznąć ze szpon pani wójtowej. Rzeczywiście, nim się obejrzała, pęrgnął jęj z pod ręki, ale u drzwi— jak przewidywał — nie znalazł swojej panny.

Wyszedł na taras, pelen służby i ciekawych widzów. Stał tam długą chwilę — napróżno! Wprawdzie maruderzy jeszcze nadciągali, ale to już coraz rzadziej się trafiało, i sala była nabita po brzegi.

Przemyśliwał tedy:

— A możeby kogo posłać, aby dostać języka, czy tam się co złego nie stało?

I żałował, że Maćka z sobą nie miał, ale Maciek został w gospodzie, dla pilnowania pewnych koników, co mogły wprędce być potrzebne.

Wrócił tedy pan Kaźmierz jak niepyszny między gwarne tłumy, stanął pod filarem, a podczas kiedy giga rozbijała się na środku sali, on utkwiał oczy w jednym

z nadpowietrznych okręcików i z wolna zapadł w zadumę, która go spowinęła swoim obłokiem, jako mgła wodna, gdy okręt otoczy.

Nagle... jakaś błękitna jasność olśniła go tak mocno, że aż musiał oprzeć się o filar. To pani jego myśli! To wszyscy oni wchodzą... O! już są na sali...

Przodem idzie pan konsul, ubrany bardzo suto, w sajan z czamletu barwy cygrynowej, czyli koloru wody morskiej (seegrün), z popieliczemi wylózkami, na przodzie roztwarty; z pod sajanu sterczy jego pierś wypukła i wydyma się obereuch czarny, sztucznie rzezany, srebrzystą taśmą sznurowany; u kolan i u trzewików chrzęszczą róże z kilkobarwnych wstążek, przespilone srebrnemi sprzączkami; na kapeluszu chwieją się czarne i seledynowe pióra; głowę pod nimi pan rajca nosi wysoko, jednak z tem wszystkiem wygląda dziś niedobrze; jakieś ma pod oczyma sine plamy, na policzkach ciemne wypieki, krok chwiejny i nierówny. Ale widocznie się przemaga, nadrabia uśmiechem pełnym dumy; a ma z czego być dumnym, bo i sam dziś wystąpił uroczyście, i pod rękę prowadzi panią Floreę, która wkoło siebie roztacza upajającą czarowność.

Od miesiąca już ona zrzuciła przecie uprzykrzone kiry i dziś nakoniec mogła przystroić się pięknie. Ach, nie tak pięknie wszakże, jakby chciała! Prawa przeciwbżytkowe ciężą na niej bez miłosierdzia. Mimo wspaniałości swoich wdzięków, prosta wdowa po majstrze passamonniku nie może nosić ani kosztownych tkanin, ani prawdziwych klejnotów. Ten zakaz jest największą zgryzotą jej życia; ile to już godzin ona się nad nim napłakała! On też jest głównym powodem gwałtowności, z jaką pani Flora pragnie wyjść za którego z członków Magistratu.

Ich żony, szczęśliwe! mogą nosić i czysty jedwab, i czyste złoto, i drogie kamienie.

Tymczasem biedna wdówka nagradza sobie te braki wykwintnym smakiem w ubraniu, co sprawia, że w oczach męskich nieraz przyćmiwa mniej piękne, choć wyzłocone „panie radne“.

Dziś właśnie potrafiła sztuką zdobyć takie zwycięstwo. Suknię przywdziała z pół-bławacia, zwanego bomzy-nem, przepysznej barwy malinowej. Stanik u przodu ma głębokie wycięcie, skąd jej bogate łono wychyla się, jakby motyl, co białe skrzydelka rozłożył na dnie kwiatowego kielicha. Porównanie do kwiatu wypada tém stosowniej, że wkoło całego wycięcia rozwachlarza się kołnierzyk stojący, przezroczysty, oparty na drucianym płotku i tak wywinięty, jakby polowa jakiejś ogromnej lilii. Od tego tła obłoczkowego tém silniej odbijają karminowe usta i przestrzeliste oczy pani Flory. Na głowie, u samego jej wierzchu, ma tak zwaną „forge“, czyli kilka piór białych, postawionych zupełnie prosto, które z warkoczowego koszyeczka wytryskają w górę, jakby pieniaca się fontanna. Taki przystrój, podobny do pióropuszków końskich, dzisiejszym oczom wydałby się dziwnym, a nawet może śmiesznym; ale wówczas był bardzo wzięty; a niewiasty lubiły go i za to, że, ludząc oko, dodawał im wzrostu, czemu i pani Flora była rada, bo jej postać kształtna, lecz nieco przysadzista, wiele na téj złudzie zyskiwała.

Jeśli strój pięknej wdowy zwracał oczy swoją krasą i wybujałą pełnią kształtów, za to ubiór Hedwigi odznaczał się wstrzemięźliwością barw i kroju. Szła ona drobnym kroczkiem po drugiej stronie pana Schultza, z oczyma utkwionemi w ziemię; dzięki jednak znanej sztuce panięńskiej, mimo spuszczonej powiek, widziała wszystko i wszystkich, a już co najpierw dostrzegła, to żółty

„szustokor“ pod filarem. Na ten widok zaćmiło jej się w oczach, ale i tu czary panięskie przyszyły jej nieomylnie w pomoc, i choć tylko już wpół przytomna, szła dalej, niby przez sen płynąc i budząc wokół siebie szmery.

Suknia jej nie była dziś niebieska w białe floresy, ale biała w niebieskie ciągnione kwiateczki. Uszyta ze wschodniego, pół-przezroczystego „persu“, sięgała po samą szyję, bo pan majster, czy zazdrosny o widok jej wdzięków, czy przejęty purytańską surowością, pomimo nalegań pani Flory, nie pozwolił na żaden sposób, aby miała stanik wycięty. Więc wokół jej szyi marszczyła się, jak zawsze, kręza stokrotkowa, tylko zrobiona z koronki nierównie piękniejszej, niż codzienna. W złotych włosach miała, jak zawsze, bramkę z błękitnej wstążki, ale dziś był na niej naszyty dyadem z kwiatów bursztynowych, prześlicznych, mgławo-przejrzystych, trzęsących się za każdym jej ruchem, jak światełka. U drobnych uszu wisiały także same koleczki, obrobione w kształcie serduszek. W pasie też owinęła się sznurem bursztynowym, którego ziarna grube, równe, białawe, spadały na przód sukni, jakby dwa różańce, zakończone chrześliwymi wisiorami. Nawet jej rękawiczki białe, niebieskim jedwabiem haftowane, zapinały się na bursztynowe guziczki.

Ktoś z obecnych, spostrzegłszy u niej ową mnogość morskiego klejnotu, nazwał ją „bursztynową panienką“. Nazwa ta wnet obiegała całą salę, a niejednen, sądząc z oblicza, mówił, że i serce u niej musi być „czyste, jak bursztyn“.

Za majstrem i jego dwiema towarzyszkami samotnie stapał Kornelius, w ubiorze holenderskim o dwóch niewesołych kolorach, ciemno-stalowym i ciemno-ceglastym, co go czyniło podobnym do pęku zardzewiałych kluczy

i dobrze licowało z jego posępną twarzą, przypominająca twarze dozorców więziennych.

Przybycie nowej gromadki sprawiło niejakié wrażenie w Artusowej sali. Hedwiga ukazywała się tam po raz pierwszy, a i panią Florę (która najpierw dla choroby męzowskiej, a potem dla żaloby przebyła parę lat w zamknięciu) witano jakby zmarłychwstałą. Obie panie zostały skwapliwie otoczone. Pan Kazimierz najskwapliwiej nadbiegał i już chciał witać się z Hedwigą, gdy pani Flora, odciągawszy go na ubocze, zaczęła mu z żywością rozpowiadać:

— Ach, Wasza Miłość ani sobie figurujesz, co ja przesłałam srogich emocyi! Żeby nie ja, Waszmość byś tu nie widział swojej panny.

— Wielki Boże! Co się stało?

— Rzecz dość zwyczajna, pan Schultz nam zachorzał.

— Aha! Co prawda, źle mu z oczu patrzy. No, aleć to nic obłożnego, kiedy przyszedł?

— Nie przyszedł, jeno się przywłókl. On często miewa jakoweś darcie w nogach i jakieś okrutne bolenie na wnętrzu. Medyk Pagliano zadekretował, jako to zbyt nia wilgoć z picia cerewizyi, ale pan konsul powieada, że Włoch nie zna się na piwie i dlatego takie androny plecie, i cały Magistrat go w tym sensie sukkursuje, bo wszyscy oni w piwku się kochają. Owóz dziś przychodzę do nich, już ustrojona... wszak niepodle, co?

— Ach, boginie z Olimpu mogą zajrzeć Waćpani!

— Tedy widzę, i Hedwiga już wymuskana, jeno pan majster jeszcze się guzdrze, i szat nie naciaga, i popija tyzannę, a precz stęka: „Oj bięda! Nie mogę pójść. Herr Gott! Nie mogę“. Ja tedy, w duszy rada, że nam

wolność ostawi, dalej w namowy: „Ostań się Waszecz dom, legnij na becikach, a ja pannę Hedwigę zabiorę i pomatkuję modelowo“. A tu figuruj sobie Waszmość, jak się dziewczyna wyrwie, tak mało co wszystkiego nam nie popsowała. Powieda: „Kiedy pan majster nie idzie, to i ja nie pójdę, jeno się ostane, aby dobrodziejowi usługować“. I już odpina kolce i ściąga rękawice. Ażem się zdumiała, bo to wszelaka panna, kiedy ma iść na taniec, to i po trupach by gotowa skoczyć, a ta benewolnie powieda: „Nie pójdę“. No, i co Waszmość powiesz? Właśnie tą cnotą wygrała. Pan Schultz się rozczulił, że aż oczyma zaczął mrugać, a ja na niego wsiadam: „A nie wstyd to Waszecz przyjmować takie sakryfycium? Każ jęj pójść ze mną i basta“. A pan Schultz: „Ja większe zrobię sakryfycium; acz kiszki we mnie piszcza, pójdę“. — I zara się odział, i takeśmy go tu przywlekli, ale ja radzę Waszmości, co masz robić, to prędko rób, albowiem on lada moment zacznie znówu stękać i gotów się z nią wynieść przed północkiem.

— Nie dobra to impreza — odparł skłopotany pan Kaźmierz. — Nielacno tak wielkie plany egzekwować na łapu-capu. Ha no, weźnę się do rzeczy, aleś zawdy mi już Waćpani fantazyę zwarzyła.

— No, no, jeśli Waszmość nie potrafisz w godzinę przerobić jęj konwikcyi, to powiem, że z Wodnej Armaty nie tęgie wychodzą konkieranty.

Ważną tę rozmowę przerwał burmistrz Freimuth, który już od początku krążył około pani Flory; należał on do jęj stałych wielbicieli; ach, i ona byłaby dla niego wszystkimi innymi pogardziła, bo i piękny, jak bożek, i dwa razy bogatszy od pana rajcy, i burgemeister, jeden z miejskich królów! Ale cóż, kiedy, niestety, już miał żonę! Wprawdzie chuda była, jak szczapa, i kaszłaca, jak

owca, mówiono, że niedługo pociągnie, wszelako trudno liczyć na takie gadanie; skrzypiące drzewo nieraz przetrwa najzdrowsze zagajniki. Wiedziała więc mądra wdowa, że pan burmistrz obecnie na nic jej się nie przyda, w każdym razie, jego nadskakiwanie pochlebiali jej bardzo słodko, a co więcej, mogło posłużyć za wabik na inne ptaszki. Rozpoczęła więc z nim rozmowę ciętą i świecistą, jak rotowy ogień, od czasu do czasu strzelała na bok okiem, dla przekonania się, czy w obliczu pana majstra nie dojrzy błysku pożądanej zazdrości.

Ale majster w tej chwili nie patrzył na panią Flore, tylko na Hedwigę, którą tancerze już hurmem otoczyli. Był między nimi śliczny IMei pan Morsztyn ze swoim złotym puklem, i Sire de la Croade z perłą w uchu, i nawet najmłodszy ze Spirynków. Zaciekawieni kwitnącą buzią i turkusikowemi oczyma „bursztynowej panienci“, wszyscy zapraszali ją do sarabandy, której hasło już dwaj główni skrzypkowicze dawali na chórze, wykonywając przygrywkę śliczną i cieniuchną, jakby rozmowę dwóch słowików. Hedwiga, zakłopotana, rumieniąca się po same oczy, kręcąc w ręku wisiory bursztynowe, odpowiadała kawalerom, że „bardzo przeprasza Ichmościów, że chyba to będzie na później, bo do pierwszej sarabandy już się przyobiecła IMei panu Koryckiemu“.

Właśnie też Kaźmierz nadchodził, spojrzal z dumnym uśmiechem po współzawodników i wyprowadził ją na środek sali, gdzie kilkanaście par już stawało do zalotów sarabandowych.

Cudny ten taniec hiszpański, wprowadzony do Paryża przez tancerkę Zarabandę (która mu też i nazwę zostawiła), stał wtedy u zenitu swojej wziętości. Paryżycy kochały się do niego we dwa rzędy, mężczyźni po jednej stronie, a kobiety po drugiej, ale każda para była

tylko sobą zajęta, między każdą z nich odgrywał się osobny dramacik miłosny, pełen dworskiego wykwintu i godności; przebieg jego był dość powolny, w tempie dosadnie wybijaném, i można twierdzić, że pozostał wspaniałym pierwowzorem, z którego menuet później się urodził, a raczej wyrodził, bo gdy sarabanda była tylko czułą, menuet stał się czułościowym.

Pan Kaźmierz zaczynał taniec z myślą — jak sam powiedział — zwarzoną przez ostatnie słowa pani Flory. Tak mało mieć czasu na wykonanie tak wielkiego zamiaru, to prawdziwa feralność! Ale po chwili wrodzone junactwo zapanowało w nim nad wszelką troską, i powiedział sobie:

— A może właśnie lepiej tak? Dość już onego politykowania. Raz trza ruszyć z kopyta i pokazać się konkierantem.

Wkrótce też urok owego niemego dramatu, pieszczotliwość muzyki rozkolysanej, a zwłaszcza wdzięk istoty, co się przed nim przesuwała, jak senne zjawisko, wprowadziły go w takie upojenie, że co chwila zapominał uczonych zwrotów tańca, płonął, rwał się, byłby chciał chwycić ją w objęcia i uciec z nią na jaką pustynię. Tymczasem przynajmniej słodkimi słowy czynił sobie folgę. Powolność ruchów i niejaki w nich przestanki pozwalały na częstą choć rwaną rozmowę. I tak, przy pierwszym ukłonie, zapytał:

— Na jaką to pamiątkę Waćpanna zawdy się odziewasz w niebieskość i białość? Czy dlatego, że z nieba zesłaś i konserwujesz niewinność Aniołów Pańskich?

Hedwiga, ujawszy suknię w obie ręce i oddawszy mu wzajemny ukłon, odpowiadała:

— Nie, proszę Waszmości. To na pamiątkę onych szatek, co mię w nich poganie zabrali. To były ostatnie szatki, w jakie mnie moja matka przyodziła, i kiedy takowe noszę, to mi się wydawa, jakobym jeszcze pełniła rozkazanie mojej świętej matki.

Tu żywsze zwroty przerwały rozmowę.

I znowu, w chwili gdy podawał jej rękę, tancerz nagle przystanął, jakgdyby ołśniony, oczy sobie drugą ręką przysłonił i spytał:

— W jakiej to kryniczce Waćpanna się mywasz?

Ona, obiegłszy go dokoła, położyła paluszek na ustach i odrzekła:

— A! To mój sekret.

A znów on, ścigając ją kolisto, wedle figury tańca pochylił przed nią kolano i, patrząc błagalnie, mówił:

— Zmiłuj-że się, o panno mego serca, nad memi oczyma, boć ja oślepnę od glancu twojej urody.

Ona wykręciła się na końcu stopy i odparła figlarnie:

— A kto Waszmości każe patrzeć?

— Kto? Kto?... — powtarzał kilka razy i pytanie to przeciągnął aż do chwili, w której ostatnia figura tańca pozwoliła mu ręką przesłać jej od ust pocałunek, naonczas dopiero dał odpowiedź:

— Kto mi kazał? A któż, jeśli nie ten bożek, co sam na oczach nosi binde, a ludzkie oczy otwiera na to, co jest godne jeno bogów?

Tu smyczki, uciawszy „codę“, zagluszyły wszelką rozmowę. Kaźmiierz po zakończeniu tańca podał jej znowu rękę, odprowadził ją na ławeczkę pod filar i, stanawszy tuż obok, mówił głosem przyciszonym, a drżącym od wzruszenia:

— Bożek to maluśki, ale srogi. Puścił mi tu w piersi

taką haniebną strzałę, że ja z niej muszę umierać, jeśli Waćpanna mię nie wykurujesz.

W Hedwidze serce uderzyło, jak u wylęknionego ptaka. Zrozumiała, że nadchodzi już chwila przelomu, tu cudowna i groźna chwila pierwszego wyznania, której czysta panińska dusza i pragnie i lęka się zarazem.

Cała drżąca, zapytała ledwie słyszalnym głosem:

— A jakież ja Waszmości mogę podać remedium?

— Daj mi Waćpanna swoją rączkę w dozgonną posiadłość, a ja ją sobie położę na sercu, i pod tą rączką, jak pod balsamem mekkańskim, rana się w ten moment zagoi.

Hedwiga, mieniać się, jak cudowny obraz, odparła już pewniejszym głosem:

— Radabym ja to dla Waszmości uczyniła, bo i miłosierdzie każe rannych opatrować, ale decyzya nie jest w mojej mocy.

— Jeno w czyjój? — zapytał, chmurząc się i brwi naciągając.

— A no, pana Schultza. Wszakci to mój opiekun wedle prawa. Jemu Waszmość się zadeklaruj.

— Nigdy! Za nic w świecie! — zawołał Kaźmiérz głosem nagle podniesionym. Po chwili zmiarkował swą nieostrożność i mówił znowu ciszej:

— Nie można i nie godzi się. Najprzód, musiałbym powiedzieć, że nie jest Waćpanny brat.

— A to i lepiej. Niechże raz już się skończy to grzeszne klamanie.

— Dobrze, ależ pomyśl Waćpanna: ja mam się prosić mojego rywalizatora? Klaniać się? I to jeszcze przed kim! A jak zrekuzuje?

— Może i nie zrekuzuje. On się bardzo w Waszmości kocha.

— Tak, póki myśli, że brat.

— Przyćém będzie pochlebion proszeniem się Waszmoścíném.

— Dobrze, ale jak zrekuje, to co będzie potém?

— To się obaczy. Po co mamy sobie złą kabałę wyciągać przed czasem? A może i pozwoli? Wszakci on zawdy powie, że chce mojego szczęścia.

— Więc to Waćpanna mianujesz swoim szczęściem?

Hedwiga spojrzała na niego z uśmiechem i rzekła:

— Niby to nie wié Wasza Miłość?

A na tym ostatnim wyrazie położyła słodki nacisk, jeszcze wymowniejszy, niż to jój spojrzenie i ten uśmiech.

Każmierz złożył ręce w zachwycie.

— A toś Waćpanna z mańki mié zażyła. Po takowém słówku jakoż ja mogę się jeszcze rewoltować? Pójdę, chociażbym wolał iść na bomby i smoki, niż w pokłony do tego czleka. Co robić? Waćpanna każesz, pójdę, i to dzisiaj, w ten moment. Raz kozie śmierć. Niechże już wiem, co mié czeka. Jenó błagam, panno mego życia, panno mego zbawienia, choćby zrekuował, nie odpuszczaj mié od siebie, jeno ratuj.

— Dobrze, dobrze, najprzód Waszmość zrób swoje, a potém i ja zrobię co się da.

Każmierz spojrzał raz jeszcze na Hedwigę z niewymowną czulością i puścił się między tłumy, dla odszukania pana Schultza.

Siedział on pod piecem, oparty obu łokciami o stół, na którym świeciła przed nim szklenica pełna piwa. Spostrzegłszy nadchodzącego Każmierza, odezwał się dość wesolo:

— Co to Waszmość tak żywo ze swoją panną-siostrą gadałeś?

— My właśnie uradzili, abym ja się przed panem konzulem prezentował z wielką nowiną i wielką petycją.

Po twarzy majstra przeleciała chmurka niepokoju.

— A !... Cóż to takiego?

— Dostał ja nakoniec z domu on wyglądany respons, i pan iniecznik mi w nim rememoruje, jako Krysia miała już trzy czy cztery lata, kiedy ją w jassyr zabrano. Tedy to na żaden fason nie może być panna Hedwiga.

— Hm ! I żeś to Waszmość sam sobie tego nie rememorował, to czysty fenomen...

— Jam się jeno z braćmi zabawiał, na siostrzyczkę mało my dbali, aż dopiero gdy zaginęła, wtedy po niewczasie była żałość.

— Szkoda ! Zła nowina. Już my tedy nic sobie nie będziemy. A jam już się nauczył uważać Waszmość za kawalek syna...

Każmiérz przygryzł sobie wargi. Miał ochotę powiedzieć :

— Za wiele konfidencyi, panie łyku !

Ale się powstrzymał i z przymuszonym uśmiechem odpowiedział :

— A może on kawalek syna się ostanie ? Powziął ci ja dla téj panienki taki wielki a święty affekt, że bez niej żyć dalej ani rusz. Nie mogę być bratem, ale mogę być lepiej, małżonkiem.

Tu Każmiérz powstał i, pięknie się pokloniwszy, wymówił uroczystym głosem :

— Tandem tedy przychodzę z tą petycją, abys Waszeć, jako przybrany ociec panny Hedwigi, chętnem sercem dał mi ją za żonę.

Pan Schultz w jednéj chwili zmienil się do niepoznania. Pulchna, czerwona twarz jego nagle wydłużyła się

i zżółkła. Wlepil w Kaźmierza okragle, rybie oczy i przez zęby sam do siebie mruczał:

— Aha! Wylazło szydło z worka. Nie głupi był mój Ollender.

Pan Kaźmierz, zniecierpliwiony, siadł napowrót i, ręką w stół uderzywszy, zapytał:

— No, cóż tedy?

Majster, nie wstając z ławy, głową się tylko uklonił i odpowiedział z szyderczym uśmiechem:

— Wielki to dla nas onor, że klejnotny pan zniża się do biędnej sierotki, szkoda jeno, że ten onor za późno przychodzi.

— Jakto, za późno? Co to znaczy?

— A nie oświadczył-ci ja Waszej Miłości, panie kawalerze, zaraz przy pierwszej Waszmościłej wizycie, że małżonek dla Hedwigi już jest wybrany?

— Prawda. Waszć to gadałeś. Ale póki ksiądz nie związał stuły, to jeszcze można zmienić rezolucyę.

— Nie, panie kawalerze. Co Johann Schultz raz powiedział i zadekcydował, tego już nie odmienia.

— Odmieni, odmieni. Mięże Waszć Boga w sercu, ja pięknie proszę, i panna Hedwiga powieda, że to będzie jej szczęście.

— A! Ona tak powieda? No, to się Waszmość dobi-
leś. Harde to dziecko, co śmie takie rzeczy gadać. Trza ją nauczyć moresu.

— Nie hardać ona, kiedy chce mieć Waściny assentymment.

— Czy chce czy nie chce, bez mojego assentymmentu nie będzie. Gdzieżes to Waszmość czytał takie prawo, aby ucziwa frajlein sama dawała decyzyę o swoim hymenie? To rzecz rodziców, abo familijnego konsylium. A w tym trybunale ociec abo opiekun to najwyższy sędzia,

— Masz rację Waszeć, jeno i w tej lex jest ex-
cepca.

— Naprzykład, jaka?

— Wtedy, kiedy sędzia jest razem i stroną.

— Po palestrancku Waszmość mię zajężdżasz. Ja
prosty człek, nie rozumiem tych subtelności. Jeno wiem,
że z tego nic nie będzie.

— Czy to jest ostatnie Waszeczine słowo? Panie rajco,
weź tę rzecz na rozmyśl, abyś dzisiejszój wiołencyi kie-
dyś nie pożałował. Ja jeszcze poczekam, Waszeć myśl od-
mienisz, i jeszcze raz pogadamy.

— Nie, panie kawalerze, próżno się Waszmość nie
fatyguj, keine gadanie, rzecz skończona.

Tu pan majster powstał, uklonił się sztywnie i za-
kończył:

— Raz jeszcze uniżenie dziękuję za onor nam wyrzą-
dzony, acz na moją affikę po niewczasie, i żegnam
Waszą Miłość, bom ciężko chor, i pono przyjdzie mi
opuścić tę piękną kompanię.

To mówiąc, oddalił się z pokornemi słowami, ale
z szydeczym uśmiechem na ustach i z głową hardo pod-
niesioną. Pan Schultz, jako nieodrodny Gdańszczanin, za-
wsze i wszędzie nosił ją wyniośle, a już najwynioślej
na ratuszu i w Artusowój sali, bo tutaj, widząc wkoło sie-
bie potęgę miejskiego Senatu i blask miejskiego patry-
cyatu, czuł się mocnym na swoich złotych śmieciach i na-
wet klejnotnym panom rad przycierał rogów. A już ni-
gdy nie doznał większój pod tym względem rozkoszy,
jak dzisiaj, kiedy w osobie pana Kaźmierza upokorzył
i zuchwałego szlachetkę i przeszkodnego współ-zalotnika.

Dziwną może wydawać się cierpliwość, z jaką siar-
czysty pan porucznik przelknął tę nauczkę, i zaprawdę

nie byłby jój zniósł tak przykładowie gdyby nie przekonanie, że wkrótce, dziś jeszcze, ukarze hardość mieszczanina i zemści się na współzawodniku. Ta myśl ubierała i jego usta szyderym uśmiechem, i chociaż krew się w nim burzyła, choć ręce go swędziły, myślał sobie:

— Dobrze, dobrze, ja jeszcze tak wolę. Obejdę się bez twojej permissyi.

Jednak ostania groźba pana Schultza naprawdę go rozzłościła i nawet niepomąłu przeraziła.

— Tam do licha! — szepnął. — Jeśli on ją ma zaraz uprowadzić, to cały plan w leb weźmie, przynajmniej na dzisiaj.

Tu wstał gwałtownie, plecami o piec się oparł i głowę jak mógł wysunął ponad tłumy, dla odnalezienia Hedwigi.

Nie trudno ją było znaleźć: wszystkie oczy zwracały się ku niej. Po środku sali, w największym wirze tańców, przesuwała się lekka, jakby duch niebieski, prowadzona przez IMci pana Arnsta Spirynga, który właśnie w tej chwili kończył z nią kuranta i przy ostatnich zwrotach rzucił pod jój stopy swój płomienny tulipan. Ale i odechnąć jój nie дано. Kurant (la Courante), wdzięczny tańiec francuski, zgrabny i posuwisty, był sam w sobie niezmiernie krótki, ale za to zwykle powtarzał się wielokrotnie, bo w końcu zawierał pewną złośliwą figurę, dzięki której, przy zręcznym trafieniu w dobrą chwilę, jeden kawaler mógł drugiego ubiedz i podstępem odbić mu taneczkę, z czego też powstało przysłowie: „Trafil frant na franta i wyciął mu kuranta“.

Hedwigę dziś ciągle odbijano. I teraz ciężkiemu panu Spiryngowi sprytny Sire de la Crosade ją odebrał i wydawał się tak uszczęśliwiony ze zdobycia „bursztynowej panienci“, że niektóre siedzące panny zapytywały gorzko,

czy ten znów z ucha sobie nie wyrwie perły i nie ciśnie jej pod nogi tego podlotka, co niewiedzieć czém, chyba czarem nowości, tak bezwstydnie łowi tancerzy?

W tym krzyżowym ogniu holdów i zazdrostek Hedwiga byłaby mogła bawić się tryumfalnie, ale ona wcale nie czuła tryumfu; przeciwnie, w rysach nosiła wyraz głębokiego, źle przytłumionego sfrasowania i głowę z niepokojem obracała to ku piecowi, skąd jej świeciły gorejące oczy Kaźmierza, to w przeciwną stronę, ku ławie, przeznaczonej dla najpoważniejszych matron.

Zaciekawiony pan Kaźmierz także w tę stronę skierował spojrzenie i dostrzegł tam pana Schultza. Grono starszych i młodszych niewiast otoczyło go bardzo rojnie, podczas gdy on głową kręcił i ręce rozkładał, jak człowiek, co się uniewinnia. Nagle zniknął w tłumie, a pan Kaźmierz usłyszał tuż obok siebie wesoły głos pani Flory:

— Przychodzę z dobrą nowiną. Ale... co to Waszmość taki najęzony?

— A jakoż mam się śmiać? Uczyniłem staremu deklaracyę, no i ładnie na tém wyszedłem.

— A to Waszmość głupstwo zrobiłeś.

— Jakoż nie było zrobić, kiedy panna Hedwiga nie chciała ze mną gadać, dopóka nie zdeklaruję się przed onym ślicznym opiekunem?

— No, no, nie sierdź się Waszmość. Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło; już ona teraz będzie wiedziała, czego ma po nim czekać, i lacińj nam z nią pójdzie. A właśnie czas po temu, przynoszę dobrą nowinę: pan Schultz wraca do domu sam, a ją zostawia pod moją protekcyą.

— Chwałaż Bogu! A to jakbym odżył. I jakżeś to Waćpani takie miraculum zrobiła?

— Z początku chciał ją zabierać. Ja spolitykowałam

i nie nie kontruje, ale nasadzam na niego inne białogłowy, a najwięcej tę gadzinę Freimuthową, co taka zła jak i chuda. Wszystkie tedy w krzyk: „O, jaki z Waszeci tyran! Biedne dziecko ledwie co zażyło pierwszych tańców i już ją zabierać? Zostaw nam ją Waszeć, my wszystkie będziemy jej matkowały“. — A ta chuda złośnica Freimuthowa jeszcze mu dolęwa: „Ho, ho! My wiemy, czemu pan konsul chce ją wyprowadzić: bo go bierze zajzdrosć, kiedy drudzy z nią sarabandują, a jemu powaga już nie pozwala hasać“. — Tedy pan Schultz zawstydził się okrutnie i powie: „Otóż ja pokażę Waćpaniom, że to nie żadna zajzdrosć. Ostawię tu Hedwigę — choćby do jutra, choćby do południa — a wy jej matkujcie i wiedźcie, że ja nie żaden tyran“. Widząc taką wiktoryę, chciałam rzecz dokończyć i powie: „Weź Waszeć Korneliusa za rękodajnego, bo ledwo się na nogach trzymasz, a nam jeno pacholika odeslij“. — Ale tu się nagle zapęrzył i ofuknął mię: „O! Co to, to nie. Za nic w świecie. Niechże i ten biedny chłopczysko choć raz w życiu polustykuje“. — A jam zmiarkowała, że jemu nie chodzi o lustryki, jeno że chce nam ostawić szpiega. Co Waszmość tak się srodze marszczysz?

— Bo to zła nowina, co mi Waćpani przynosisz. Kiedy Ollender ostaje, to my nie nie wygrali. On gorszy od starego. Już ja go chyba gdzie w kącie przyduszę albo kolnę.

Pani Flora, przestraszona, chwyciła pana Kaźmierza za rękaw.

— Na miłość Boską, nie czyńże Waszmość nijakich excesów, bo dopiero wtedy rzecz zagubisz. Już ja tak zrobię, że i Ollendra z przed oczu Waszmościnych sprzątnę.

— Ciekawym, co Waćpani z nim zrobisz?

— Jeszcze nie wiem... już moja w tém głowa... jeno Waszmość nie turbuj się napróżno, ale bacz pilnie, i jak tylko pan Schultz się wyniesie, w tenże moment suń do ataku.

To rzekłszy, pani Flora sama przesunęła się przez całą salę, dla naocznego sprawdzenia, czy pan majster istotnie się wynosi.

Zastala go już na tarasie, kończącego przyciszoną rozmowę z Korneliusem.

— Tedy — szeptał — nie spuścisz jój z oka. Ja więcć na ciebie rachuję, niż na wszystkie babskie protekcyje. Ty mędrszy, niżeli ja myślał. No, a teraz — ciągnął dalej, sięgając do kieszeni — oto masz klucz od mojego domu. Weź go, bo ja nie chcę, abyście się długo dobijali. Szpe-tnie to dla frajleiny stać po nocy na beiszlagu i czekać, jak jaka żebraczka.

— Gutte Nacht, Frau — dodał, zwracając się do pani Flory. — Jużem ja Hedwidze przykazał, aby się Wać-pani pokornie trzymała i w jój zacnej kompanii doma powracała. Po co ja pił to piwsko, może mi ono zaszko-dziło?

Tu szczerlnie płaszcz zapiął, oparł się na ramieniu pacholika, który w drugiej ręce miał zapaloną pochodnię, i, stękając i utykając, puścił się w drogę dość nużącą, bo Dom Bursztynowy był na jednej z oddalonych ulic.

Stanął jednak w końcu przed swojemi drzwiami, skąd pacholka zaraz napowrót odesłał do Artus-hofu, sam zaś raz i drugi targnął za kolatkę.

Jak przewidywał, niedługo przyszło mu czekać. Mi-na jeszcze wysrebrzała swoje cyny i wyzłacała mosią-dze. Bardzo się zlekła i zgrzyła na widok chorego maj-

stra, dla którego — jako prawdziwa zahukana Niemka — miała cześć prawie niewolniczą. Naznosiła mu też betów co niemiara, naparzyła ziółek w trzech gatunkach, i za to miała tę pociechę, że po jakiejś godzinie ustały stękania majstrowe. Czy dzięki swobodzie, jaką chory odzyskał, opuściwszy duszną salę i rozzuwszy się z ciasnej szaty, czy dzięki ziółkom i wypocznieniu, dość, że uczuł się lepiej, ale to tak lepiej, że znów zaczął samego siebie lajać:

— Po com ja głupi wyszedł z Artus-hofu i ostawił ją na cudzej łasce?

Odesłał Minę i chciał zasnąć, ale na żaden sposób nie mógł. Ciągłe widział Hedwigę, tańczącą z innymi, uśmiechającą się do innych, zwłaszcza do tego mniemanego brata, co go tak haniebnie oszukał.

— I jeszcze — myślał sobie — powiedziała, że tam jest jój szczęście! E! Może i nieprawda? Młodziki rade kłamią, byle się pochwalić. No, a choćby i powiedziała, to ktoby tam zważał na dziecinne gadanie? Boć to jeszcze dziecko. Póki go widzi, to się jego tandressami niby cackiem bawi, a jak trzy dni go nie obaczy, to i zapomni z kretesem. Ale niech-no ja do niej naprawdę sunę w koperczaki, to dopiero ją rozamoruje, bo jużby chyba musiała być obrana z rozumu, gdyby nie pojęła, co to dla niej za szczęście.

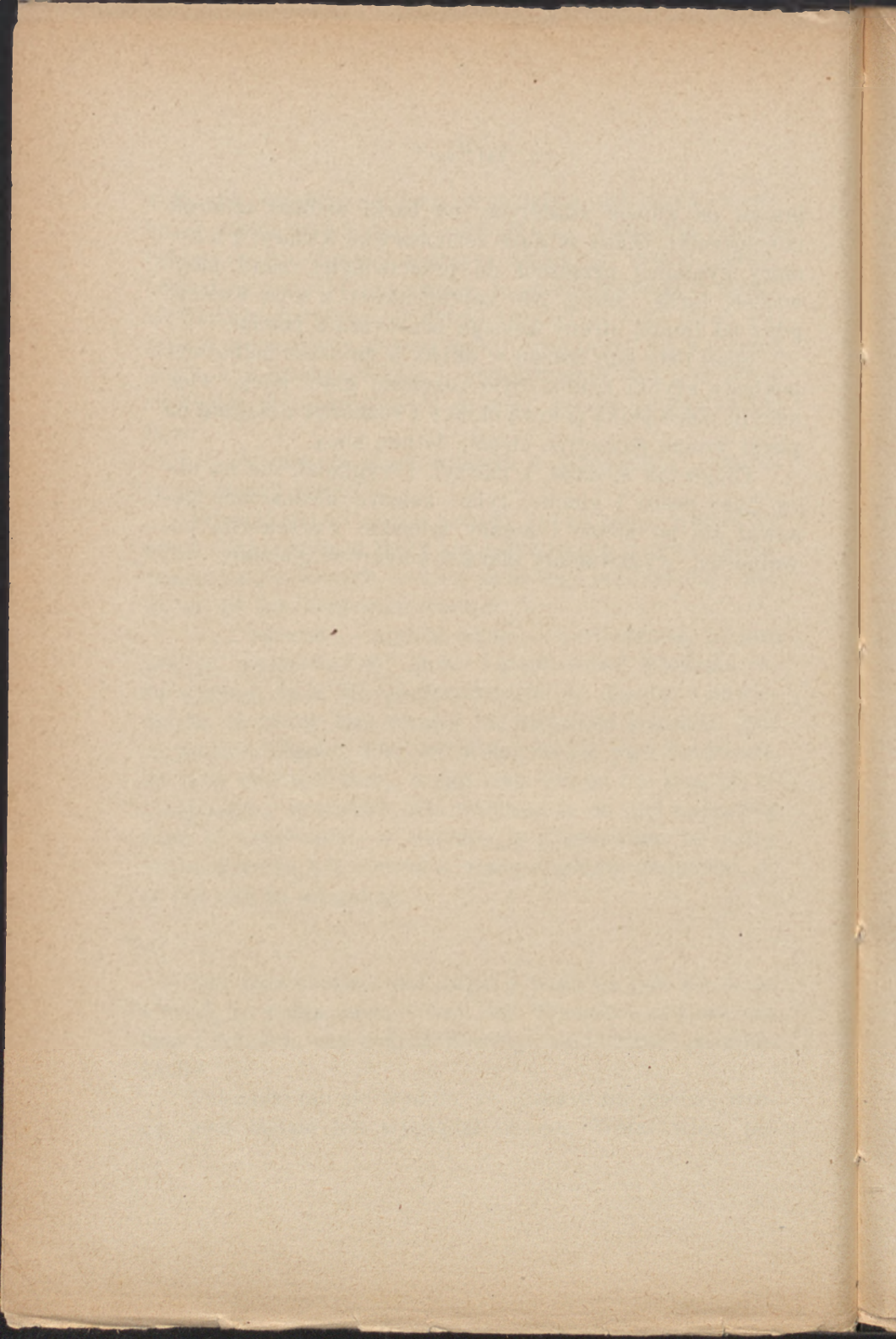
Tak rozmyślając, pan rajca z boku na bok się przewracał, a wciąż nasłuchiwał, czy Kornelius nie otwiera drzwi dolnych, czy suknia Hedwigi nie chrzęści po schodach?

Nakoniec mu się wydało, że oczekiwani prędkiej wróca, jeśli będzie ich wyglądał oknem. Wstał więc, po-

prawił na głowie szlafmycę, na barki nadział szlafrok mięciusięńki, tkany w duże różnobarwne kwiaty, i z komory sypialnej przeszedł do przeciwległej, skąd mógł widzieć taras i ulicę. Nie zabrał nawet z sobą świecy, gdyż od tamtej strony księżyc przepyszenie jaśniał.

Siadł tedy pan konsul w oknie, a że przez małe, wypukłaste szybki trudno było rozeznąć głąb' ulicy, więc uchylił nieco jedną połowę okna i z rozkoszą wciągnął do piersi wonne powietrze cieplej, letniej nocy.

Długo tak siedział, i marzył, i wyglądał, ale na ulicy było pusto i głucho, tylko księżyc nieznacznie posuwał się po niebie i zegary miejskie z przekorną powolnością wydzwaniały ciężące majstrowi godziny.



V.

Pod srebrnym księżycem.

Tymczasem w Artusowej sali Hedwiga niespokojnym wzrokiem szukała oczu pana Kaźniérza, który, wcale nie patrząc na nią, siadł pod piecem i żywą rozmowę prowadził z panią Florą.

— Boże mój! Czy on się na mnie sierdzi? O! Ani pojrzy...

Za to kto inny spoglądał aż nadto. Kornelius, wpół ukryty za filarem, ścigał ją wciąż oczyma, których złośliwa chmurność prawie dotykalnie ciężyla jój nad głową. Wkrótce jednakże kilku oficerów z marynarki otoczyło go wesolém gronem i wśród żartów i śmiechów wprowadziło do bocznej komnaty, z której dolatywał ciągle brzęk butlic i kielichów. Kornelius opierał im się długo, po drodze jeszcze ciągle głowę w tył obracał i niespokojne spojrzenia ciskał na Hedwigę. W końcu wszakże czy dał się porwać kielichowej pokusie, czy dał się olśnić towarzystwem paniczów, których nagła uprzejmość zawrotnie mu pochlebila, dość, że coraz większy stawiał opór, dał się zaciągnąć do progu bokówki, raz jeszcze spojrział na salę i zniknął.

W tej chwili pan Kazimierz wstał, jakby pod naciskiem sprężyny, i krażąc pomiędzy tłumem, nieznacznie zbliżał się do Hedwigi. Gdy stanął przed nią, przeleciała się zmiany zaszłej na jego twarzy; mimo upału, panującego w sali, był blady, oczy iskrzyły się, jak u żbika.

Pochylił głowę i przez zęby mówił:

— Teraz tedy Waćpanna możesz zweryfikować, jaka jest dla niej moja adoracya, kiedy, wedle jój ordynansu, poklonilem się temu staremu łykowi, wziętem rekuzę i nie zdławilem go na miejscu. Poszedł doma, żyw.

— Boże miłosierny! Więc nie chce?

— A jakoż ma chcieć? Woli skarb dla siebie chować, niż drugiemu darować. Że rekużuje, to nie dziw; jeno to mi dziw, żeś mię Waszmość panna tak szpetnie zarezykowała.

— Boże dobry, cóż i miałam robić? Godziło się tak uczynić, bez respekt dla mojego protektora.

— Na respekt dla tego tyrana to Waćpanna baczysz, a na despekt dla mnie to nie raczyłaś baczyć.

— Nagrodzi się ten despekt Waszmości.

— A to na jaki manier?

— Teraz ja poproszę dobrodzieja.

Pan Kazimierz gorzko się roześmiał.

— I Waszmość panna figurujesz sobie, że co wskórasz?

— Kto to wie? Nie taki pan majster straszny, jak go malują. Widziałam ja nie raz, jeno sto razy, jak na tę kochaną panią Dorotę fukał i nukał, a w końcu zawdy stało się po jój woli.

— To był jenszy interes. Ja suplikuję, ja ostrzegam, nie prosz Waćpanna.

— Dlaczego nie mam prosić? Sumienie mi każe poprobować wszelkich submissyi. Zabić mię przecie nie zabije.

— Jaby'm zabil, gdybyś Waćpanna chciała iść za jenszego.

Hedwiga podniosła ku niemu oczy pełne lęku i — zachwycenia.

Słowa te, wypowiedziane głosem niby spokojnym, a zdławionym, od każdego innego byłyby ją na śmierć odstraszyły. W ustach Kaźmierza, na śmierć ją do niego przywiązały. Teraz dopiero pojęła, jak jest przepaściście kochana.

Ale jednocześnie uczuła po raz pierwszy i cały ogrom swojej władzy kobiecej. Uśmiechnęła się w duszy i pomyślała:

— Oho! Jeśli oni tacy, toć ja i z panem rajcą zrobię, co jeno zechcę.

A potem głośno rzekła do Kaźmierza:

— Nie turbuj się Waszmość, Pan Bóg czasem słabiej białogłowie da wiktoryę tam, gdzie kawalerskie miecze się zwijały, jak to widzimy z onej nabożnej Judyt.

— Usiecz-że mi Waćpanna pijaka Holofernesa, bardzo proszę — odrzekł z bladym uśmiechem. Widoczną jednak rzeczą było, że do żartów tylko się przymusza, a w duszy nie rad jest jej postanowieniu.

W tej chwili pani Flora przystąpiła do nich, śmiejąc się na całe swoje puszyste gardziółko.

— Udalo mi się! — wołała. — Jak Boga kocham, udalo się! Poprosiłam socyuszów pana officyjera, aby wywiedli na bunsztyczek tego murzyna Korneliusa, co nas tu szpiegr w. A, jak Turczynki w Szaraju, i wywiedli go, jak

Boga kocham, wywiedli! Teraz możemy się bawić tak, co to hulaj dusza!

— Więc to Waćpani koncept? — podjęła Hedwiga. — Niechże Pan Bóg Waćpanią nagrodzi, boć od tych jego złych oczu to dalibóg można zachorować. Ale... na Boga żywego! Wszakci on ma klucz? Jakże my powrócimy?

— Wyciągną mu i klucz, wyciągną! Czego to nie potrafią panowie officyjery? — mówiła z uciechą pani Flora i w szczerym śmiechu pokazywała dwa rzędy wieńcówczych ząbków, i byłaby długo mówiła jeszcze, ale naraż dziesięciu mężczyzn, młodych i starych, ładnych i nieładnych, przybiegło, aby prosić ją w taniec; wybrała najładniejszego i puściła się z nim w kuranta, gdzie umiała zataczać owe sławne esy, przed których kometową hiperbolą inne pary, wystraszone, musiały co żywo pierzchać.

Pan Kaźmierz także puścił się z Hedwigą, ale wciąż był chmurny, nie a nie nie mówił i, tańcząc, przesywał ją wzrokiem pełnym takich czudnych wyrzutów, że w jej głowie myśli się mieszały, a w piersiach serce od żalu zamierało.

Dobrze już po północy nastąpiła przerwa, po niej zaś nakoniec dawno już upragniony cel wielu oczekiwań, tak zwany Taniec wianków, albo Taniec pański, mężatki bowiem nie brały w nim udziału; wdowy mogły się do pańien przyłączyć, chociaż — prawdę mówiąc — stateczni ludzie nie bardzo im to pochwalali. W domu, gdzie podobny taniec miał być wykonany, robiono już naprzód ilość wianków, odpowiadającą liczbie pańien. I tutaj Magistrat kazał upleść całe stosy kwiecistych wieńców, co pora letnia wielce ułatwiała. Męż-

czyżni stanęli pod ścianami, muzykanci zagraли coś dziwnie słodkiego. Panny wychodzą parami, każda w jednej ręce niesie wianek, drugą zaś trzyma dłoń towarzyski; obchodzą salę dokoła, skromnie, ze spuszczonei oczyma; zwolna jednak rytm się ożywia, pary się rozrywają, coraz to któraś z tancerek wyfrunie na środek sali; tam w uczonych łańcuchach i kręgach tworzą wzorzyste figury taneczne, zaczynają z uśmiezkim spoglądać po widzach. Nagle wszystkie stanęły; każda, podobna do posągu greckiej bogini Victoryi, trzyma wieniec nad głową, tak stąpa ku widzowi, którego wybrała, podaje mu wianek i w taniec zaprasza. Wybrany jedną ręką bierze kwiaty, drugą za dłoń leciuchno ujmuję tancerkę, i wszyscy idą w jeden pias posuwisty, wpół pasterski, a wpół rycerski.

Takie oddawanie wienców (podobne dzisiejszemu wybieraniu kawalerów przez damy w mazurze) było zazwyczaj przyjmowane od mężczyzny, jako przelotna towarzyska uprzejmość, ale pan Kaźmierz dzisiaj przyjął tę rzecz inaczej. Kiedy Hedwiga, wesola i rozbawiona, podbiegła ku niemu i z uśmiechem podała mu kwiaty, on wziął je bez uśmiechu i rzekł uroczyście:

— A więc Waćpanna oddajesz mi swój wieniec? Bierę go i przed Bogiem przysięgam ci wierność. Ale i ty takoz mi przysięgnij.

Zmieszana niespodzianém zagadnieniem, podchwyciona i jakby obezwładniona czarem jego woli, sama prawie nie wiedziała, jak się to stało, ale złożyła ręce i wyrzekła:

— Przysięgam przed Bogiem, że niczyją żoną nie będę, jeno Waszmościna.

— A! Tak to dobrze! — zawołał i, przycisnąwszy ją do bijących piersi, puścił się z nią w jakiś taniec szalony, w którym już nie wiedziała na jakim jest świecie, czy to

sen czarodziejski, czy to już raj po śmierci? W duszy tylko powtarzała sobie ciągle:

— Ach jeszcze! Jeszcze!... Daj Boże tak na wieki!

Nagle stanął i drgającym głosem szepnął:

— Życie moje! Chciałbym ci coś powiedzieć, ale boję się...

— Waszmość się mnie boisz? Mnie, lichój dziewczyny? Jakoż to być może?

— O, i bardzo być może. Skazany boi się, kiedy ma usłyszeć dekret. A Waćpanna masz ferować na mnie dekret życia lub śmierci.

— Co ja mam ferować? Gadaj-że Waszmość prędjéj, bo i mnie już strach bierze.

— Nie, nie, jeszcze wolę czekać... tyleć mojej spe-randy.

I znów ją porywał w taniec, i coraz mocniej przyciskał do łona, i coraz ciaśniej okręcał spojrzeniem, a jéj dusza wila się w tém objęciu, jak mała ptaszyna w szponie orlój.

Skończył się Taniec Wianków, muzyka na chwilę przycichła. Pani Flora znów ku nim nadbiegła, w towarzystwie pana Wojciecha Zabokrzyckiego, obersztera od Wodnej Armaty. Oboje śmieli się do rozpuku.

— A co? — wołała. — Nie mówiłam? Wyciągnęli mu, wyciągnęli!

— Co? Komu? — pytała zahukana Hedwiga.

— Sam Waszmość, panie oberszterze, powiedaj, bo ja od śmiechu ledwie co zipię.

— Owóz — mówił pan Wojciech — bogini Flora z Olimpu dała rozkaz wojskom Jego Królewskiej Mości, aby jéj przyniosły klucz zaklęty. My tedy zaraz, one-

go czarnoksiężnika, co go dzierży, wiedziemy do bokówki, o tam! I w gardło mu lejemy, co się zmieści. Ale chłop tęgi, choć to nie ma korda przy boku, nie da przystąpić do się. Pić pije, a do konfidencyi ani rusz. Więcemy go wsadzili do lochu.

— Jakto? Do więzienia? — zapytała z przestraczem Hedwiga.

— Ech, jeszcze nie. Trza Waćpannie wiedzieć, jako pod tą strukturą jest loch kieby kościół, kubek w kubek taki duży, jak ta sala, jeno pół niższy, a cały sklepisty, że człek tam siedzi jakby w jaju kamienném. Tam stoją rzędy beczek z różnością malmazyi. Tam tedy my przywiedli onego utrapionego mruka i jak zaczęli go czarować, a to węgrzynem, a to petercymentem, a to ratafią, spił się, jak sztok, jak Bela, no poprostu jak Ollender. W końcu rym o ziemię. Dalej my po kieszeniach macać, i oto jest on klucz zaczarowany. Racz-że zacna bogini przyjąć go propria manu, razem z kluczami mego serca, którego forteca wdzięcznie kapituluje przed atakiem twoich Kupidynowych łuczków.

Tu podał ogromny, misternie rzezany, klucz od wchodowych drzwi Bursztynowego Domu.

Pani Flora, biorąc go w pulchne paluszki, rzekła:

— Nad elementami onój kapitulacyi musi jeszcze cały Olimp dyszkuruować: tymczasem to trofeum przyjmujemy, jako wdzięczny zadatek Waszmościnej służby. No Hedwiga, teraz już będziesz mogła wracać doma, kiedy jeno zechcesz.

Panienka pomyślała sobie:

— Oj, żeby tak na moje chcenie, toby my nigdy stąd nie wyszli, i pan Kaźmiérz pewnieby ze mną w téj chęci konkordował.

Jakież było jój zdumienie, kiedy pan Kaźmiérz, który

właśnie patrzył na niebo świecące srebrzyście za szybami, ozwał się głosem stanowczym:

— Już nam trzeba wracać.

— Już? Dlaczego? Jeszcze wczas, jeszcze nikt się nie rusza.

— Powiem Waćpannie po drodze, dlaczego.

Hedwiga, zmartwiona utratą tak cudownej zabawy, przerażona myślą, że za chwilę rozstanie się z panem Kaźmierzem, nieco też i zraniona obojętnością, z jaką sam Kaźmiérz przyśpiesza to rozstanie, podniosła zasmucone oczy na panią Florę; pewna była, że u niej znajdzie pomoc, ale o dziwy! i pani Flora powtórzyła, choć nie bez widocznego żalu w głosie:

— Tak, już nam trza wracać.

A gdy tłoczący się tancerze zaczęli je obie przytrzymywać, a prosić, a grozić, że do białego rana ich nie puszcza, gdy dwaj, obecni téj rozprawie, przesłiczni Anglicy zaczęli obiecywać, że zatańcują matlota (bez którego w mieście portowém żaden bal nie mógł się nazwać zupełnym), — wtedy wesola wdówka sposepniała; jednak nie uległa, lecz owszem odparła fortelnie:

— Co robić? Ja matkuję pannie Hedwidze, a ta musi być doma wczas. Pan Schultz zachorował, nie możnaż mu po wszystkich kurach wyprawiać halasów.

I wyprowadziła z sali zdziwioną Hedwigę.

Pan Kaźmiérz wymknął się za niemi.

Na tarasie odrazu ochłonęli z upału panującego w sali. Noc była cudna, balsamiczna. Księżyc w pełni świecił tak jasno, że pani Flora rzekła do pacholka, sięgającego po krzesiwo:

— Nie osmalaj nam oczu próżno. I po księżycu trafim.

I, zarzuciwszy na ramiona zgrabną kazyatkę ze pstrój tercynelli, poszła tuż za pacholkiem. Hedwiga chciała pójść z nią w parze, ale pan Kaźmierz uchwycił jej rękę i prowadził ją nieco w tyle, a pani Flora biegła przodem, wcale za niemi się nie oglądając.

Przez całą długość placu nie zamienili ani słowa, bo Lange-Markt był po dziurki nability narodem, który pchał się bez miłosierdzia i w jarzących oknach zatapiał wybaluszone oczy.

Nakoniec przebili się przez ciżbę i wyszli na ulice dalsze, które nigdy nie były tak opustoszałe i spokojne, jak dzisiaj, kiedy cała żywotność miasta skupiła się u progów Artusowego Dworu.

Mało w świecie jest rzeczy równie pięknych, jak ulice Gdańska, widziane po księżycu, i to w cichą, pogodną noc letnią. Co tam wówczas dzieją się za dziwy, temu nie uwierzy, kto nie widział. Te krocie białych posągów i popiersi, te wszystkie króle, rycerze i boginie, co ze swoich wnek nadpowietrznych coraz wypuklej występują; te inne, geniusze i Anioły, stojące na szpicu dachów, co rosną do nieprawdopodobnych wysokości; te malowane wieńce i medaliony, których tła złote mieniają się teraz od księżycowego srebra, jak tkanina lamowana we dwa kruszce; te smoki, ziejące zielonym płomieniem, i te rytny o przeraźliwych paszczekach gargulli, co na poprzek ulicy wyciągają szyje coraz dłuższe, dłuższe, jakby wzajem chciały się polykać; te nieskończone cienie od krat gankowych, dziurkowane z koronczarską misternością, co wiszą po murach i tarasach, jakby kwef, ciągnący się za matką-nocą; te drzwi czarne, zamczyste, za-

sznurowane żelazem, a takie glucho, jakby za każdymi czaiła się jakaś tajemnica — wszystko to na tle owych ogromnych okien, a raczej ścian całych naperełkowanych kryształem, gdzie światłość księżyca łamie się w tysiące blaszek i z piętra na piętro spada w blado-fioletowe kaskatelle — wszystko to świat jakiś odrębny — ni stara Norymburga, ni stara Italia — to jeszcze coś innego — to nasz Gdańsk dziwny i przedziwny, jedyny pod słońcem i księżycem.

Urok obrazu był tak wielki, że i nasi balownicy, choć zupełnie innemi myślami zajęci, potoczyli wzrokiem zdziwionym, jakby to całe miasto pierwszy raz się ich oczom przedstawiało, i bezwiednie popadli pod czarodziejską moc poezyi.

Pani Flora zwolniła kroku.

Pan Kaźmiérz zwalniał go jeszcze bardziej.

Hedwiga, rozmarzona, wyszepnęła głosem zaledwie dostlyszalnym:

— Boże mój! Żeby to tak można iść bez końca, bez końca — gdzieś aż na koniec świata...

— A tak! I ja chcę z tobą pójść na koniec świata — odpowiedział równie półgłosem pan Kaźmiérz. — I dla tegożem właśnie uciekł z onych tańców, aby cię uprowadzić, nim oświtnie. Po białym dniu już ciężkoby nam było uchodzić.

— Jakto, uchodzić? — zapytała, zatrzymując się nagle i wrywając rękę z pod jego ramienia.

Ale on uchwycił ją na nowo i mówił:

— Słuchaj... nie puszczę cię. Przysięgłaś mi jako żona, usłuchaj-że mnie, jak żona. Nie wracaj już do Bursztynowego Domu, bo zrobisz swoje i moje nieszczęście.

— Co Waćpan gadasz? Ja nie mam wrócić do domu?
A gdzie pójdę?

— Słuchaj: tu bliżuchno, w mojej gospodzie, czeka na mnie koń okulbaczony. Wezmę cię na konia, pojedziem jak wystrzelił do Oliwy. Tam jest ksiądz, któremu ja już uprosił, ten zaraz raniuchno da nam ślub. A potem pojedziem do Władysławowa. Tam, za okopami, za murami, wśród moich kompanów, co już na nas czekają, będziesz bezpieczna, jakby jaka królowa. Niech tam sto senatów mieszcuchowskich o ciebie szturmują, nie poradzą. Cała Wodna Armata stanie jak jeden człek za nami. Tak tedy posiedzimy tam czas jakiś, a kiedy się stary wysapie, to go ładnie przeprosim, i basta.

Hedwiga przez chwilę milezała. Widocznie, była w jej sercu walka. Czarowny obraz szczęścia tak blizkiego, tak łatwego, przemknął się przed nią, jak olśniewająca błyskawica. Ale też i szybko, jak błyskawica, zgasł.

— Nie — odrzekła głosem drżącym od wzruszenia. — Ja tego nie zrobię.

— Nie rekużuj mię tak zaraz — nalegał pan Kazmierz. — Namysł się, nim zabijesz. A toż to druga taka cudowna okkazya, póki życia nam się już nie przydarzy. Tylko pomysł: starego tu niema — tego piekielnika Ollendra niema — sam Pan Bóg wszystko nam urządził — o patrz, tylko tu skrećmy w tę przecnicę, tam zara moja gospoda — nim kto zweryfikuje, że my znikli, to już będziemy w Oliwie.

— Nie kuś mię Waszmość, jak ten waż... to byłby grzech, wielki grzech.

— Co za grzech?

— Jakto? Uciec od mego benefactora, co mię wyrwał z jassyru, od Tatarów?

— Pięknie wyrwał! A sam trzyma w jassyrze! Już ja tam nie wiem kto gorszy, czy Tatar czy Niemiec?

— Zawdy ja chléb jego jadłam bez cały mędel lat.

— Gorzki to był chléb, samaś mi Waćpanna gadała.

— Bywał-ci nieraz gorzki, zawdy przecie co chléb to chléb, a co grzech to grzech. Zreszta, po co kraść tam, gdzie można z dobrej woli dostać? Mógłby mi on potem powiedzieć: „Ty żmijo, czemuś nie suplikowała? Byłbym ja może i pozwolił“.

— A jak nie pozwoli, to co?

— Ha! Jak nie pozwoli, to poproszę Pana Boga o jaką inspiracyę, ale pierwěj muszę poprosić człowieka, muszę udać się w pokorę, to mój psi obowiązek.

Właśnie, gdy tych słów domawiała, stanęli przed Bursztynowym Domem. Kaźmierz nagle puścił jěj rękę i rzekł twardym głosem:

— Głupiaś Waćpanna.

Ona cała drżąca zwróciła się ku schodom.

On szedł za nią i mówił coraz głośniej:

— A więc idź do twego dobrrodzieja, tarzaj mu się u nóg, obaczysz, na co się to przyda. Ale pomnij, że moją duszę będziesz miała na sumnieniu, bo ja sobie lech tutaj rozbiję o te kamienie — abo popłynę do Indów, niech mię tam pogany rozsieka.

Hedwiga, wchodząc na pierwszy stopień, obejrzała się i z rodzajem uniesienia rzekła:

— Nie wchodź za mną Waszmość na beiszlag, ja tego zakazuję. Nie chcesz Waszmość, aby mi czyniono wiolencyę, to i sam jěj nie czyni.

W tój chwili pani Flora obejrzała się nakoniec i przystąpiła do nich ze zdumieniem.

— Cóż tedy? — zapytała.

— A cóż? Wracam doma — odparła Hedwiga. — Dawaj Waćpani klucz, jeżeli łaska.

I, wzięwszy klucz, chwiejnym krokiem wchodziła na schody.

Pani Flora rzekła co żywo do pacholka:

— Nu, skocz-że i otwieraj moje drzwi.

A gdy pacholek odbiegł, szepnęła do pana Kaźmierza:

— I cóż, nie chciała?

— A nie chciała. To nie dziewczka, jeno kamień.

— E! Gamoń z Waszmości. Jabym nie dała jój tam wejść. Patrz jeno, jeszcze stoi.

To mówiąc, furknęła na swój taras i drzwi za sobą zaparła.

Kaźmiérz spojrział. Istotnie, Hedwiga stała jeszcze przede drzwiami Bursztyńowego Domu. W swoim karbowanym płaszczyku, lekka jakby oblok, cała osrebrzona poświatą księżycową, wydała mu się cudniejsza, niżeli kiedykolwiek. Nie wszedł jednakże na ganek, tylko podbiegł pod murek tarasowy, twarz przyłożył do złotej kraty i, patrząc na nią przez prątki, szeptał błagalnie jój imię.

Czy światło niepewne omylało Hedwigę, czy ręce jój się nadto trzęsły, dość, że nie mogła i nie mogła kluczem utrafić w otwór zamku. Nakoniec utrafiła. Klucz zgrzytnął. Już tylko spuścić kłanekę, a drzwi się roztworzą.

Ach, nim się roztworzą, czyby jeszcze raz głowy nie obrócić i nie przekonać się, czy on rzeczywiście odszedł? Jeżeli odszedł, to jednak dziwny człowiek... Co prawda, ona mu zakazała iść za sobą, bo powinna była zakazać, ale czy on powinien usłuchać zakazu? Żeby tak skoczył

tu na ganek, a porwał ją i uniósł, toćby już Pan Bóg nie mógł mieć do niej żalu, boć ona zrobiła, co tylko mogła, ach i więcej, niż mogła, a przeciwko „wiolencyi“ to już niema rady. Ale gdzie tam! On poszedł... Niegodziwiec!

W tej chwili usłyszała swoje imię, wymówione półgłosem:

— Jadwiśko!

Zadrnęła i obróciła głowę. Na ganku nie było nikogo. Ale imię jej ciągle biegło szeptem. Głos wychodził od kraty. Wpatrzyła się i między prątkami dostrzegła jego twarz kochaną. Wtedy całe jej serce wyrwało się ku niemu. Wpół bezwiednie, dwoma krokami przebiegła pół tarasu. Pierś jej biła od szczęścia, ale usta jeszcze chciały klamać sercu.

— Po co — szepnęła — Waszmość wracasz? Zakażalam.

— Ja też słucham, jako ten sclavus, patrz, wszakci nie wszedłem na beiszlag? Tylko musiałem wrócić, bo mam ci jeszcze coś do powiedzenia, jedno słówko, małeńkie, ale kapitalne... jak ci nie powiem, to zginiemy. Przybliź-no się jeno troszeczkę i nakłoń uszka. Nie bój-że się, wszakci krata nas dzieli.

Hedwiga, jakby na skrzydłach tajemnych uniesiona, sama nie wiedząc jak i kiedy, znalazła się przy kracie i przez poręcz przechyliła ku niemu rozmarzoną głowę.

W tym ruchu koniuszerek jej białego atlasowego trzewiczka wysunął się poza taras, właśnie na wysokości ust pana Kaźmierza. Widok tej drobnej nóżki zawrócił mu głowę; uchwycił ją w obie ręce i obsypał iskrami pocalunków tak płomiennych, że Hedwiga przez atlas uczuła ich gorącość i struchlała, jak istota, która wpada w pożar.

Tej też tylko pierwszej było trzeba iskiereki, ażeby gwałtowność pana Kaźmierza wybuchnęła wulkanem.

Znienacka puścił jej trzewiczek, wskoczył lekko na brzeg cegły, wystając z tarasu, jedną ręką uwiesił się ukraty, drugą ręką objął jej pochyloną kibić i usta zanurzył już nie w białym atlasie, ale w różowym aksamicie jej ustek.

— Jadwichno moja! Supplikuję... nie wchodź za te drzwi nieszczęsne... Jak raz tam wejdiesz, to już cię ten stary potwór nigdy nie wypuści z tego domu, i mnie już nigdy nie wpuści do tego domu. Życie ty moje! Pomyśl jeno... za godzinę będziemy w Oliwie, bierzem ślub... za godzinę, dziś jeszcze, będziesz moją! Moją! Moją!

I każde słowo przypieczętowywał pocałunkiem, a ona, obezwładniona, mdlejąca, skloniła skroń na jego ramię i już miała wymówić:

— Tak, jam twoja... czyń, co jeno chcesz...

Kiedy nagle słowa te zamarły jej na ustach, a w zamian inne z nich wybiegły:

— Co to jest? Idą po mnie, czy co?

Spostrzegła bowiem na ścianie przeciwległej kamienicy ruszające się widmo czerwonej luny, a zarazem rzecz straszna stanęła jej w pamięci.

— Jezu! Klucz odkrecon!

Z tym głuchym wykrzykiem wydarła się z objęć zdumionego Kaźmierza i, jednym rzutem aż do drzwi sięgnawszy, z całych sił, obu rękami, zaczęła przytrzymywać kłamek.

Pan Kaźmierz, któremu postać Hedwigi zasłaniała dotąd widok Bursztynowego Domu, teraz dopiero zobaczył, że przez dolne okno bila światłość, której odbłask tworzył ową czerwonawą smugę.

Hedwiga, ciągle drzwi przytrzymująca, ciągle szepotała głosem pełnym przerażenia i błagania:

— Na miłość boską! Nie pokazuj się, bo mię zgubisz!

Uchodź! Jeśli mnie milujesz, uchodź!... Ach, już nie mogę...

Napór z drugiej strony stawał się zbyt mocny. Puściła klamkę — i drzwi się roztworzyły.

Każmiérz nie uszedł. Stał nieruchomie pod murkiem, z ręką przy kordelasie, z oczyma roziskrzonymi, gotów do skoczenia na ganek, jeśli obrona okaże się potrzebną. Ale potrzeba ta nie zaszła.

Za rozwarciem drzwi, ukazał się na progu majster Johann, w kwiciastym szlafroku i białej szlafmicy, ze świecą zapaloną w dłoni.

Hedwiga usiłowała wyczytać z jego rysów, co ją czeka. Napróžno! Wyraz tych rysów był jakiś niezrozumiały, tajemniczy i pomieszany.

Majster podniósł lichtarz do góry i cicho zapytał:

— A! To ty, Hedwich? I tak sama?

Ona odzyskała w tej chwili ową dziwną przytomność, jaką nadają wielkie niebezpieczeństwa, i z przymuszoną wesołością mówiła:

— Ale gdzie tam! Szłam, jak dobrodziej przykazał, w kompanii pani Flory. Pani Flora tylko co weszła na swój beiszlag... A ja się tu mocowałam z kluczem, co jakoś nie chciał złapać zamku...

— No, a Kornelius gdzie?...

— Kornelius? A ha ha! Ten pił się, jak Bela, że musiały my klucz mu zabrać, bo do południa będzie spał.

Mówiąc to, śmiała się coraz głośnieję.

Majster się nie śmiał, tylko przez ten czas przekładał klucz na drugą stronę, poczem drzwi zatrzasnął. Od wnę-

trza ozwało się warknięcie klucza, smuga czerwonego światła raz jeszcze przebłysnęła za oknem — potem wszystko zgasło i ucichło.

Pan Kaźmierz odetchnął.

— Chwalaż Bogu, że nie nie zweryfikował... No, żeby nas tak zszedł w onęj turkawkowej konwersacyi, musiałbym go naszpikować na kordelas, nie byłoby innéj rady — a ona by mi zrobiła z tego crimen... Chwalaż niech będzie Bogu, że się na tém skończyło.

Tak rozmyślając, przemierzył wszczur ulicę i po drugiej stronie przystanął, aby raz jeszcze popatrzeć na drzwi, w których znikła. Połać domów, pod którą stał teraz, była zanurzona w czarnym pasie ciemności; za to przeciwnie kamienice pławiły się w biało-niebieskiém oświetleniu, a Dom Bursztynowy rześsiej od wszystkich innych świecił swemi wielkimi, brylantowanemi oknami.

Kaźmierz patrzył tam w nadziei, że może za którém z tych okien ujrzy jeszcze przesuający się cień drogiéj paniénki.

Po niejakiem czasie powiedział sobie:

— Gapa ze mnie. Wszakci komory sypialne wszystkie tam od podwórka. Już ona tu nie przyjdzie, próżna rzecz wypatrować.

I rzeczywiście próżno czekał. W szybach nic nie świeciło, prócz księżycy; żaden dźwięk nie dolatywał, oprócz stapania dalekich przechodniów.

Raz wprawdzie wydało mu się, jakby pręga czerwonego światła błysnęła w oném okrągłym okienku, co było wycięte pod dachem, i jakby wykrzyk jakiś bolesny rozległ się wysoko. Ale błysnięcie było tak przelotne, że Kaźmierz nie dowierzał oczom, a krzyk mógł pochodzić

od gromady przechodniów, zapewne gości wracających z zabawy Artusowej, którzy ze śmiechem i śpiewami przesunęli się przez jedną z poprzecznych ulic.

Dom znów pozostał ciemnym i milczącym.

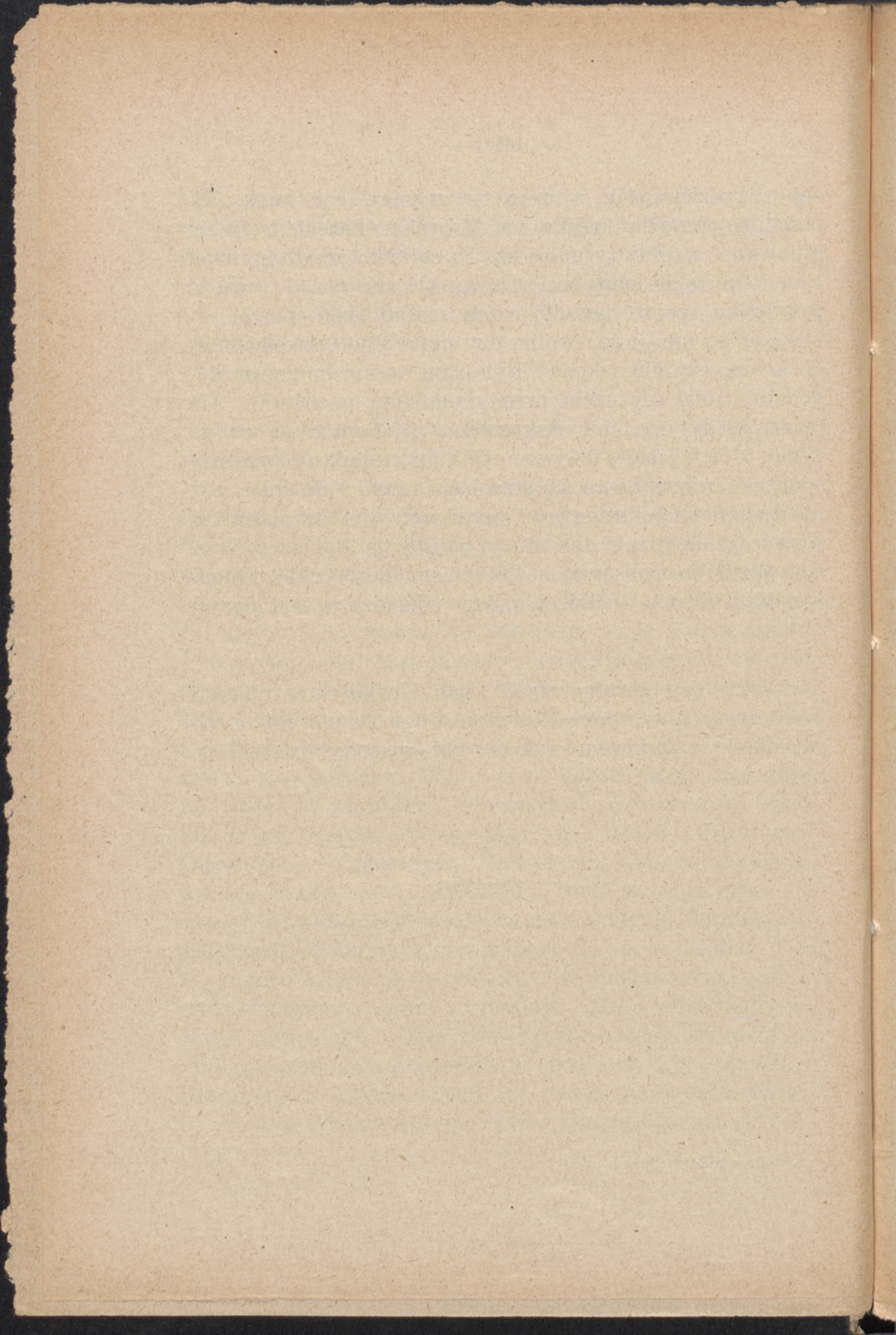
— Przywidziało mi się — pomyślał pan Kazmierz i uspokoił się zupełnie.

Ale razem z uspokojeniem wrócił mu żal okrutny za straconą „okkazją“.

— Oj, żeby ten nieszczęsny klucz nie był odkręcon, toby ja ją był porwał z ganku precz. Nimby się stary uporał ze drzwiami, jużby my cwałowali na dziesiątej ulicy. Ale tak, nie mógł ja nic. Byłby majster wyleciał za nami, jako ta petarda, byłby w mieście całém narobił klango-ru, nimby ja ją na koń wsadził, jużby mi ją sto rąk odbiło. I co gorzej, cała nasza konspiracya wylazłaby na wierzch, a wtedy bądź zdrów, jużby stary nie dał jej sobie po raz wtóry zabrać. Zaś teraz, kiedy skończyło się na niczém, kiedy on jeszcze nie ma żadnych suspicyi, to możemy znowu konspirować, i to już na dobre. Oho! Już teraz nie dam jej marudzić. Niepoczciwa dziewczyna! Żeby nie to jej kunktatorstwo, jużby my lecieli po gościńcu Oliwskim... Niepoczciwa? Tak się to gada w rankorze, a z tém wszystkiém, nieprawda. Onać właśnie przez luksus pocziwości taka lechtliwa na sumnieniu. Trudność to przyganić białogłowie, że nielacno da się wykradać. I za to jeszcze muszę ją estymować. Osobliwa rzecz, jak ta mała dziewczynka mnie intymiduje... Mnie, com nigdy nikomu nie ustąpił. Mnie, com zawdy bez miłosierdzia jachał po czułych sentymentach, jako ten tryjomfator po rozsypanych kwiatuśkach. Ej, Mości panie Kazmierzu, co się to z Waszinością porobiło? Dawniej każda czyniła,

coś ty rozkazywał, a teraz ty czynisz, coć każą. Ej, pono to przyszła kréska na Matyska. Przedtém ciebie miłowano, a teraz ty miłujesz. To całkiem jensza sprawa. Przedtém tobie słuźono, a teraz ty słuźysz. I jeszcze jest jedna rzecz: dawniej człek szukał tylko pustej rekreacyi, to nie pytał: wolno czy nie wolno? Szkoda z tego komu, czy nie szkoda? Byle sam swoim humorom dogodził, i miał się czém przed kompanią pochwalić. Ale teraz, kiedy chodzi o Sakrament, o felicytas na całkie życie, to w tój małej dziewce człek już respektuje przyszłą sponse, i wszystkiego się stracha, i telnąć nie śmie, aby nie zednuchnął kutnerku z onych skrzydełków motylkowych. Oj, żeby nie ten stary, jakiby ja był szczęśliw! On wszystko popsował — bluźnierz heretycki! Plugawy Satyrus! Co tu dłużej gadać. Niemczura, to i dosyć.

Tak żując gorzkie myśli, pan Kaźmierz wyciągnął pięść grożącą w stronę Bursztynowego Domu, potem odwrócił się z gniewem i do swojej gospody poszedł — niestety — sam!



VI.

Ptak niebieski w klatce.

Nazajutrz pan Kaźmiérz wstał pochmurny.

— Niefortunnie wczora mi poszło — rozmyślał. — No, zobaczym, co ta mądra dziewczyna dziś wysupplikuje u starego? Leciałbym ci ja tam nie mieszkając, ale trzeba jój ostawić kęs czasu na tę nielacną dyskusyę. Potem pójdę, niby wedle żegnania się z panem konzulem, a w rzeczy dla dostania języka.

Dopiero więc przed samém południem opuścił gospodę i z przecznicy skręcił ku Bursztynowemu Domowi.

Doszedłszy tam, zdziwił się wielce: w kamiennym pierścieniu dostrzegł Hedwigę, która wychyliła nietylko głowę, ale i jedną rękę; ręką tą dawała mu jakieś niezrozumiałe znaki. Twarz jój, zazwyczaj kwitnąca, była dziwnie blada; oczy szeroko rozwarte, jakby od przerażenia.

Pan Kaźmiérz, sądząc, że go wzywa, skierował się co prędzej ku wejściu, ale wtedy wyciągnięta ręka kilkakrotnym i gwałtownym ruchem wskazała mu dom pani

Flory, poczem i ręka i głowa znikły, i okienko pozostało puste.

W téjże chwili, od strony wskazanego domu, pan Kazimierz usłyszał dolatujące go:

— Pst! Pst!

I dostrzegł panią Flore, która — wpół schowana za oponę okna — przyzywała go przyciszonym sykiem i nieśmiałym kiwaniem ręki.

Zaniepokojony, rzucił się pędem ku jéj progom.

Kamienica pani Flory Kiczborkowój należała do bardzo skromnych. Nie nosiła na swojej nagiej ścianie ani posągów, ani złoceń, tylko dwa szare wazony, dość pierwotnie z kamienia obrobione, zdobiły jéj pierwsze piętro, a trzeci wazon, takiż sam, ale wytryskujący bukietem o blaszanych kwiatach i liściach, unosił się w górze, nad szczytowym trójkątem. Ganeczek miała nieduży, otoczony brzeżkiem kamiennym, także tylko z gruba ociosanym, a poręcze od schodków opierały się na dwóch kulkach, nie większych od głowy człowieczej. Bo téż i cała kamienica była o pół węższa od Bursztynowego Domu, co sprawiało, że na każdym piętrze miała tylko jedno jedyne okno, a na dole nie miała wcale okna, tylko drzwi wąziutkie, prowadzące do sieni zupełnie ciemnej. Dla oświecenia jéj, zostawiano zazwyczaj otworem drzwi od kuchni, która tu — jak i wszędzie — zajmowała w głębi dolną połowę domu. Schody także były wąziutkie, z poręczą po ciesielsku obrąbaną. Izby nie przedstawiały ani suto tkanych szpalerów, ani srebrnych mis lub nalewek. Ale za to pełno było tych ozdób tanich a pracowitych, jakimi staranna ręka niewieścia umiennie zasłaniać niezamożność. Na ścianach, tu wisiała lutnia, tam gitara,

ówdzie tryptyczek, niewykwintny pod względem pędzla, ale obstawiony mnóstwem kwiatków i świeczek, ubranych w kokardki. Wszędzie było pełno małych szafek, małych laweczek, małych stoliczek, obleczonech w osłonki rąbkowe, narurkowane, jakby kręzy. Wszędzie firaneczki, wstążeczki, frendzelki i passamony, tych ostatnich zwłaszcza zatrzesienie. (Zapewne ze składów, pozostałych po nieboszczyku panu Bonifacym Kiczborku). Wszędzie też rozchodził się zapach lawendy, którą pani Flora przesypywała bieliznę i suknie, zapelniające po brzegi jej szafy. Słowem, wszystko było takie wymyte, wyfiokowane i wonne, że, pomimo swojej skromności, mieszkanie pięknej wdowy przedstawiało się powabnie i zalotnie. Każdy też gość, raz tam zaszedłszy, nie wiedział, co go zatrzymuje, a wyjść już nie miał ochoty.

Ale pan Kaźmierz nie zważał dziś ani na kokardki, ani na gitary, ani nawet na cudne wonie. Szybko dobiwszy się do drzwi sieniowych, przy których już czekała Fruzia, śliczna dziewczyna o bystrych oczach i złośliwym uśmiechu, biegł co tchu na pierwsze piętro, gdzie była komnata od przyjęć.

Gdy zaś biegnąca w jego tropy Fruzia ostrzegła go:
— Pani jest wyżej, w sypialnej komorze.
Popędził na drugie piętro.

Sypialnia pani Flory była to — jak zresztą wszystkie pokoje tego domu — komnata bardzo długa, lecz bardzo wązka, nieledwie jak dostatni korytarz. Była przytém i bardzo ciemna; jedyne jej okno, świtające w głębi, wyglądało tajemniczo, jak szczelina, oświecająca grocie.

Ale pod innymi względami była to jedyna część mieszkania, urządzona z dostatkiem, a nawet z niejakim przeplechem. Na podłodze kraśniało kilka ładnych kobierczyków. Ściany majaczyły od mnóstwa świętych obrazów, o złotych tłach a jaskrawych kolorach, i od jeszcze większego mnóstwa pólek, na których stały zgrabne flaszki pełne pachnących wódek, skrzynki pełne farbek i puderków, grzebienie i szczotki ze słoniowej kości, różnokształtne lusterka, słowem te setne gotowalniane przybory, jakich woncezas potrzebowano jeszcze więcej, niż dzisiaj. Na środek pokoju (zaciemniając go dwakroć mocniej) wysuwał się piec potężny, o kaflach zielonych, malowanych w różyczki, których atlaskowa krasa miłe wpadała w oczy. Między drzwiami a piecem, pod boczną ścianą, ciągnęło się ogromne, kunsztownie z dębu wyrzeźbione łoże; nad niem wisiał pawilon z tkaniny weneckiej, która była w nieco późniejszym gatunku, ale świetna, gorąco-różowa, srebrem przetykana. Kotara, z jednej strony troszkę rozchylona i na srebrnym passamonie w górę podwinięta, okazywała choć w cząstce przepyszność posłania, gdzie puszyło się tyle bławatnych altembasów, przewlekanych wstążek, koronek flamskich i szlerek, że już chyba i urodzona królowa nie skrzywiłaby się na podobne gniazdo.

Do tej pięściwej komnaty pani Flora dopuszczała tylko najzazwylszych przyjaciół. Pan Kazimierz pierwszy raz tam wchodził; ale dziś właśnie, jakby na przekorę, nie mógł ocenić jej piękności. Na nic nie patrząc, potrącając sprzęty, biegł prosto przed siebie, a wzrokiem szukał tylko pani domu.

Spostrzegł ją nakoniec już w pobliżu okna; siedziała tam, a raczej w pół leżała, na niskiej ławie, obciągnię-

tęj ponsową makatą; pod jęj głową kraśniała pstra poduszka, przyparta do bocznej ściany pieca.

Na widok pana Kaźmierza, piękna wdowa podniosła białe ręce, załamała je nad głową i wyjęknęła:

— Ach, kawalerze! Nieszczęście!

— Co się stało? Czy co panie Hedwidze? Ależ pna żyje? I zdrowa? Moment, jakim ją widział tam w okienku.

— Tak, żyje... ale co się stało! Ach, nieszczęście...

— Gadajże Waćpani prędzej! Nie piecz-że mnie na wolnym ogniu...

— Figuruj sobie Waszmość, idę tam dzisiaj rano, aby obaczyć, jako rzeczy stoją, a tu pan Schultz... nie wiem doprawdy, jaką tu zrobić definicyę...

— No co pan Schultz? Umarł?

— Ale gdzież tam! Nie umarł, jeno się wściekł.

— O, to źle. Pies ukąsił? Ha, nie dziwota, na takowe upały...

— Ale gdzież znowu pies! Nie pies, jeno złość go skąsała. I to jeszcze rzecz osobliwa, że nietylko nie zachorzał gorzej, ale owszem z tych okrutnych emocyów zupełnie ozdrowiał. Lata po całym domu, że aż dudni, a klnie, a tłucze ludzi — nikt nie śmie w oczy mu wleźć — jeno ja śmiałam, bo niéma w świecie takowego chłopca, coby go się Flora Korwiczkowa bała.

— Więc nie pozwala?

— Co to nie pozwala! On pannę Hedwigę wsadził do więzienia.

— Jezu Marya! Do więzienia? Ależ jam ją widział, teraz, tam na strychu!

— A toć właśnie on tam na strychu ją zatarasował.

O chlebie i wodzie. I nie puści jój, aż Waszmość wyniesiesz się stąd na zawdy.

— I za co? Za to, że suplikowała?

— Ba! Żeby jeno za suplikowanie! Aleć ja powie dam, że nieszczęście się stało. Figuruj sobie Waszmość, w nocy, kiedy my wracali z Artus-hofu, on nie spał, jeno siedział w oknie, które sobie na kęsek odparł...

— Boże miłosierny! I my tego wcale nie postrzegli...

— I słyszał cały wasz dyalog i wszystkie szpetności, coś Waszmość wygadywał na jego personę...

— O! To zły casus...

— I co gorsza, widział... Rozumiesz Waszmość? Wi dział, jakoście się paśli buziaczkami. Wszystkoby on je szcze przepardonował, ale już co tego, to nie.

Pan Kaźmierz zerwał się i zaczął, jak błędny, chodzić po komnacie.

Nagle stanął znów przed panią Florą.

— Wyexplikuj-że mi Waćpani, bo ja nic nie rozu niem. Kiedy nam się okazał we drzwiach, to był taki łagodny, jak ta trusia. Skąd-że mu potém, ni stąd ni zo wąd, ona passya?

— A! Bo to człek mądry, co na czas unieć się zmity gować. Sam do mnie mówił tak: „Jam wiedział, że ten furyat stoi tam pod beiszlagiem, że niech jeno pisnę, to skoczy i nadzieje mię na swoje żelastwo. Nie głupim! Tedy, póki nie zamknąłem drzwiów, nic nie gadam, ani mrumru. Aż jakem zamknął, dopierom się poczuł pan u siebie. A wszelako jeszcze nic nie gadam, aby hałasów nie robić po sieni, jeno idę za Hedwigą na pierwszy trep, na drugi, na trzeci — a ta precz mi szczebioce jakby co cnotliwego, a ja nic, ani mrumru. Aż kiedy przyszła do swoich drzwiów, jak na nią krzyknę: — Wyżéj! — Ta patrzy na mnie z terrorem, a ja ją gnam przed sobą.

Otwieram strych — wepchnąłem ją tam — dopiero stoje na progu i gadam jej słowa prawdy, jaka to z niej niegodna mädchen, jaka ingratna córka. Za karę będziesz siedziała tutaj, aż póki ten twój gaszek nie wyjedzie precz! A jeśli nie wyjedzie, to sprowadzę pastora tu, na ten strych, i da nam ślub — i nie zejdziesz na dół aż jako moja żona. Radź-że tedy o sobie i dziękuj Panu Bogu, że ja jeszcze ciebie chcę, bo keine gadanie powinienby ja cię wygnąć na bory na lasy“. — Takie rzeczy tedy jęć gadał, potem drzwi na klucz zaszpuntował, i teraz rób co chcesz.

— Ależ to Neron! Jak Boga kocham, to Madej rozbójnik.

— Co Waszmość chcesz? Amory są bogi srogie. Nie na tém koniec. Trza było widzieć, jaką téż on recepcyę zgotował i onemu nieszczęsnemu Ollendrowi! Dobrze my się jemu przysłużyli. Przywłókł się nieborak już za dnia, cały wystrachany, i chciał do domu wejść chyłkiem, ale pan majster czyhał, zasiadł go w sieni, zbil na kwaśne jabłko, i do tego skrzyczał, ale to tak po majstrowsku, że aż tu w mojej komorze było słyhać. Nie rozumiem, jak ten hardy czeladnik nie odprawił się zaraz? Chyba że go tu co trzyma na uwięzi... ale to lepiej ostawić — jak powieda pan konzul — „keine gadanie“.

Pan Kaźmierz tylko na poly słuchał pani Flory. Zaturzywszy ręce we włosach, coraz gwałtowniej biegiał po konnacie i powtarzał z rosnącym uniesieniem:

— Jezu miłosierny! I to biedactwo tam całą noc przemęczyło? Bez łóżeczka? Na twardych deskach! Między kańczastemi skrzyniami! Ach! i Waćpani powiedasz, o chlebie i wodzie?

— Tak on gadał, acz ja nie dowierzam, aby w oném głodzeniu długo dotrwał, boć i on ją po swojemu lubi.

— A niechże go z takim lubieniem! Neron! Herod na niewiniątka! Miałas Waćpani racyę, nieszczęście!

— Cale nieszczęście, żeś Waszmość nie był mocen w nocy jěj zaraz uprowadzić. Co mi to za kawaler, co nie umie przeperswadować lichěj dziewczyniny?

— Ja już i tak nieszczęśnik, a Waćpani jeszcze mi dogryzasz.

— Ja nie dogryzam, jeno sama się gryzę dla Waćpaństwa, bo co wczora mogło pójść, jak po maśle, to dziś już nie łąno.

— Jakto nie łąno? Dłaczego nie łąno? Oho, zobaczmy! Ja zaraz pójdę tam do niego! Rozprawię się z nim, tak czy owak!

— Nie pójdziesz tam, panie poruczniku. Próżno się dobijać. Pan majster gadał mi bez ogródki: — „Powiędz Waćpani temu kawalerowi, aby się już do mnie póka żyw nie fatygował. Móglbym ja go w puch rozbić przez pacholki miejskie, ale nie rozbiję, bo nie chcę zadzierać z armią Jego Królewskiej Mości, nie chcę naszego dobrogo Gdańska exponować na wojenne przygody. Niechże sobie szczęśliwie jedzie, jeno niech mię już nie nachodzi, bo mię póka żyw na żywe oczy nie obaczy. Dobrze on to sam wié, kiedy gadał nocą, tam pod beiszlagiem, jako stary go nigdy już do swego domu nie wpuści. — Czy ja taki „stary“, to jeszcze obaczy po mojem weselu, ale że nie wpuszcze, to ma racyę. Nie chcę ja już przestawać z takowym człowiekiem, co go nie mogę całkiem estymować, a jakoż mam estymować, kiedy mię ten lotr oszukiwał?“ — Wybacz Waszmość takie szpetne expressye, ale to ja nie z siebie gadam, jeno powtarzam chryję pana majstra.

Pan Kaźmierz poczerwieniał i zmieszał się na chwilę.

— Juścić, zem go kapkę oszukiwał, to prawda. Jeno affekt mi stoi za exkuzę.

— Najczystsza. W passyi, tak jako na wojnie, wszelaki fortel jest godziwy, byle przynaszał wiktoryę. Owóz, ja Waszmości nie radzę tam chadzać, bo to wiktoryi nie da, jeno soli jeszcze dosypie na ranę.

— Tak Waćpani powieasz? A no, to ja zrobię lepiej. Tego momentu ruszam do wszystkich waszych wójtów, do wszystkich burmistrzów, do wszystkich Stu Mężów Rady. Opowiem im całą rzecz, będę w niebogłosy krzyczał o justycyę. Czy to wolno tak więzić i katować niewinne sieroty?

— Nie rób tego Waszmość. Te wszystkie wójty i burmistrze to amikusy pana Schultza. Na jednéj ławie z nim siedzą, o jeden respekt z nim stoją. Wszyscy w rumel Waszmości powieasz, że nikt nie ma prawa wtykać nosa do familijnych dyfferencyi, albowiem ociec może, jako żywnie mu się podoba, karać nieposluszne dziecko.

— Jaki ociec? Tandem, do rozkazowania i tyranizowania to on ociec. A do miłowania to nie ociec, jeno zalotnik. Cóż to za jakaś filozofia? — „Waćpanna bój się mnie, bo ja fater, ale Waćpanna idź za mnie, bo ja nie fater“. — Pfu! To jakieś luterzańskie dystynkeye.

— Waszmość masz całką racyę. Nikt nie zakontruje, że pan Schultz to tylko adoptowany ociec. A jednak z tém wszystkiém Waszmość u Magistratu przegrasz, bo za wdę swój za swoim trzyma.

— Ha! Jeśli tak Waćpani supponujesz, to ja jeszcze lepiej zrobię. Sprowadzę tu moich kompanów. Cała Wodna Armata przyjdzie hurmem. Jak przypuścimy szturmik do Bursztynowego Domu, to nie ostanie kamienia na kamieniu, aż uprowadzim w tryumfie tę moją zaklętą królewę.

Tu pani Flora zerwała się z czerwonej ławy, sama zaczerwieniona od przestrachu, podbiegła do pana Kaźmierza i, kładąc dłoń na jego rękę, mówiła z przerażeniem:

— Czy Waszmość sfixowałeś? Na miłość Boską, nie rób-że takowych excessów! Niech panowie officyjery zgrabią w mieście jedną cegielkę, to zaraz będzie krzyk, że katoliki napadły na luterski dom, i całe miasto pójdzie na was ławą.

— A to niech pójdzie. Dany sobie radę z mieszczuchami.

— To jeszcze kwestya. Gdańskie — jak Waszmość nazowasz — mieszczuchy to nie żadne piecuchy, to naród hardy i tęgi. Broni tu jest huk. Bójek już było niemało, to jest i zaprawność do boju.

— A no, obaczymy, kto kogo zdławi.

— Ależ pomyśl jeno, kawalerze, co to krwie chrześcijańskiej popłynie, co wiktym niewinnych padnie!

— A co ja temu krzyw? Niech mi oddadzą tę moją jedną wiktynę, to ja i palcem nie ruszę.

— Ależ pójdzie skarga do Króla, że Waszmość wicherzysz dla prywaty, że Waszmość rebelizant.

— A dajże mi Waćpani pokój. Potrafię ja się przed Królem wyexplikować. Król mi da wiarę. Król dobrze wie, jako Gdańsk jest szelmowskie miasto.

— Ależ pomnij, okrutny człowiecze, że i mój dom pójdzie w perzynę! Zrabują mnie, zniszczą, zabiją! Więcój powiem: Waszmościną Hedwigę zasięka, byle jej Waszmości nie oddać, bo tu naród haniebnie mściwy. Da-libóg, zasięka, i ja i mnie! Piękna mi nagroda za mój affekt dla was! Kto was dotąd protegowal, konsyliował, konsolował? Nikt, jeno Flora Korwiczkowa. I jakoweż ja frukta zbiorę z mojej abnegacyi? Nic, jeno rabunek i śmierć!

Mówiąc to, pani Flora wyjęła z za sznura śliczną chusteczkę o różowych wisiorkach i, utopiwszy w niej oblicze, zaczęła rozdzierająco szlochać.

— No, nie desperuj-że Waćpani, lepiej gadaj sama, co mam czynić, boć przecie nie mogę, jak ten podlec, odjechać sobie precz, dla ukontentowania pana Schultza.

— Nikt Waćpanu nie radzi podłości, jeno reflexyę. Pomedytujmy trochę, a powoli znajdzie się sposób.

— O, przepraszam, tylko nie powoli. Ja muszę jeszcze dzisiaj, zaraz, wysalwować moją niebogę, bo inaczej to i ja się wścieknę.

Pani Flora odjęła twarz od chusty i, przez łzy się uśmiechając, rzekła:

— Ponoś to już Waszmość odróbkę nadkąsan od tój psiej choroby...

— Gadał-że Waćpani, gdzie jest klucz od onego nieszczęsnego strychu?

— Klucz? W kieszeni u pana Schultza. Nim Waszmość dobierzesz mu się do klucza, to musisz go pierwój zarznąć, jak barana.

— I na to może mu przyjść. Ale tymczasem jeszcze pomedytujemy. Żeby to kiepskie okienko nie było tak het wysoko, i żeby nie było tak haniebnie małe... aleć to nikt żywcem tamtędy nie przejdzie.

— A właśnie, że przejdzie. Ja sama dziś widziałam, jako panna Hedwiga niemal całkiem stamtąd wyszła.

— Czy może być? I jakżeś to Waćpani widziała? Z ulicy?

— Nie, ja byłam u nięj, tam pod dachem.

— U nięj?

— A tak. Powiedziałam panu Schultzowi, że chcę ją sfukać co się zowie i nauczyć, jako ma czynić. Więc sam co tchu mię tam wpuścił. I sfukałam ją porządnie, ale nie

za to, że nie chce pana majstra, jeno za to, że wczora z Waszmością nie chciała uchodzić.

— Zacna z Waćpani białogłowa! I mądra.

— Przymem jěj mówiłam, aby się nie dała desperacyi, bo ja nie dopuszczę jěj krzywdy i z Waszmością wymyślę dla niěj zasalwowanie.

— Zacna z Waćpani białogłowa, co praktykuje święte przykazania: — Więżnie odwiedzać, smutnych rekonfortować.

— Owóz z oném okienkiem była taka rzecz. Jakem jěj powiedziała, że pan Schultz chce pastora sprowadzić, zerwała się ze skrzyni, jakby oparzona, i krzyknęła: — „O, tego nigdy! Wolę śmierć, niż luterski ślub! Niech spróbuje, to ja pierwój tu wyskoczę tём okienkiem precz!“ — Tedy ja jěj powiedam: — „Nie groż Waćpanna próżno, bo tём okienkiem żadna człowiecza persona się nie prześrubuje“. — A ona powie: — „Nieprawda! Ja się prześrubuje“. — „Ale gdzież znou?“ — „A tak!“ — „A nie!“ — I precz się certujemy, a tymczasem ona hyc do okienka, i wyfiguruj sobie Waszmość, tak mi się subtelnie zawinęła, że cała, z ramionami, z rękami, wylata za ścianę, zupełnie jak ten węgórz. Aż ja ją lap za sukieneczynę, aby mi naprawdę nie wypadła. Dopiero widzę, że ona cała blada, i tak się trzęsie, jak nóżki cieleące, i powie: — „O Jezu! Jakaż to tam przepaściłość! A z tём wszystkiém“ — powie — „widzisz Waćpani, że ja się tam zmieszczę. Żeby tak jeno Pan Jezus dał skrzydełka, tobym wyfrunęła, ojoj! prościuchno do pana Kaźmierza“.

Podczas opowiadania pani Flory pan Kaźmierz na-

gle usiadł, oczy ręką zasłonił i zapadł w głębokie zamyślenie.

Po chwili odsłonił twarz dziwnie rozjaśnioną.

— A wiesz Waćpani, że co mi powieadasz, to wielka nowina. Kiedy panna Hedwiga może przejść okienkiem, to wygrany proces.

— Ja nie widzę jeszcze wygranój. Chyba że Waszmość przyprawisz jej skrzydła.

— Znajdą się i skrzydła. Czy i u Waćpani jest okienko takowe pod dachem?

— A jakoż niema być? Coby to był za dom bez oka?

— Chciałby ja tam pójść i obaczyć.

— A i owszem. Ciekawam ja, coś Waszmość wykonywał?

I naprawdę zaciekawiona, poszła z panem Kaźmięrzem na poddasze, gdzie jeszcze więcej pachniała lawenda, bo mnóstwo chust, rąbków i koronek, ślicznie wypranych, suszyło się tam po sznurach i kołkach.

Ale pan Kaźmięrz, stanąwszy w okienku, doznał wielkiego rozczarowania; wyszło mu było z pamięci, że dom pani Flory jest o całe piętro niższy od Bursztynowego, i teraz dopiero spostrzegł tę różnicę.

— Żle — mówił. — Chciałem ja od okienka do okienka rzucić deskę, jako te mosteczki, co sobie robią mularze. A tu ani rusz. Nasz mostek musiałby też chyba mieć skrzydła. Ktoby stamtąd chciał tutaj zjechać, toby leciał, jak z pieca na leb, i to jeszcze w ukos! Nie — ani sposób.

— A przytém, jakżebyś to Waszmość pokryjomu skonstruował? Toćby ludzie z ulicy widzieli.

— E, co to, to nie. Od czego noc? Czekał Waćpani... może się jeszcze wynajdzie inakszy fortel. A! Już go mam. Czy tu można wyleźć na dach?

— Juści można. Jest pono jakowaś trapka, którą wyłażą ludzie wedle czyszczenia kominów i zgartywania grubych śniegów.

— A jako się to tam idzie?

— A no, po drabce.

— A gdzie owa drabka?

— Tego ja nie wiem. Fruzia ją gdzieś tam w kącie chowa.

— To zły casus. Nie chciałbym się spuszczać z naszego sekretu przed jaką plochą dziewczką.

— Możesz się Waszmość spuścić. Niech jeno rzecz idzie o amory, to moja Fruzia dyskretna, jak tomba.

Pomimo ważnych myśli, które go zatrudniały, pan Kaźmierz nie mógł się wstrzymać od uśmiechu.

— Czy Waćpani to wiesz ze swojej osobistej experyencyi?

— Ach, jakoż nie mam wiedzieć? Gdzie niewiasta w kwiecie żywota osiadzie na wdowieństwie, tam co dnia trza się bronić od armii adoratorów, co — raz głośnym szturmem, to znów eichemi perfidyami — czyhają na fortecę jej affektu. W takowych to imprezach wyexperymentowałam ja dyskrecyę mojej służebnej.

Po tych słowach, pani Flora, przechyliwszy się przez poręcz schodów i przywoławszy dziewczynę, kazała jej co żywo podać drabkę, po której pan Kaźmierz z niesłychaną zwinnością dobiegł do wyjścia, wyciętego w dachu.

Fruzia miała ochotę gonić za nim, aby zobaczyć, co ten strojny kawaler tam chce czynić? Ale pan Kaźmierz, stanąwszy na koralowej lusce dachówek (owych słynnych gdańskich dachówek, o które się i z za morza dobijano),

zobaczył po swojej prawej stronie boczną ścianę od kamienicy pana Schultza, sterczącą jeszcze o cale piętro wyżej; co prędzej zatem wyciągnął za sobą drabinę, przystawił ją do rzezonéj ściany i tym sposobem nakoniec wydostał się na dach Bursztynowego Domu, ale zarazem i odjął Fruzi możebność pogonienia za nim.

Dla ciekawéj dziewczyny było to prawdziwe nieszcześnie; gdy zobaczyła, że z przed samego zadartego jéj noska zabrano tę szacowną drogę, lzy gniewu zakręciły jéj się w oczach, podniesionych żalosiennie ku rozwartéj klapie, przez którą przeglądało tylko czyste niebo.

— W téj zadumie zesła ją pani Flora.

— Fruziu! — szepnęła. — Nie podpatruj! Przez dzień dzisiejszy i jutrzejszy masz nie mieć oczu, nie mieć uszu — masz być, jakbyś nie była, bo tu idzie rzecz o znacną passyę.

— Aha! Tak, to rozumiem — odparła tamta.

I obie, położywszy palec na ustach, porozumiały się znaczącém spojrzeniem.

Po kilku pacierzach, pan Kaźmierz powrócił, widocznie z wyprawy. Zeszedłszy z panią Florą do sympialnéj komnaty, drzwi za sobą zamknął starannie i ożwał się:

— Wszystko dobrze. Obym tak był pewien zbawienia duszy, jakom pewien sukcesu w téj cyrkumstancyi.

— Cóż tedy Waszmość wykoneypowałeś? Powiedz raz, bo uschnę.

— Powiem, ale jeno do uszka Waćpani, bo u drzwiów mogą stać jakowe Fruzie, a już z pryncypalnego sekretu to ja nikomu się nie spuszcę, jeno laskawéj naszég protektorce.

Tu, skłoniwszy się do jęj ucha, wyszeptał jakoweś zwierzenie, które musiało ją niepomału wzruszyć, bo chwyciła się oburącz za głowę (co prawda, ostrożnie, aby nie potargać wymuskanych włosów) i zawołała:

— Święta Floro! Z takowej wysoczyzny?! I to jeszcze z drugą personą? Ależ to perykulum okrutne!

— Co za perykulum dla morskiego człeka?

— Ale czy ona będzie chciała się tak zrezykować?

— Jeśli mnie miłuje, to się zrezykuje. Zawdyby ja rad, abys ją Waćpani mogła poświadomić, bo gdyby przyszło w saméjże akcji dopiero parlamentować, toby my dużo czasu zmarnowali. Jeno nie wiem, czy ten dziać Waćpanią drugi raz do niéj dopuści?

— Ojoj! Czemu nie ma dopuścić? Jeszcze się ten nie urodził, coby mej woley przeszkodził.

— Anioł z Waćpani. Teraz tedy nie nie ostaje mi, jenó ucałować rączki naszéj dobrodziki, z dziękowaniem setném za jęj laskę, i uciekać precz, bo mam jeszcze kąpę roboty na głowie. Muszę po raz wtóry prosić Oćca Celestyna, aby rankiem znów ze stulą czekał.

— Oj, to to. Książdz przedewszystkiém, kawalerze.

— Muszę sobie sprowadzić kilku zacnych kompanów, aby przy ślubie stanęli mi na świadki, muszę sobie sprokurować instrumenta do onéj ekspedycyi, przytém koniki dla nas gdzieś tu w somszedztwie ulokować. Pozwolisz tedy Waćpani, to ja się tu pod noc zakradnę. Przyjdzie téż za mną i mój pacholek, Maciek.

— Maciek? Ach, byle nie Maciek! Znam ja go. Nie-raz tu chadzał do mojęj Fruzi, kiedy my tam siedzieli na beiszlagu. Ten gluptasek wszystko Waszmości popso-
psowa.

— Co ma popsować? Muszę mieć przy sobie człowieka, żeby uprzatnął ślady ekspedycyi. Na to nie trzeba

Salomona. Jeno rzecz wyhissować i dyrdem za nami bieżć. A wolę jego, jak jenszego, bo to człek do mnie przywiązał i, co pryncypalne, Mazur. Trzeba Waćpani wiedzić, że nasza gałąź Koryekich wywodzi się z Mazurów. Dopiero nasz pradziad przesiedlił się pode Przemysł, dla dwóch tłustych wsiów, co mu je tam nasza prababa wniosła. Tandem tedy my niby już przeflancowani. Wszelako natura zawdy ciągnie wilka do lasa, i ja zawdy lgnę do wszystkiego, co traci Mazurem. — Ale ja tu gadu-gadu, a czas ucieka i moja nieboga czeka. — Jeszcze raz nóżki całuję.

To powiedziawszy, już podążał ku wyjściu.

Nagle uderzył się w czoło.

— Aj! Znów difficultas! I to de grubis! Bramy miejskie całą noc zaparte! Jakoż my przejedziem? Tamtej nocy tom ja sobie skaptował profosa od straży przy Wysokiej Bramie, Pietra Koreywę. To mój dobry znajomek... ten miał nas cichaczem przepuścić. Ale dzisiaj jakże to będzie?

— Więc ten Koreywa nie każdój nocy wartuje?

— A nie. On tak na przekładkę. Raz dzień, raz noc. Dziś tam jest, ale jeno do jedynastój przedpółnocnej, a po hejnale obluzuje go jenszy, Bóg wie co za jeden.

— A to wiész Waszmość? Musisz się uladzić przed hejnałem, dopóka ten tam jeszcze stoi.

— Radby ja to uczynił, ale sobie rememoruj Waćpani, że aż do dziesiątej, do stróżowego śpiewania, ulica jest pełna ludzi, na beiszlagach gry i chorały. Nim się to wszystko uspokoi, to jeszcze upłynie sporo wody. Tak tedy ledwie niccała godzinka wolna się ostanie. To strasznie kuso czasu. A wszelako co robić? Masz Waćpani racyę, trza się w tej godzince uladzić. Racz tedy Wać-

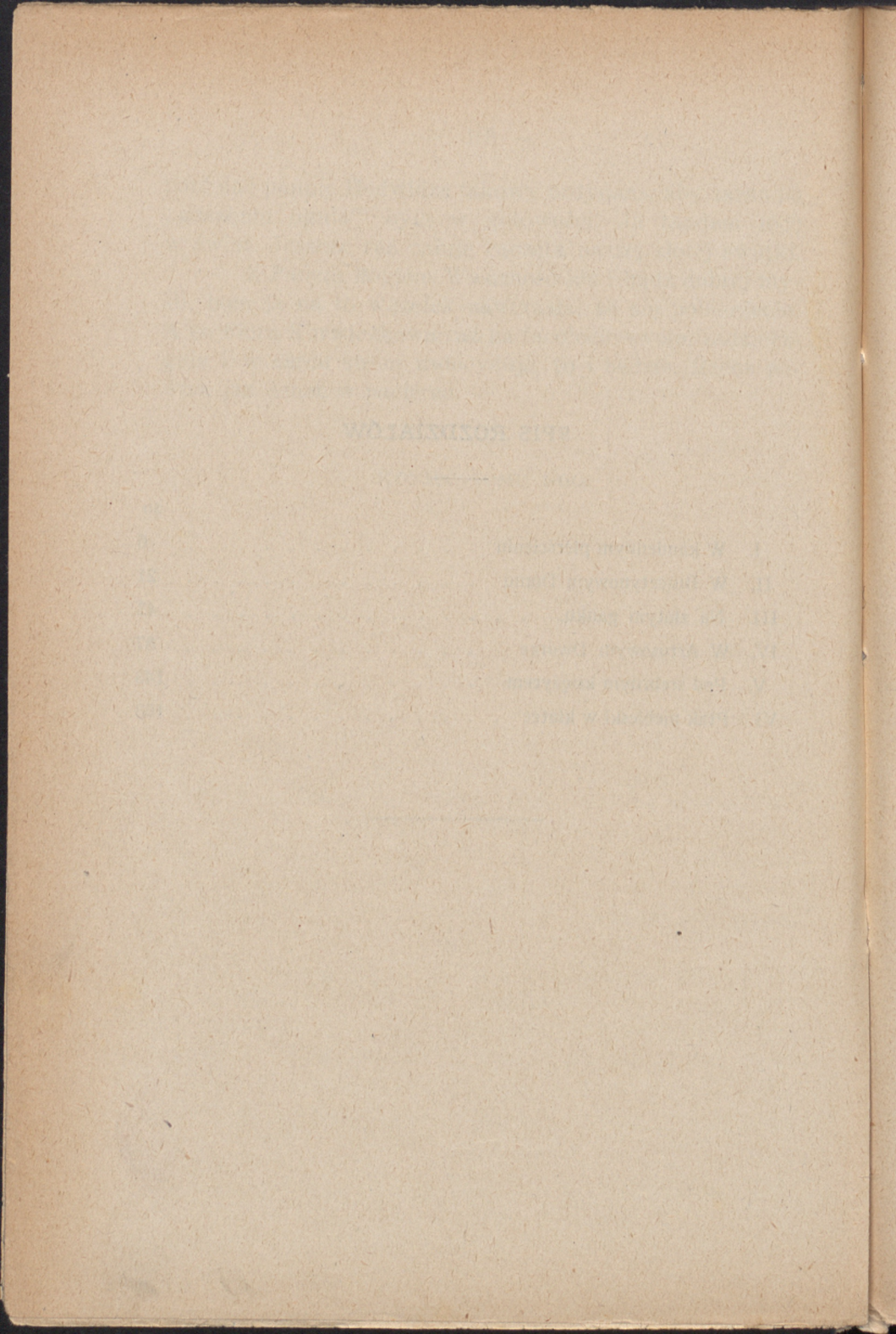
pani dać pannie Hedwidze takowy ordynans, aby zaraz po „gaszeniu ognia“ była w gotowości. Ja tandem lece w świat. Jeszcze raz całuję rączkę naszej złotej swatki.

— Z Panem Bogiem Waszność idź i bądź dobrej myśli, bom ja na to węzełek zawiązała, że się pobierzecie. A co Flora Korwiczkowa raz na facolecie swoim zadzierzgnie i w sercu swém zadecyduje, to i będzie. Rzecz pewna, jak Amen w paciérzu.

KONIEC TOMU I-GO.

SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str
I. W kamiennym pierścieniu	6
II. W Bursztynowym Domu	21
III. Na złotym ganku.	43
IV. W Artusowym Dworze	87
V. Pod srebrnym księżycem	143
VI. Ptak niebieski w klatce	163



„CYCLAMEN“ Wyborne **PERFUMY**
TOW. AKC. F. PULS. w **WARSZAWIE**
DOSTAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH LEPSZYCH PERFUMERJACH.

